FAHRENHEIT

NUMER XLIV STYCZEŃ-LUTY 2005

PUBLICYSTYKA

ADAM CEBULA

ANDRZEJ ZIMNIAK

ANDRZEJ PILIPIUK

TOMASZ ZIELINSKI

WOJCIECH SWIDZINIEWSKI

MAGDALENA KAŁUZYNSKA

A. MASON

GRZEGORZ MUSIAŁ

LITERATURA

ADAM CEBULA

MONIKA SOKÓŁ

MAGDALENA KOZAK

ALEKSANDRA JANUSZ

SZCZEPAN TWARDOCH

JEWGIENIJ ŁUKIN

OKŁADKA - ŁUKASZ ZAK

Tomasz Pacyński

451 Fahrenheita

Generalnie jest tak, że nie wiadomo, o czym pisać. Nie, przepraszam, nie wiadomo, kto ma napisać. W zasadzie, jak się tak głębiej zastanowić to jedyne, co wiadomo, to po co pisać, lub, innymi słowy, dla kogo pisać. Dla czytelników, którzy są i którzy nawet domagają się kolejnych numerów. Tymczasem proces produkcyjny jakoś nie daje rady sprostać zapotrzebowaniu. Generalnie najłatwiej byłoby zwalić na myszy, co to zjadają wszelkie manuskrypty i rękopisy od zarania dziejów. Albo na wirusy – wszyscy wiedzą, jaka to plaga. Ptasia grypa na przykład, żeby daleko nie szukać. Dopadła periodyki branżowe, te papierowe, i sporo z nich popadało jak kawki. Dlatego tę grypę nazywają "ptasią". Ewentualnie i w ostateczności można by zwalić winę na demona, który zalągł się w redakcji. Skoro są wampiry, to i demony nie dziwne, nieprawdaż?

Właśnie ten demon... Generalnie to nikt z redaktorów nie chce się przyznać do wywoływania demonów, ani do żadnych innych igraszek z siłą nieczystą. Nawet w ramach pierwszej w historii redakcji narady produkcyjnej nie udało się wytypować winnego. Wszyscy nabrali wody w usta, niektórzy ponoć nawet święconej. Wreszcie ktoś mruknął, że to z pewnością sprawka tego, kto ma najwięcej obowiązków w redakcji i teraz zamierza się siłą nieczystą wysługiwać.

Krąg podejrzanych zawęził się wtedy dość poważnie. Od pewnego bowiem czasu moce przerobowe Redakcji ograniczyły się do osób czterech. Przy czym jedna zajmuje się zapełnianiem pisma treścią, a reszta – resztą. Kolegialnie wytypowano więc osobę obciążoną obowiązkami najbardziej.

Rzeczona osoba, wzruszywszy ramionami nie przyznała się do konszachtów z siłą nieczystą, ale za to powiedziała, że skoro demonem można się wysługiwać, to proszę bardzo, ona chętnie skorzysta. Może od tego będzie lepiej. Na hasło "będzie lepiej" część redakcji oddaliła się w pośpiechu w bliżej nieokreślonym kierunku wydając przy tym okrzyki znamionujące przerażenie i najwyższą panikę.

Rzeczona osoba, która spowodowała nierozważnie to całe zamieszanie, ponownie wzruszyła ramionami. Następnie stwierdziła, że ponieważ nie da się na szybko ustalić kierunku w jakim oddalili się współpracownicy – redaktorzy, a numer złożyć trzeba, to niech demon pokaże co potrafi i zrobi coś w kwestii składu. Demon pokazał. Przyciągnął z otchłani wyklętego składacza. A może przeklętego? Co by nie mówić, taki całkiem w porządku to ten składacz nie był, a właściwie nie jest – bo został. Do pracy nad składem zabrał się od razu, a efekty tej pracy okazały się być bardziej w porządku niż on sam. Pozostali w miejscu pracy redaktorzy nawet nie protestowali przeciwko dość specyficznemu zapachowi spalenizny, który pojawił się w pomieszczeniach redakcji wraz ze składaczem.

Zaprawdę powiadam wam, nadchodzi siedem lat chudych. Teraz na pytanie "kiedy będzie lepiej?" można odpowiadać – "już było". Nie jest fajnie, tym bardziej, że lat tłustych wcale nie było siedem. Siedem, to tylko grzechów głównych. Ze szczególnym uwzględnieniem grzechu lenistwa.

Pomysł na skład i łamanie
Robert A. Mason (mason@fahrenheit.eisp.pl)

Spis Treści

DZIAŁY STAŁE

451 Fahrenheita 3
Literatura 4
Bookiet 5
Recenzje 9
Spam(ientnika) 16
Permanentny PMS 17
Galeria 20

PUBLICYSTYKA

Andrzej Zimniak - *Biochemia cyjanowodoru* 21
Wojciech Świdziniewski - *Długie łodzie* 23
Adam Cebula - *Mam pomysł* 24
A.Mason - *Saperką na Ogry* 27
Adam Cebula - *O liczbach drugich i trzecich w literaturze* 28
Tomasz Zieliński - *List do mojego dziecka* 31
Adam Cebula - *Zły wyłazi z komputera* 32
Magdalena Kałużyńska - *Zaprawa redakcyjna* 34
Andrzej Pilipiuk - *Piszemy bestsellera* 36
Grzegorz Musiał - *Recenzja instant, recenzent constant* 37
Jakub W. Świętochowski - *Groby z końca uliczki cmentarnej* 38

PARA-NAUKA I OBOK

Magdalena Kozak - *O lataniu pośrednim i bezpośrednim* 39
Małgorzata Koczańska - *Image a sprawa polska* 41
Tomasz Zieliński - *Po co nam tarcie?* 43
Adam Cebula - *Prawdziwa elektronika, czyli tranzystory* 45
Adam Cebula - *Coś lżejszego* 48

LITERATURA

Adam Cebula - *Kometa dla Jawola* 53
Monika Sokół - *Axis Mundi* 60
Magdalena Kozak - *Świt* 66
Aleksandra Janusz - *Wysłuchane w herbaciarni* 68
Szczepan Twardoch - *Królewskie pytanie* 71
Jewgienij Łukin - Wygłuszacz 76

FAHRENHEIT
magazyn literacki s-f, fantasy i horror
www.fahrenheit.eisp.pl

Adres korespondencyjny: 85-045 Bydgoszcz, ul. Krakowska 18/1
Telefon: 507-189-200, **mail:** redakcja@fahrenheit.eisp.pl

Redaguje zespół: Adam Cebula, EuGeniusz Dębski (ojciec założyciel), Tomasz Pacyński (red. nacz.), Dominika Repeczko (z-ca red. nacz., literatura), Wojciech Świdziniewski, Karolina Wiśniewska (sekr. redakcji).

Współpracują: Ewa Białołęcka, Małgorzata Jakubiak, Agnieszka Kawula, Małgorzata Koczańska, Paweł Laudański, Piotr Lenczowski, Paweł Leszczyński, Łukasz Orbitowski, Romuald Pawlak, Andrzej Pilipiuk, Katarzyna Pilipiuk, Piotr Schmidtke, Asia Witek, Marcin Witek.

Literaturoznawca

Literatura

Literatura Taki pentagram to w zasadzie działa jak dobre wnyki. Wystarczy się tylko za bardzo zbliżyć i... już nie można się oddalić. Żeby jeszcze można było tego jakoś uniknąć, oblecieć szerokim łukiem, ustrzec się. Ale nie. Nie widać tego paskudztwa nijak. Zakrzywia to wokół siebie i przestrzeń (mam na myśli tę prawdziwą przestrzeń, a nie odległość od drzewa do drzewa) i czas, i płaszczyzny wymiarów. Jak się zobaczy taki dobrze skonstruowany pentagram, to znaczy, że właśnie się wpadło w sam jego środek. Dokładnie. A jak już się wpadło, to znaczy, że samemu się z niego nie wylezie. Ni mniej, ni więcej.

Wtedy zazwyczaj zaczynają się negocjacje...

Jeśli chodzi o mnie, to dokładnie w tym momencie zaczął się mój problem. Nie było z kim negocjować.

Postanowiłam sobie westchnąć. Nie żebym musiała, ale czasem takie typowo ludzkie reakcje mają swój urok, a nawet jakiś sens. Nie tym razem jednak. Mogłam wyglądać jak człowiek, wzdychać jak człowiek, a i tak nie zmieniało to faktu, że tkwiłam, uwięziona, w samym środku pentagramu.

Trzeba przyznać, że ktoś to świństwo wyrysował z prawdziwą znajomością tematu. Każda linia perfekcyjnie wykreślona, każdy znak pieczołowicie wypisany. Tu popiół z ziół, tam tłuszcz ze zwierząt i roślin – odpowiednio, pergaminy z zaklęciami. Będzie trzymało do skończenia świata. No chyba, że ktoś się tutaj wcześniej zjawi...

Miejsce z pewnością nie było odludne. Cały czas słyszałam głosy. Na moje ucho właśnie trwało dość intensywne pożegnanie. Pentagram generalnie ogranicza nie tylko możliwości przemieszczania się, jednak słuch generalnie mam niezły, no i tamci szeptem nie mówili. Ktoś podniesionym głosem żądał od kogoś noszenia skarpetek, szczególnie w zimne noce, oraz zakazywał stanowczo sikania za burtę w trakcie burzy. Ha! Znam paru takich, którzy mogliby zaprotestować przeciwko polewaniu moczem ich pieczołowicie skomponowanego sztormu. Po takim proteście zazwyczaj niewiele zostaje z polewającego.

Ktoś inny z naciskiem informował, że wroga atakuje się tym końcem włóczni, gdzie grot jest. Logiczne. Inny jeszcze przypominał z uporem, że najpierw palić, a potem dopiero gwałcić. Nielogiczne, ale za to ludzkie. Wszystko to zaś było okraszone odgłosami licznych klepnięć, chyba w plecy, i czyjegoś donośnego smarkania. Nad ten hałas wybił się nagle czyjś donośny głos z żądaniem, żeby się jednak pospieszyć, bo jak GIN wróci, to nie ma mocnych, nie przepuści okazji do wikingu. Wiking. Znaczy Normanowie. Znam Hel. Ostatnio miałam nawet okazję ją spotkać. New Age dobrze jej zrobił...

Usłyszałam czyjeś pospieszne kroki.

No proszę, a niektórzy utrzymują, że średniowiecze to epoka miniona. Tymczasem stanęłam twarzą z twarz z najprawdziwszym Wikingiem...Chociaż może coś jest w tym gadaniu o średniowieczu, bo brodaty wojownik spojrzał na mnie z zainteresowaniem i zapytał: Ty tu na zastępstwo? Nie odpowiedziałam. Wiadomo pentagram. Ale i chyba jemu nie za bardzo na odpowiedzi zależało. Rzucił mi krytyczne spojrzenie, wymamrotał pod nosem kilka uwag na temat kolejnej baby i gniazda os, którego miałam niby być kolejnym elementem, potem pokręcił się, pokręcił, pozbierał kilka przedmiotów i zanurkował pod jakiś mebel. Wylazł, strzepnął pajęczyny z rękawa tuniki i rzucił mi papierową kulkę. Wprost w moje ręce. No to masz i rób, co trzeba, stwierdził i zniknął. Nie patrzyłam, gdzie poszedł. Na kartce mogło być jakieś zaklęcie, może jakieś anty-pentagramowe? Miałam przecież robić swoje. Rozwinęłam kartkę. Z pewnością nie był to zapis runiczny... Czarne literki tworzyły równe rządki:

Jewgienij Łukin, Adam Cebula, Magdalena Kozak, Aleksandra Janusz, Monika Sokół, Szczepan Twardoch.

Ciekawe...

reklama

Wysyłkowa księgarnia internetowa

www.fantastyka.now.pl

Szukasz książek z gatunków science-fiction, fantasy i horror lub komiksów? Gier figurkowych, fabularnych i karcianych? Zajrzyj do nas, znajdziesz prawie trzy tysiace pozycji, w tym trudnodostępne.

Na stronie księgarni prócz tego konkursy, informacje o nowościach i zapowiedziach wydawniczych. I, co ważne, sprawdź nasze ceny, nie zawiedziesz się :-)

Zapraszamy do zakupów.

Zapraszamy właścicieli serwisów i stron internetowych (nie tylko fantastycznych) do naszego Programu Partnerskiego. Szczegóły na stronach księgarni fantastyka.now.pl

Fahrenheit Crew

Bookiet

Bardzo nietypowe fantasy

Jest to w gruncie rzeczy opowieść o kilku pokoleniach pewnej rodziny. I pewnie niczym by się nie wyróżniała na tle innych, gdyby nie fakt, że towarzyszące historii wydarzenia obfitują w przesądy, które są czymś więcej aniżeli tylko przesądami. Żadne zabobony, tutaj są one prawem natury! Co w tym dziwnego? Fantasy jak każda inna? Niby tak, ale to książka wyjątkowa, a jej wyjątkowość bynajmniej nie polega na tym, że jej autor jest noblistą. Jest napisana plastycznym stylem, który z łatwością kreuje tę niezwykłą atmosferę, a autor nie zastanawia się nad tym, jak zaskoczyć czytelnika, opisując coś niewiarygodnego, on to po prostu opisuje tak, jakby to było coś, co widujemy codziennie. I tak Cyganie latają na dywanach, duchy istnieją, panują tu dziwne choroby, z czego symptomem jednej z nich jest zapominanie (zarówno ludzi, zgromadzonej wiedzy jak i najważniejszych czynności codziennej rutyny). Cudom i rzeczom dziwnym nie ma końca.

Jako że wyniosłem z liceum takie zboczenie, aby doszukiwać się w książkach tego, co autor chciał powiedzieć, nie mogłem dojść do jakiegokolwiek klucza, aby rozszyfrować przesłanie powieści. Fabuła skupia się na historii rodziny Buendiów, sporadycznie przeplatanej z różnymi życiowymi spostrzeżeniami, ubranymi w poetyckie metafory. Ale nie opuszcza w trakcie czytania wrażenie, że coś łączy te wszystkie wydarzenia. Co takiego? Otóż, wszyscy bohaterowie mają wspólną cechę: są w jakimś aspekcie samotni. Są samotni, bo coś ich alienuje od pozostałych: inne poglądy, inne zainteresowania, wychowanie czy kompleksy. Wszyscy bohaterowie są niczym fragmenty jednej wielkiej układanki, ale żaden z tych fragmentów nie pasuje do pozostałych.

Jest to książka, którą warto przeczytać. Niewiarygodna atmosfera, pomysłowość w wymyślaniu kolejnych cudów i dziwactw. I mimo że fabuła może momentami nużyć, a liczba bohaterów doprowadzać do zgubienia sensu samej treści czy też powieściowego "poczucia czasu", to jednak jest to dobra lektura. Nietypowa, przyjemna w czytaniu. Coś, czego nigdy przedtem nie zdarzyło mi się czytać i co gorąco wszystkim polecam. I mam wrażenie, że długo nie przeczytacie czegoś takiego.

Lafcadio

Gabriel Garcia Marquez
Sto lat samotności
Tłum: Grażyna Grudzińska i Piotr Carlson
DeAgostini Polska, 2001
Stron: 437

Prawdziwe bajanie

Jest taki typ książki, którą chętnie czytają dzieci, ale tak naprawdę jest napisana dla dorosłych, i to tych bardzo dorosłych. Książki, w których wszystko jest miniaturowe, dziecięce, zabawkowe, ale niekoniecznie zabawne. Książki, które wymagają od wyobraźni czytelnika oderwania się od fizycznej codzienności. Na przykład Alicja w krainie czarów, która już w pierwszej scenie spadania w króliczej norce łamie wszelkie prawa otaczającego nas świata. Możemy przypisywać sobie scenie, w której spada się wolno-szybko, logikę snu. Ale, za tą sceną jest decyzja i przemyślenie piszącego. Może mu tak wyszło, a może chciał nam coś opowiedzieć? Poza niezwykłą urodnością owych scen jest jeszcze właśnie to coś, najczęściej obserwacja otaczającego nas świata. Dopiero w bardzo pokrzywionym zwierciadle takich historyjek dostrzegamy coś, co faktycznie dzieje się w naszym otoczeniu, co nie jest wcale wymysłem chorego umysłu pisarza, degeneracją albo robieniem w jajo czytelnika, ale realnym faktem, motywem, który zdarza się z zachowaniem proporcji. Zapewne znacie historię kariery kinematograficznej Glusia-filmowca? Nakręciłby jakiś film, gdyby tylko ściągnął kapturek z obiektywu. Z tego powodu, że nie zdjął, taśma pozostała czysta, co jednak nie przeszkodziło odnieść mu w sumie sukcesu... Gdy się rozejrzymy wkoło, takich historii dostrzeżemy całe mrowie. Zobaczymy życie nie jako ciąg logicznych decyzji przedstawicieli gatunku homo sapiens sapiens, ale szarej masy absurdów czy kretyńskich pociągnięć groteskowych postaci. Zobaczymy, jak bardzo jesteśmy zadufani, jak przesadzona jest nasza wiara siłę rozumu. To nie linearna ciągłość zdarzeń nas otacza, nie fabuła z Sienkiewicza rodem, ale szereg bzdur, w którym jak perełki lśnią nie-głupoty. Świat wg Macieja Wojtyszki, czy kpiarzy z „Monthy Phytona" jest prawdziwszy niż ten, który malują nam choćby... podręczniki historii.

Świat tworzą nieudacznicy, ludzie, którym nie wszystko wychodzi. Tacy, którzy tylko psują prawie wszystko, często awansują na geniuszy. Bohr, ten od modelu atomu, podobno myślał tak wolno, że nie mógł nadążyć za akcją filmów i po wyjściu z kina musiał się dopytywać przyjaciół, co właściwie się stało... Dominują ludzie pokręceni, często poszkodowani przez los, zwykle po prostu głupi, i zauważenie, jaka jest właściwa proporcja pomiędzy nimi, a takimi, których w książkach (bo nie w życiu) uważamy za normalnych, jest odkryciem. Dokonuje się go zazwyczaj po kilka razy. Po kilka razy także odkrywamy, jak ważny jest przypadek czy szczęście, i że to szczęście nie ma za wiele wspólnego z chęciami i pracą, jaką wkładamy w uzyskanie sukcesu.

Dopóki się nie posiądzie tej wiedzy, albo nie otrzyma od Boga wyjątkowego daru w postaci rąbniętego poczucia bardzo czarnego humoru, rzeczywiście lepiej takich książek nie czytać. Wydają się kretyńskie, irytują czasami kompletnie zdawałoby się irracjonalnym rozwojem zdarzeń. Dopiero kubeł czarnego jak sadza pesymizmu pozwala nam dostrzec, że owszem, wszystko jest diabelnie logiczne, że pasuje do siebie i wymiana choćby jednego słowa może spowodować zawalenie się misternej konstrukcji fabularnej. Zapewne dopiero życiowe cięgi powodują, że czytając takie książki, mamy poczucie obcowania z finezją, jak podczas oglądania gotyckich katedr, czy misternych zdobień minaretów.

Bohater naszego dzieła, jak najbardziej magicznego i fantastycznego, dla albo bardzo młodych, albo bardzo dorosłych, zaczyna od sprawienia sobie za pomocą zaklęcia tuszu z czarnego tuszu, choć jak nietrudno się domyślić, chciał pozyskać w ten

sposób kałamarz z zawartością, w której miałby umoczyć piórko do rysowania. Klucz nieszczęścia tkwi w podwójnym znaczeniu słówka „tusz". Potem potrafi zameldować, że uzyskał połowiczny sukces. Od lat kilkunastu usiłuje się nauczyć czegoś, co powinno mu zająć kilka tygodni. Jakbym siebie widział...

Lojalnie uprzedzam, że „Sekret Wróżki" nie jest tak dobry jak „Bromba i inni" lecz autor „trzyma poziom". Możemy się ubawić i zadumać...

Baron

Maciej Wojtyszko
Sekret Wróżki
MAW, 1985
Stron: 94

Ku pokrzepieniu rozumu

Istnieje kategoria i książek, i bohaterów, które w pewnym wieku starannie się omija. Ciekawe, że przychodzi na człowieka czas, gdy stają się one szczególnie pożądane. Przychodzi na człowieka czas, gdy czytanie tak zwanej beletrystyki staje się uciążliwe. A zazwyczaj czytelnicza przygoda zaczyna się właśnie od niej. Ten drugi rodzaj (bynajmniej nie używam tu słówka „rodzaj" w sensie w jakim występuje w teorii literatury) pisania to coś pomiędzy literaturą piękną a fachową. O tym, że takie pisanie istnieje, uczą w szkole. Jednak, jeśli zabieram czas tymi refleksjami, to z powodu umowności wszelkich podziałów. Zazwyczaj teoretycy zabierają się do szufladkowania dla zyskania sławy. Systematyka w biologii unieśmiertelniła kilku twórców całkiem różnych systemów. I co z tego, że niezgodnych na przykład z faktycznym genetycznym pokrewieństwem.

Być może na skutek jakiegoś usystematyzowania, do części tekstów ludziska pchają się drzwiami oknami (jeśli jeszcze do jakichkolwiek tekstów zjawisko pchania się występuje), inne zaś leżą sobie odłogiem.

W pewnym stopniu szufladkowaniu poddaje się też przyczyna, dla której ludzie po książki sięgają. Jeśli otwieramy katalog podpisany „literatura rozrywkowa", to pewnie chcemy, żeby nam miło czas upłynął. Niestosowność tego wynikania dość prosto pokazać, gdy uświadomimy sobie, że każdy niemal rozrywa się trochę czym innym. Szachistów mecze bokserskie śmiertelnie znudzą.

Tak więc wszelkie podziały wymagają zastrzeżeń obwarowań i zarzekań autorów, że są prawdziwe w zasadzie, czasami, albo tylko chwilowo. Dlatego też każdorazowo odkrywanie jakiegoś sposobu podziału ma posmak przygody i jest tak zwanym indywidualnym doznaniem.

O jakim typie literatury mówię? Myślę, że jego wyróżnikiem jest spojrzenie w kalendarz i czytelnika, i autora. W pewnym momencie dostrzegają, że ich czas biologiczny nieuchronnie się kończy. Pisarze w takiej chwili albo podrywają się do lotu, albo zaczynają na kilogramy produkować badziewie. A czytelnicy różnie. Jedni rzucają biblioteczki w cholerę, łapią się na tym, że przehulali wiele tego, darowanego im przez przypadek zaistnienia czasu, na jałowym poznawaniu jałowych historii, pełnych zdarzeń, ale pozbawionych treści.

Niektórzy z nich próbują wręcz odwrotnie: poukładać sobie w głowie dzięki książkom. Tak to sobie wyobrażam. Porządek w głowie zapewne potrzebny jest dla uciszenia emocji, zapewne daje jakiś komfort, choć czasami wręcz odwrotnie, ale są ludzie, którzy mają wrodzoną potrzebę posiadania jakiegoś porządku. Być może właśnie jest to potrzeba systematyki. Może takiego samego szufladkowania świata, jakiego dokonują na książkach literaturoznawcy? Nie wiem.

Myślę, że ten typ czytelnika sięga po książki pisarzy, którzy, zaniepokojeni datami w kalendarzu, postanawiają napisać wreszcie te rzeczy, które nie dadzą może sławy, może wymagają bardzo wiele pracy, ale o czymś opowiadają. O czymś rzeczywistym. I tu kolejna refleksja: niczym byłaby fantastyka naukowa, gdyby opowiadała tylko i wyłącznie o rzeczach wymyślonych. Także nic nie warte byłyby badania historyczne, gdyby dotyczyły zdarzeń, które nie mają związku z naszym codziennym życiem. Nie wiem dlaczego, ale zarówno wymyślona przyszłość, ale „bardzo możliwa", jak i nie do końca odgadnione tajemnice przeszłości, miewają wartość chyba tylko wtedy, gdy opisuje je pisarz, któremu już żal czasu na zdobywanie czytelników, a chce opowiedzieć, co ma w głowie.

Otóż polecam książkę z gatunki historycznego eseju, o jednym z członków rodziny Poniatowskich, księciu Stanisławie. Taki zakamarek historii. Losy człowieka, który nikogo nie zdradził, nigdzie się nie pojedynkował, nie miał wielu kochanek i zapewne przez to został zapomniany. A jednak człowiek, którego dzieje są znakomitą ilustracją do czegoś, co mnie we fantastyce naukowej bardzo interesuje: tego, jakimi drogami chadza cywilizacja. By wykreślić linię w przyszłość, musimy mieć parę wiarygodnych punktów w przeszłości. I tym wszystkim, którzy zastanawiają się nad porządkowaniem tego, co widzą, nad tym, dokąd zmierzamy, tę książkę polecam.

Baron

Marian Brandys
Nieznany książę Poniatowski
Iskry, 1988
Stron: 140

O prawdziwszych czartach

Ano to jest tak, że są pisarze o sporym dorobku i prawie całkowicie nieznani, mimo tego, że to, co napisali jak najbardziej jest warte czytania. Czasami, gdy całkiem przypadkiem trafi się na taką postać, aż mi głupio, że nic o człowieku wcześniej nie słyszałem. Wszelako pisarzy na świecie dostatek. Nie każdego da się poznać, nie o każdym nawet dobrym warto wiedzieć, nie każdego trzeba polecać. Powiem szczerze, że często decyduje przypadek.

Refleksja druga, to przyczyny współczesnej ucieczki w świat wymyślony. Czasami mam wrażenie, że jedną z zasadniczych jest zwyczajny brak wiedzy. Historia, zwłaszcza nasza, polska dla nas, Polaków niesie dość dziwnych zdarzeń postaci i tajemnic, by zapełnić nimi wiele stronic. Któż zastanowi się nad tym choćby, że bohaterowie Sienkiewicza są nie do końca wymyśleni, że ich imiennicy istnieli i często dokonywali tego, co stało się ich udziałem na kartach powieści? Niestety, autor opłacił ową solidność ślęczeniem nad kronikami. A jak napisał ktoś w sygnaturce „robota to gupota".

No więc chyba z racji inwazji komputerów, dramatycznego potanienia procesu wydawniczego takich solidnych książek będzie coraz mniej. Coraz częściej autorzy będą osadzać swych bohaterów w „nigdylandiach", by nie można ich było rozliczać z nielogiczności, nieznajomości i innych wpadek. Niestety, uwolnienie od realiów, które stało się początkiem

gatunku fantasy stało się dziś schronieniem dla przypadków całkowitej ignorancji.

No i wreszcie sam autor. W Internecie doliczyłem się wydanych sześćdziesięciu jeden jego pozycji. Urodzony w roku 1924, piszący od wczesnych lat pięćdziesiątych (debiut 1945). Zaliczany do marynistów. Autor pozycji takich, które samym tytułem obiecują wiele atrakcji „Bizantyjska noc", „Amulet Wielkiego Chana", a pozostaje raczej nieznany. Dlaczego? Po pierwsze, chyba język. Staranna stylizacja, archaizmy, zapomniana, trudna gramatyka. Trzeba dobrze umieć czytać, przynajmniej trochę lepiej niż uczeń drugiej klasy szkoły podstawowej, żeby się to czytało bez trudności. Niby złośliwość, ale wiem to z własnego doświadczenia, że wystarczy coś napisać wierszem, by dla współczesnego czytelnika stało się niemal całkiem niezrozumiałe, w najlepszym razie „piąte przez dziesiąte", jakby kto czytał tekst czeski. Szkoda. Niestety, „rynkowe nastawienie" wyklucza coś takiego, jak wymagania wobec czytelnika. Książek napisanych z konsekwentną stylizacją będzie coraz mniej.

Nie polecam tymczasem wcale jakiejś „xięgi dla konesera". Wręcz przeciwnie, historia jak najbardziej sensacyjna, jak najbardziej awanturnicza, ba! samo sedno literatury „płaszcza i szpady". Gdzieś jest uwięziona królewska krewna, jest klejnot, który staje się znakiem rozpoznawczym, jest posłaniec, z tytułowym czartem za kulbaką, szpiedzy, tajemnice, niebezpieczna wyprawa kaperskim statkiem, i cóż, że Bałtyk jest akwenem, na którym bitwy morskie się rozgrywają. Nie gorsze one od tych, co gdzieś na Karaibach uskuteczniono, tylko woda zimniejsza. Są wreszcie niespodziewane zwroty akcji, główny bohater gdzieś w Dzikie Pola wyjeżdża, i z oczu nam ginie, jak trzeba. Na dodatek na końcu mamy zdjęcie owego klejnotu ze zbiorów wawelskich, co grał rolę Znaku. Jedyna trudność: książką się już raczej nie handluje. Kupiłem na „taniej jatce" za jakiś złoty czy dwa.

Baron

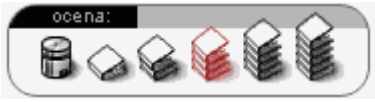

Sławomir Sierecki
Czart za kulbaką
Wydawnictwo Morskie, 1987
Stron: 123

O kobietach i nie tylko

Nie wiem, czy to jest ten nurt tak zwanej prozy współczesnej. Nie będę się też specjalnie tłumaczył, że to jakaś fantastyka. To nie ma z fantastyką nic wspólnego, formalnie rzecz biorąc. Może poza jednym. To się daje spokojnie czytać w kolejowym wagonie, a nawet w przedziale. Autor starał się opisać historię ciekawe. Istnieje taki sposób na zostanie bardzo wielkim artystą. Trzeba zamęczyć, zamordować na śmierć nie tylko czytelnika, ale i krytyków. Jeśli twe Dzieło jakiś wyjątkowo zajadły i odporny osobnik z Redakcji doczyta do końca, to możesz mieć, kochany Autorze, cieplutko: może się zdarzyć, że ZROZUMIE. Na przykład to, że do powiedzenia nic nie miałeś.

Może tu piszę o jakichś banałach, ale to było tak, że podszedłem sobie do półki z książkami przecenionymi i to bardzo, bo ja mam takie przyzwyczajenie, że zawsze mnie gdzieś po śmietnikach ciąga. Bierze się to z tego, że szare za czasów komuny sklepy, niewiele się od wysypiska śmieci różniły, a dziś jest o tyle lepiej, że to śmietnisko zostało ustrojone. Zadbano o wyczyszczenie z błota wysypanych śmieci, które możesz nabyć za walutę teraz już wymienialną po niespodziewanie dobrym kursie. A skoro masz już płacić za śmieci, to dobrze zapłacić jak najmniej. Prawda? Dlatego grzebię się w tych najtańszych książkach. Dziwnym trafem znajdują się w nich od czasu do czasu tak zwane arcydzieła literatury światowej, z których możesz się nauczyć jak pisać, a i zwyczajnie czyta się to bez rozczarowania, bez wpieprzania się na nieudolność tfurcy. Dlatego polecam dobrych pisarzy, a nie złych, choćby nawet i byli NASZYMI tfurcami fantastyki.

Co ma dobra książka? Na przykład ciekawą, wciągającą akcję. Ta ma akcję pieprzną. Nie są to historie o agentach tajnych wywiadów, ale o ludziach czasów szarych i śmieciowych, jak te wysypiska. Lecz autor tak zwany wątek społeczny umoczył w ostrym jak cholera sosie erotyki. I można to odczytać jako opowiadania erotyczne w społecznym aspekcie, czy raczej pretekście do ukazania gołej... no. Wiadomo, o jaką część ciała chodzi, o jakiej najchętniej się rozprawia. A jednak za tym wszystkim jest prawdziwe tło, prawdziwej ludzkiej małości w prawdziwym społeczeństwie. Nieraz to już podkreślałem, że sztuczność zabija fantasy. Dla nie-miłośników, dla przypadkowego czytelnika, który nie miał Tolkiena w rękach, może być zupełnie niezrozumiałe, dlaczego krasnolud, a nie krasnoludek.

Gdy jednak w tekście odnajdziemy kawałek podwórka, które się widzi za oknem, to zaraz umiemy się po nim poruszać. Niestety, autor wystawia się na naszą ocenę. Nie może czegoś takiego napisać nastolatek, ba dwudziestolatek, bo się zwyczajnie nie zna. Trzeba mieć coś o tym rzeczywistym świecie do powiedzenia. Coś prawdziwego, „działającego". Z takiego dobrego opisu podwórka można się nauczyć, kto nam może na nim dać w zęby... albo jak nas (no dobra, JESTEM męskim szowinistą) w durnia zrobią pojawiające się na nim kobiety. I to jest warstwa poznawcza lektury.

Co jeszcze? Moralitet. Opowiadania za jeden z głównych motywów mają zawsze żądze i grzech. I cóż z tego, że pisarz socjalistyczny, ateistyczny: seks nieuchronnie rodzi zagrożenie grzechem. A grzech jest bardzo literacki, bardzo sprzedajny, szczerze mówiąc, lubimy grzeszyć. Niestety, tu występek spotyka kara. Owszem, nie każdy jej doświadcza, ale żądze są karane. Świat wraca do swego porządku szaro-socjalistycznego, do żon, rozwodów dzieci i towarzyskich pakudnych układów.

Książka ma, niestety, też skazę, której we współczesnej literaturze nie uświadczysz: elementy klasycznego produkcyjniaka. Jednak tak sobie myślę, że warto się przekonać na własnej skórze, czem ów produkcyjniak? Ciekawostką w tym wszystkim jest to, że została wydana już po upadku komuny. Nie wiem, czy da się ją kupić, może leżeć gdzieś porzucona... Warto podnieść.

Baron

Andrzej Chmura
One
Współczesność, 1990
Stron: 187
kupione za 1 PLN

Zmok i kurdle

Pisarze się zmieniają. Czytelnicy miewają do nich o to ogromne pretensje. Zazwyczaj dotyczy ta uwaga tak zwanych ostatnich czasów, mamy do czynienia z diabelnie stabilną metodą, wypuszczaniem serii „dzieł" na jedno kopyto, o całą serię minus jeden za dużo. Czytelnikom w tym drugim przypadku przeszkadza to jakby mniej. W każdym razie i tak źle, i tak niedobrze. Jak rozstrzygnąć, kiedy gorzej? Domniemam, że sam werdykt będzie w stylu „na dwoje babka", albowiem gdy pisarz, wyrzuciwszy na świat coś, co uzyskało poklask, bierze się za coś całkiem innego, sprowadza na siebie gniew czytelnika konwencjonalnego, który nie chce być zaskakiwany, który nie ruszy łepetyną i dla którego akapity nie mogą być za długie, bo pogubi się w ich treści. O ile taki czytelnik się wkurzy, nie jest tak źle. Znaczy, coś idzie do przodu. Bywa jednak tak, że nas dzielny artysta, po osiągnięciu tak zwanego sukcesu wydawniczego, postanawia zostać Prawdziwym Artystą. Tenże przypadek jest bardzo trudny do odróżnienia, gdy chce zwyczajnie napisać coś mądrego, czy po prostu innego od tego, co do tej pory napisał. Jeśli więc „idzie w artysty", to zdecydowanie lepiej, żeby rzemieślniczym wysiłkiem produkował to, co do tej pory, w efekcie serię hitów, aż do całkowitego zaniku zainteresowania rynku.

Może być też tak, że pisarz zmądrzeje, i to, co napisał do tej pory, wydaje mu się głupie. Chce napisać coś innego. Był optymistą, stał się pesymistą, stracił w coś wiarę, przekonał się, że jakaś ideologia nie jest warta funta kłaków... No i wtedy bywa, że zaskakuje czytelnika zupełną zmianą nastroju tematu i bohaterów.

Jest Lem wczesny, Lem średni i Lem późny. Co najmniej. Lem wczesny to hard SF. Kosmoloty, kosmonauci dzielni najbardziej i takie sprawy. Lem średni to Ijon Tichy. Lem późny jest smętny, nudny i filozoficzno bełkotliwy w powszechnym mniemaniu. Swoją drogą, jak w dziurach czasowych, poszczególne produkcje poszczególnych Lemów nie zachowują czasowego następstwa. Najwyraźniej mutra przy sterach poluzowała...

Osobną sprawą jest stosunek Lem – fandom i na odwrót. Jego praktyczny brak zainteresowania środowiskiem miłośników fantastyki, a nawet niechęć. Przyznam szczerze, że mając jego doświadczenia, zachowywałbym daleko posuniętą ostrożność. Tymczasem znaczna część miłośników kochanego gatunku wyciąga z tego wniosek, że Lem „ma gdzieś" czytelnika, czemu daje wyraz, wypisując rzeczy długaśne, filozoficzne i całkowicie niestrawne. Powiedziałbym, że na odwrót, środowisko mając pod nosem genialnego pisarza, wyraża zupełną bezinteresowną obojętność wobec niego. Owszem, o Lemie czasem się mówi, ale nie istnieje on ani w czasopismach poświęcanych fantastyce, ani w specjalistycznych wydawnictwach. W księgarni, ustawiony gdzieś między „arcydziełami", zachęca, aby go nie dotykać. W rezultacie, Lem staje się nieznany.

Pisanie Lema jest im późniejszy (średnio biorąc) utwór, tym zawiesistsze. Taka tęga grochówka, w której łyżka staje, pełna kawałków boczku. To, niestety, nie ułatwia odbioru, jeśli dodamy piekielną erudycję, wymaganie od czytelnika znajomości i języków, i naukowych faktów. Rzecz jednak w tym, że owa zawiesistość nie jest jednoznaczna ze zmanierowaniem. Kto czytał, ten wie, że Lem kitu nie wkłada w to, co pisze, że szanuje odbiorcę. Owszem, wymaga wiele, ale w zamian zazwyczaj bawi.

Część jego powieści dorobiła się zupełnie niesłusznie legendy całkowitej niestrawności, opinii, że przeznaczona jest dla snobów, bynajmniej nie dla koneserów. Na przykład „Wizja lokalna". Powiem tyle, że każdy miłośnik fantastyki powinien wiedzieć, jak się poluje na kurdle. Jeśli jeszcze nie wie, niech tamże przeczyta. Zanim jednak zacznie czytać, niech poinstruuje rodzinę, jak ma go ratować na wypadek gdyby dostał ataku niepohamowanej uporczywej chichrawki. To nie są żarty: można zarechotać się na śmierć! I taka jest prawda o Lemie.

Ps: Zmok to zmoczony smok.

Baron

Stanisław Lem
Wizja lokalna
Wydawnictwo Literackie, 1982
Stron: 315

Fahrenheit Crew

Recenzje

„Nicość! Widzę nicość!"

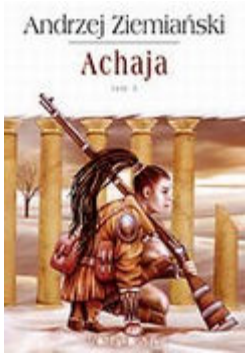

Coś się kończy (na szczęście), a coś się zaczyna (niestety). Kończy się zasadnicza historia Achai, zaplanowana początkowo na dwa tomy, co zresztą widać gołym (nawet mocno krótkowzrocznym, jak moje) okiem. Tom trzeci to wyjątkowo piękne studium końcowej fazy równi pochyłej, skomponowane z precyzyjnie dobranych składników.

Chcesz li studium takowe otrzymać, tako uczyń:

1. Wątkom fabularnym, gadzinom zajadłym, łby sprawiedliwie poukręcaj i zabij je, byle na śmierć.

Zacznijmy od wątku Mereditha. W pierwszym tomie intrygował, rokował dość spore nadzieje, bo to i bogowie, i Wielki Kłamca, Ziemcy wreszcie – tajemnica na tajemnicy i sekretem pogania. Nic, tylko stopniowo uchylać rąbka, by wreszcie doprowadzić do szokujących rozstrzygnięć .W tomie drugim zaczął ewoluować w słabiutko filozoficzny bełkot, ale jeszcze drgał: przegrana konfrontacja, przemiana w demona, odkrycie tajemnicy Ziemców. W trzeciej części czarownik-demon stał się dramatycznie śmieszną płaczką na gruzach przemijającej cywilizacji, ergo – wątek ubity, na śmierć.

Losy Zaana, świątynnego skryby, który chciał wybudować sobie w pamięci pokoleń pomnik trwalszy od spiżu, i jego podopiecznego Siriusa, który z żebraka został księciem, wielkim w dodatku, zajmują z tomu na tom coraz to mniej miejsca, w tym zresztą najprawdopodobniej główne źródło porażki. Wątek, zepchnięty na margines, kończą dwa zgony, z czego jeden (Siriusa) zupełnie idiotyczny, a drugi (Zaana) niewiele lepszy, bo poprzedzony rozwlekłą mową rodem z Szekspira, która w tym uniwersum daje efekt boleśnie wręcz groteskowy. Druga zajadła gadzina martwa jak ta makrela.

Z trzecim podmiotem, historią Achai, księżniczki naszej, trudniej będzie, bo autor wyczuł potencjał i ubił ją, ale nie na śmierć, co dobitnie w *post scriptum* pod pozornie zbawczym słówkiem „koniec" oznajmia. Ale można to zaliczyć warunkowo. Księżniczka najpierw utraciła dziedzictwo, potem znalazła sobie nową ojczyznę, a koniec końców pokazała wszystkim, gdzie ich miejsce, bo wzięła sobie, co jej, dorzucając jeszcze Luan na dodatek. W tak zwanym międzyczasie dwa razy ją zabili, z czego raz na śmierć, ale uciekła. Skutkiem ubocznym tych wszystkich traum (nie jest łatwo być dwukrotnym prawienieboszczykiem), był powrót do stanu tabula rasa – cesarzowa zatraciła jakikolwiek charakter, wszelkie cechy indywidualności. I chyba trochę jej się poprzestawiało pod szacownym sufitem, bo ogłosiła się dupą wszystkich wojowników, co to w gwiazdach mieszkają. Oraz jednego ćpuna na miejscu. W sumie racja, droga do gwiazd daleka.

2. Na bohaterów baczenie miej, by przypadkiem żaden, przed szereg się wychyliwszy, czytelników zainteresować się nie poważył. Jeśliby który tej sztuki próbował, zapędy jego twardą ręką ukróć.

Na przestrzeni całej trylogii ryzyko podjął zasadniczo tylko generał Biafra. W pierwszym tomie liczyli się jeszcze Sirius i Zaan, ale zostali zręcznie wymanewrowani. Inni nie bardzo mieli z czym się pchać do ludzi. Znaczy się, dyscyplina jest. A na niepokornych bat, jak zresztą świetnie widać na przykładzie Biafry: zabłysnął bezczelnie w drugim tomie, to w trzecim stał się żałosnym narkomanem, co przez większość czasu nie tylko na nogach się nie może utrzymać, ale nawet nie kontaktuje. I już wie, gdzie jego miejsce, i pokornie, zrozumiawszy błędy, opuszcza ten padół łez za przyczyną marskości wątroby. Po tym odstraszającym przykładzie Annamea, która mogłaby być ciekawą postacią, jest już ostrożniejsza, co jej się zresztą opłaca, dostaje w zamian życie i zaszczyty.

3. Fabuły takoż z oka nie spuszczaj, by nie przyspieszyła zanadto.

Najlepszym sposobem na wypełnienie tej dyrektywy jest cudowne przemienienie dylogii w trylogię. Potencjał fabularny *Achai tom III* ma na maksymalnie 150 stron. Jest dwa razy dłuższa, bo kto by kupił taką krótką książkę? Bonusowo dostajemy furę pustosłowia i dłużyzny na dodatek. Nuda. Prawie jak w polskim filmie. Akcja rusza się jak okulawiona nasza szkapa. Aż się ma ochotę zamknąć książkę...

4. A język twój niechaj sztywny będzie jako ten kolek. Na grzech giętkości pod żadnym pozorem nie pozwalaj sobie.

Dialogi niedobre. Bardzo niedobre dialogi są. Właściwie to bełkot jest, na dodatek głównie z przekleństw złożony. Przekleństwa, bo wojsko. Zgoda. Ale, motyla noga, jakie to są fajne „przekleństwa": dupa (opcjonalnie głupia dupa) i małpa. A gdzie klasycznie wojskowe i zawsze skuteczne? Ale i tak dialogi są o niebo lepsze od narracji. Styl nie istnieje. Już nie kuleje, jak wcześniej, on zgubił kule i rozpaczliwie się czołga, jak jakaś weteranka z Arkach. Autor, zda się, zapomniał ojczystego języka. Już nie tylko składnia, fleksja czy interpunkcja, ale nawet stopniowanie przymiotników go przerasta, co znacznie utrudnia zrozumienie tekstu, a chwilami czyni je wręcz niemożliwym. Pytanie, gdzie była korekta, jest niewątpliwie kłopotliwe. Wolę wierzyć, że w ogóle jej nie było, bo jeśli to jest wersja po korekcie, to pojawia się przerażająca kwestia wyglądu rękopisu. Oraz kompetencji autora do pisania, już nawet nie książek, ale pisania w ogólności.

A autor pisać będzie, i to w dodatku kontynuację losów Achai. Którą ominę szerokim lukiem, jako że w *Achai tom III* widzę tylko pustkę. Nicość. Najmniejszego pozytywu. Nawet jak założę okulary, nic się nie zmienia. A, przepraszam, jest jeden: to już koniec.

Agnieszka Chojnowska

Andrzej Ziemiański
Achaja, tom III
Fabryka Słów, 2004
Stron: 416
Cena: 28,99

Gdyby Szatan był kobietą...

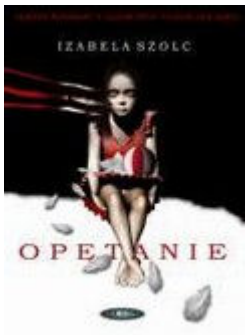

(...) i to jest duch Antychrysta, który – jak słyszeliście – nadchodzi i już teraz przebywa na świecie.
/- 1 List Jana 4:3, Biblia Tysiąclecia/

Wydało się: Antychryst jest kobietą. Młodą, seksowną Amerykanką. Tak przynajmniej wynika z najnowszej powieści Izabeli Szolc *Opętanie*. Przed powtórnym przyjściem Chrystusa na świat, według przepowiedni, zstąpi również Jego przeciwieństwo. A któż może być bardziej przeciwny Zbawcy niż kobieta?

Rzecz jasna, Antychryst zstępuje na świat w USA. Gdzież indziej miałby się urodzić, jeśli nie w ojczyźnie *Dziecka Rosemary*, *Egzorcysty* lub innych horrorów? Wiadomo powszechnie, że Szatan rodzi się w Stanach Zjednoczonych, osobliwie przywiązał się bowiem do amerykańskiego przemysłu filmowego. W powieści Izabeli Szolc jest to wyraźnie widoczne – nawiązania są bezpośrednie, w żaden sposób autorka nie ukrywa... ano, właśnie, czego? Inspiracji? Powiedziałabym, że są to po prostu kalki motywów. Zwrócić uwagę należy, np. na dom, gdzie mieszka matka Antychrystki, przeniesiono z *Dziecka Rosemary*. Sceny w nowojorskim kościele też zdają się żywcem wyjęte z filmu pt. *Omen* lub *Egzorcysta*, właśnie...

Carol, bo tak ma na imię wcielone zło, prowadzi egzystencję, jak na swoją rolę, wyjątkowo bezwładną – mieszka w apartamencie, za który płacą tajemniczy sponsorzy (nie dowiemy się o nich niczego, autorka wygodnie pomija ten wątek). Rzecz jasna, uprawia seks – z przyjacielem, jakiego wybrano jej jeszcze w dzieciństwie. Seks w ujęciu jak najbardziej fizjologicznym z tamponem w tle (nie krzywić się!). Dzieciństwo Carol, które poznajemy w powieści, nie obfituje również w jakieś interesujące wydarzenia – dziewczyna nie pospolituje się wszak z ludzką masą, ma prywatnych nauczycieli, indywidualny program nauczania i nawet specjalnie wyselekcjonowanego towarzysza zabaw, choć nie wiadomo, dlaczego akurat Daniel został wybrany przez tajemniczych wychowawców Antychrysta. O samym Antychryście też niewiele się dowiemy – zstąpiła, dojrzała fizycznie i... i nic. Świat się o niej nie dowiedział, nie nastąpił chaos, zniszczenie, znaki... Ot, kilka kameralnych sztuczek, ani nastrojowych, ani groźnych. Gdyby nie one oraz stałe zapewnienia autorki, pewnie nie rozpoznałabym w Carol diabła, choć w powieści udaje się to pewnemu księdzu... Ale to normalne, zawsze jest jakiś ksiądz, który widzi więcej.

Nie znajdziemy w *Opętaniu* wyrazistych postaci. Żadna z *dramatis personae*, ani Carol, ani Daniel, ani ojciec Turrini, nie sprawiają wrażenia choćby trochę żywych. Ksiądz podejrzanie przypomina stereotypowe postaci z filmów grozy, kochanek diablicy też nie ma wyrazistych cech. Uwaga autorki koncentruje się na Carol, która choć wie, że jest Antychrystem, to jednak ani misja, ani sposób realizacji nie są jej jeszcze znane, widać i do tego musi dojrzeć. A ta sytuacja daje doskonały pretekst, by bohaterka w swoim bezwładnym życiu miała co robić – oprócz seksu dziewczyna przeżywa dylematy. Ach, nie, przepraszam najmocniej: Dylematy. Tak przynajmniej napisano na okładce powieści: *„Opętanie" opowiada o mocy fatum oraz dorastaniu do swego przeznaczenia w świecie, w którym naprawdę rządzą nadprzyrodzone siły. O próbach zachowania tożsamości przez jednostkę*. Zajawka mocno na wyrost, albowiem ani rzeczonych prób, ani mocy fatum nijak nie można dostrzec, a dylematy Carol sprowadzają się do smętnych i łzawych rozmyślań, czym się stanie, kiedy TO się stanie.

Całość pisana niedbałym, chaotycznym językiem, przypomina raczej brudnopis powieści. Rozproszone opisy, przerwane czasem dialogiem lub melodramatycznym rozważaniem o rzeczonych Dylematach, kojarzą się z niedbałym szkicem scenariusza do jakiegoś łzawego filmu dla masowego odbiorcy, jakie często produkowane są właśnie w USA. *Opętanie*, ze względu na stereotypowość bohaterów, przewidywalne rozwiązania fabularne i styl narracji, doskonale wpasowuje się w ten właśnie segment produktów. Niestety, w przeciwieństwie do filmu, powieść nie obroni się dzięki efektom specjalnym lub interesującym ujęciom – nic nie odciąga uwagi odbiorcy od koncepcyjnej miałkości, pozbawionej choć promila emocjonalnego napięcia lub grozy. Może wymagam za wiele, w końcu, kto powiedział, że horror ma być straszny?

Miała to być zapewne powieść obrazoburcza i kontrowersyjna. Wyszła natomiast książka pospolicie nudna. Nie powiem, że to zła powieść, ponieważ utwory kalekie niosą w sobie ładunek kontrowersyjności. A powieść Izabeli Szolc jest po prostu nijaka.

Małgorzata Koczańska

Izabela Szolc
Opętanie
Solaris, 2004
Stron: 200
Cena: 23,90

Rzecz o bajkach

Tomasz Pacyński napisał mądrą książkę... Już kiedyś napisałam takie zdanie, przy okazji recenzji *Września*. Teraz, z całą stanowczością powtarzam. *Linia ognia* to najnowszy zbiór opowiadań autora. Najnowszy w wydaniu książkowym, bo część z nich była znana rzeszy czytelników z publikacji w czasopismach.

Trudno jednoznacznie zakwalifikować, z jakim rodzajem literatury mamy do czynienia. Z groteską? Prześmiewkami z bajek? Literaturą rozrywkową? Pacyński ma ten szczególny dar, który pozwala mu w treści z gruntu lekkiej zawrzeć coś głębszego. Wystarczy tylko przeczytać pierwsze opowiadanie *Opowieść wigilijna*. Tytuł znany, a jakże! Charles Dickens też opowiadał o cudzie wigilii. Zaczęło się całkiem niewinnie – od samej idei świąt. Ktoś powiedział, że święta są dodupne i kompletnie niepotrzebne. Pacyński, objedzony po wieczerzy, siadł do komputera i napisał, dedykując ktosiowi, swoją wersję *Opowieści*. Z jednej strony, zabawna aż do bólu przepony. Z drugiej, przerażająca. Święta w polskim domu, gdzie smród, brud i pijaństwo są na porządku dziennym. I w tym wszystkim mała, kilkunastoletnia dziewczynka, molestowana przez wiecznie pijanego ojczyma, zaniedbana przez zapracowaną matkę. Marzy o tym, by wyrwać się z koszmarnej rodziny, ogląda po wielokroć jeden film: *Leona Zawodowca*. Marzy jej się Gary Oldman, rozbijający łeb ojczymowi. Marzy o cudzie... O wielkim pistolecie, którym mogłaby zaprowadzić porządek we własnym mieszkaniu.

I nagle cud się przydarza, odwiedza ją Święty Mikołaj, przynosząc prezenty. Czy ktoś, kto wyrósł na dziecięcych bajkach, na legendach, opowiadających o wielkiej dobroci świętego z Laponii, mógłby przypuszczać, że Mikołaj może być złą postacią? Chyba nie...

A jednak – nic nie jest takie, jak w bajkach. Mikołaj nie przynosi podarków, przynosi śmierć.

Ale Pacyński nie byłby tej klasy autorem, gdyby nie dokonał przewrotnej wolty: wprowadza wyśmiewaną przez polskie dzieci, pamiętające czasy komuny, postać Dziadka Mroza. Jowialnego mężczyzny w sile wieku, ze wschodnim akcentem, srebrną czupryną i parą w pięściach.

Matylda i Dziadek Mróz umarliby śmiercią naturalną, jako postaci literackie, gdyby nie fakt, że dość mocno zapadły w pamięci autora. To duży potencjał, w ich historię można przecież wpisać całą masę kombinacji pomysłów. Tak narodziły się *Straty uboczne*, napisane do Fahrenheita. Matylda jest parę lat starsza, mniej naiwna, Dziadek pozostał takim jaki był. Naczelnym zadaniem pary bohaterów jest usuwanie postaci bajkowych, panoszących się na naszym świecie i robiącym wodę z mózgów dzieciakom. Przecież prawdziwy świat to

nie skrzaty plotące koniom grzywy i czarodziejki z różdżką, czy księżniczki, ale wujek pedofil, pijany sąsiad, Van Damme i Seagal. Tego dzieci muszą się nauczyć szybko.

Pacyńskiemu udał się zabieg rozpoczęty przez Sapkowskiego – przydaje postaciom z legend i podań realność, wpisuje ich istnienie w prawdziwy świat – i robi to z takim samym wdziękiem, jeśli nie większym. Widać, że autorowi bardzo podoba się własny pomysł, pisze coś, co lubi. Umiejętnie wprowadza na arenę bohaterów, których pierwowzory znajdziemy całkiem blisko. Wystarczy przypatrzeć się wampirowi z kolejnego opowiadania, tytułowej *Linii ognia*.

Do Matyldy i Dziadka Mroza dołącza kobieca bohaterka, Jagoda. Z Jagodą łączy Mroza niejasny układ – są dawnymi kochankami, rozstali się w dziwnych okolicznościach, teraz muszą wspólnie działać. Pacyński wykorzystał całe potencjał, jaki za sobą niosą konflikt płci, uczucie i zadawniona uraza, zazdrość kobiety o drugą kobietę, innymi słowy – czyste ludzkie zachowania, jakich pełno na tym świecie.

Jagoda nie jest zwykłą kobietą, o nie! To byłoby za proste w świecie autora. Jagoda jest wiedźmą, i to też nie taką zwykłą Babą Jagą, jak sugerowałby tytuł opowiadania (*Łysa Góra*). Gdyby przecież była zwyczajną czarownicą, Matylda musiałaby ją zlikwidować...

Pacyński od dawna dał się poznać jako amator i znawca wszelkiej maści broni, od białej do ciężkiej. Swojemu hobby znalazł świetne miejsce – w innych opowiadaniach z tomu: *Skarby pustyni i Dobre Mzimu*. Na pierwszy plan w tych opowieściach wysuwają się kolejni bohaterowie: Borejko i Kwiatek. Przenosimy się na tereny bardzo odległe od Polski – Irak i Afryka. Pisarz ma dość ugruntowany pogląd na wojnę, rozpoczętą przez USA, na obecność wojskowych misji na terenie Bliskiego Wschodu. Dał temu wyraz w swojej publicystyce, ale widać, że to dość nośny pomysł, by wykorzystać go również w literaturze. Przyznam, że tak przywiązałam się do Matyldy i Dziadka Mroza, że początkowo odczułam pewien dyskomfort, czytając o kompletnie mi obcych facetach. Jednakże postaci te są zarysowane tak mocno i wyraziście, że bardzo szybko się do Borejki i Kwiatka przekonałam. A gdzie ten konik autora? No, a jakże można pisać o wojsku i żołnierzach i nie wcisnąć tam różnego rodzaju uzbrojenia? Powiem tyle, że nawet taka kompletna dyletantka w temacie jak ja, nie poczuła się ani przez moment zmęczona sztafażem. (Nie silę się na napisanie jakim, żebym nie napisała jakiejś głupoty.)

Zastanawia mnie jedno – Pacyński udowodnił, że potrafi pisać świetnie, sprawnie i szybko. Bawią pisarza jego bohaterowie, ma całą masę pomysłów w głowie, by przydać postaciom bardzo przekonujące historie. Matylda i kompania mogłaby ujrzeć światło dzienne już dawno, dawno temu w postaci książkowej. Dlaczego dopiero Fabryka Słów zdecydowała się wydać Linię ognia? Ciekawe...

No nic, grunt, że dostaliśmy w łapki coś, co z jednej strony jest rewelacyjnym czytadłem, nie tylko dla czytelników fantastyki. Ale też, z drugiej, jest książką dobrze skomponowaną, z głębszą treścią, do przemyśleń zapraszającą. Jak mówiłam, jest książką mądrą.

I już zacieram dłonie – niedługo dalsze przygody Dziadka Mroza, Matyldy i Borejki oraz Kwiatka w *Szatańskim interesie*, zapowiedzianym przez FS już na wiosnę tego roku.

Karolina Wiśniewska

Tomasz Pacyński
Linia ognia
Fabryka Słów, 2005
Stron: 464
Cena: 27,99

„Sokół" w ogniu

Jeszcze kilka, może kilkanaście lat temu wydawało się, że polskim autorom nie będzie dane sięgnąć po tematy bliskie Forsyth'owi czy Clancy'emu. Nawet Waldemar Łysiak w swojej, słabej notabene i upolitycznionej do bólu, *Konkwiście* musiał opisywać przygody internacjonalnych najemników, dodając tam Polaka na przyczepkę. Bo też trudno było w owych czasach pisać o dzielnym Wojsku Polskim, które gromi wrogów.

Czasy jednak się zmieniają. Wprawdzie z tą współpracą wojskową może i nie zawsze wychodzi najlepiej, ale przynajmniej pisarzom łatwiej. Może i nasi, jak u Clancy'ego, nie rozbiją sami w proch i pył hord muzułmańskich. Ale co sobie postrzelają, to postrzelają. Wreszcie jest do kogo. A co więcej, nie budzi to i niedowierzania czytelników, bywają już precedensy.

Nikogo nie zdziwi dzisiaj, po doświadczeniach Iraku, Afganistanu czy Kosowa obecność polskich żołnierzy w Etiopii, na pograniczu z Somalią. Ot, wypełnianie zobowiązań sojuszniczych w kolejnej misji pokojowej. Jednak, jak i w Iraku, okazuje się, że ludność miejscowa może mieć zupełnie inne zdanie na temat demokracji i zachodniej kultury. Co gorsza, manifestuje to zdanie. Strzelając.

Kiedy polski patrol zestrzeliwuje niezidentyfikowany śmigłowiec, nic jeszcze nie wskazuje, że będzie to początkiem serii dziwnych, a nawet tragicznych wydarzeń. W ich wir wpada kapitan-lekarz Szczebielewicz, który prosto z aresztu trafia na pokład sanitarnego „Sokoła", wraz z komisją, która ma zbadać pochodzenie tajemniczej maszyny. Nie przypuszcza jeszcze, że pozornie rutynowa misja zamieni się w krwawą potyczkę, wręcz prawdziwą wojnę. Co gorsza w wojnę, w której wrogiem są nie tylko ci, którzy występują jawnie z bronią w ręku.

Wydaje się, że tytułowa Afrykanka, piękna panna Asmare, jest współczesną wersją Heleny Trojańskiej. Ale wkrótce okaże się, że gra toczy się o znacznie więcej.

Szczebielewicz musi stać się detektywem. Rozpocząć trudne śledztwo, by znaleźć przyczynę pozornie irracjonalnej wojny, odpowiedź na pytanie, kto i dlaczego zabija jego towarzyszy broni. Zadanie ma tym trudniejsze, że pomiędzy nim a tajemniczą panną Asmare budzi się uczucie.

Artur Baniewicz dał się poznać środowisku fantastycznemu jako autor przygód czarokrążcy Debrena. Tym razem otrzymujemy produkt zupełnie inny, aczkolwiek gatunkowo wcale nie nowy w jego dorobku – *Afrykanka* to bodajże trzecia jego powieść sensacyjna. Ale zarazem pierwsza, która otwiera nową serię SuperNOWEJ.

Trzeba przyznać, że jest to otwarcie udane. Wydawca zaczął mocnym akcentem, powieść, choć opasła, trzyma w napięciu od początku do końca. W dodatku nie jest tylko strzelanką dla dużych chłopców, w stylu wspomnianego już Clancy'ego czy Larry'ego Bonda. Czytelnik znajdzie w niej rozbudowany wątek kryminalny, a nawet romansowy. Lecz to wszystko unurzane w realiach paskudnej wojny.

Jeszcze jedno odróżnia dzieło Baniewicza od typowego technothrillera. *Afrykanka* jest bardziej kameralna, nie ma tu wielkiego rozmachu, walki mocarstw ze złem. Nie ma manewrów całych, wielkich armii. Ma to pozytywny skutek – pozwala zżyć się z bohaterami, poznać ich. Kibicować im i żałować, kiedy giną.

A giną w sposób okrutny. To brudna wojna, w powieści znać doświadczenia Iraku (bo też wreszcie polska armia takowe posiada). To wojna min przeciwpiechotnych, amunicji kasetowej, okrutnych rebeliantów, którzy konwencje międzynarodowe znają najwyżej ze słyszenia.

Stąd bierze się naturalizm i okrucieństwo. Nie tylko przez epatowanie urywanymi przez miny kończynami, ale przez pokazanie indywidualnych losów bohaterów, wyrazistych i dobrze naszkicowanych. Bliżej *Afrykance* do nastroju *Black Hawk Down*, niż do batalistycznych scen pełnych wielkiego rozmachu.

Warto zwrócić uwagę na znajomość realiów. Powieść będzie znakomitą rozrywką dla fanów militariów, widać, że autor porządnie odro-

bił lekcję. Nie znajdziemy wielu błędów ani nieprawdopodobieństw, można sobie bez trudu i bez zawieszania niewiary na kołku wyobrazić, i taka właśnie wojna powinna tak wyglądać. Baniewicz ustrzegł się pokusie epatowania najnowszą technologią, pokusie wprowadzania na karty książki sił i środków nieadekwatnych do fabuły. Przyczepić się w zasadzie można tylko do okładki, bo też zdjęcie na niej paskudnie zdradza fabułę i uważnemu czytelnikowi może odebrać nieco przyjemność. W dodatku jest błędne... No, może jeszcze do faktu, że „Sokół" bez jednej łopaty wirnika raczej nie wyląduje w jednym kawałku.

Ale to drobiazgi. Wypada pogratulować wydawcy dobrego wyboru na dobry początek, i życzyć, by kolejne pozycje nowej serii trzymały poziom. A czytelnikom polecić niezłą rozrywkę, która w dodatku wystarczy na dłużej, bo opasły tom liczy prawie sześćset stron.

Dominika Repeczko

Artur Baniewicz
Afrykanka
SuperNOWA, 2005
Stron: 634
Cena: 33,00

Saga jeszcze nie ostatnia

Żołnierze w mundurach feldgrau lądują w Norwegii. Hitlerowska machina wojenna, po *Blitzkriegu* w Polsce, sięga po nowe zdobycze. Narvik, ważny port przeładunkowy szwedzkiej rudy, strategicznego surowca w rozpalającej się coraz bardziej wojnie światowej, zajmują oddziały generała Dietla, wspierane z fiordów przez niszczyciele Kriegsmarine. Alianci desperacko walczą o odzyskanie kontroli nad portem, a w tle walk toczy się walka wywiadów. Profesor Tritz, niemiecki naukowiec związany z organizacją Ahnenerbe, poszukuje w owładniętym wojną kraju pradawnych sekretów ludów Północy. Kieruje się starożytnym rękopisem pióra nieznanego skalda, a towarzyszy mu oddział esesmanów, przypominający grupę wojowników z islandzkiej sagi.

Porucznik Śnieżewski, oficer z niszczyciela ORP „Grom" dziedziczy mroczny dar, przekazywany w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie. Będzie musiał stanąć naprzeciw wrogów swojej ojczyzny, a przeznaczenie zaprowadzi go aż do tajemniczych jaskiń Ukrytego Ludu.

Marcin Mortka debiutował *Ostatnią sagą*, historyczną fantasy z czasów chrystianizacji Skandynawii. Debiutował w znakomitym stylu, jego powieść okazała się zaskakująco dojrzałą i porywającą. Teraz, w *Wojnie runów*, podejmuje niektóre wątki, osadza bliższą nam historycznie akcję w podobnych realiach. Jednak czy z powodzeniem, czy alternatywna, przepojona magicznym realizmem powieść okaże się równie dobra?

Zacznijmy od pozytywów. Mortka niewątpliwie potrafi stworzyć wciągającą, przygodową fabułę, która będzie trzymać w napięciu od początku do końca. Umie zaintrygować czytelnika zagadkami, stopniować napięcie. I nie nudzić. To udało się i w nowej powieści.

Na uwagę zasługuje sam pomysł umieszczenia akcji w takim właśnie, nie innym, miejscu i czasie. Epizod walk w Norwegii bliski jest sercu polskiego czytelnika, a jednocześnie znakomicie udokumentowany. Pozwala to na poruszanie się w znajomej, lecz odczytywanej na nowo scenerii. Żywe reakcje budzić będzie tragedia „Gromu", chyba najbardziej symboliczna, obok „Orła", strata Marynarki Wojennej podczas drugiej wojny światowej. Tutaj, przez Marcina Mortkę, napisana na nowo.

Autor potrafi znakomicie oddać mroczny, tajemniczy klimat Skandynawii. Jego plastyczne opisy pozwalają niemalże na własne oczy ujrzeć granatową wodę fiordów, odbijające się w nich skały, ciemne, świerkowe lasy. Uroku powieści dodaje mitologia, tajemnicze siły drzemiące pod powierzchnią rzeczywistości, tej znanej z historii.

A jednak... Jednak *Wojna runów* jest powieścią słabszą od *Ostatniej sagi*. Jest przygodówką. Autorowi nie udało się pokazać dramatu bohaterów, ich rozdarcia, ich wahań i wyborów. Są predefiniowani, jak w każdej dobrej książce wojenno-szpiegowskiej, przez to przewidywalni. Żywi, ale życiem powierzchownym.

Znać w powieści ślady zainteresowania autora grami fabularnymi. Zwłaszcza tajemniczy oddział esesmanów przypomina kompanię z jakiegoś tam dodatku erpegowego, aż korci, by przeliczać punkty, rzucać kostką i antycypować, co stanie się w następnym rozdziale. Wilkołaki, skalne trolle, Ukryty Lud – jawią się nieco na doczepkę, pewne partie tekstu wydają się przeszarżowane, zwłaszcza w zderzeniu z nowoczesną wojną. Gdzieś zniknął urok i czas wikińskiej sagi.

Znać w powieści pośpiech, próbę wtłoczenia zbyt wielu elementów w za ciasne ramy. I to sprawia, że niewiara dość często bierze górę.

Skoro już o realiach mowa – też nie jest z nimi najlepiej. Nawet w przypadku tych dobrze znanych, z naszego, realnego świata i historii, tej niealternatywnej. Pewnie też wina pośpiechu – ale zabrakło w powieści porządnej, merytorycznej redakcji. Bolesny to błąd, którym trudno obciążać autora, lecz są fragmenty, które jako żywo przypominają kiepskie tłumaczenia Alistaira McLeana, którymi zarzucono rynek na początku lat dziewięćdziesiątych.

Prócz błędów drobnych, ale dotkliwych (chociażby czteromotorowy Wellington, okienka na pomostach niszczycieli, permanentne traktowanie broni automatycznej i maszynowej jako synonimów) są i takie, których nie sposób byłoby usunąć bez zmian fabularnych. Sceny morskich potyczek nieodparcie przywodzą na myśl bitwy korsarskich galeonów (bo tak strzelają, prawie z przyłożenia), dowódcy niechybnie są wszechwiedzący, jak i narrator – bo trudno inaczej wytłumaczyć fakt, że osoba obserwująca wycofujący się po trafieniu okręt zna jego uszkodzenia, ot tak, na podstawie obserwacji. Niewiarygodne są dialogi, i to już jest mocno dziwne, bo przecież działania niszczycieli są znakomicie udokumentowane, również beletrystycznie. Ale te pozycje nie znalazły się w bibliografii, którą autor skrupulatnie podał.

Nawet kulminacyjna scena, zatopienie „Gromu", jest pod względem wojenno-morskim mocno naciągana.

Denerwuje też maniera stosowania marynistycznego słownictwa rodem z marynarki handlowej. Język polski jest jednym z niewielu, który stosuje tu rozróżnienia, począwszy od rozróżnienia „okrętu" i „statku". Rezygnacja z tych rozróżnień zubaża powieść, a „mostek" na okręcie wojennym zamiast „pomostu" po prostu zgrzyta. Kłania się Karol Olgierd Borchardt i wielu innych marynistów, a autor wraz z redakcją po prostu nie odrobili pracy domowej.

Szwankuje też redakcja, co dla produktu akurat tej oficyny jest sporym zaskoczeniem. „Żołnierz leżący w zagłębieniu szyny", „operacja Peking", tak z angielska, zamiast po prostu „Pekin", tytułowanie się esesmanów per *Herr*, zamiast tylko stopniem – takie rzeczy nie powinny się przydarzać. Szkoda, tekst doznał sporej krzywdy.

Ale mimo wszystko... Mimo wszystko *Wojnę runów* warto polecić. To literatura rozrywkowa, niewątpliwie nie tego kalibru co *Ostatnia saga*. Ale zapewni niezłą rozrywkę, jeśli tylko potraktujemy powieść z odpowiednim przymrużeniem oka – zgodnie z tym, co zapowiada krzykliwa, efekciarska okładka.

I wypada życzyć autorowi, by zapowiadana trzecia część luźnej, skandynawskiej trylogii wypadła lepiej.

Dominika Repeczko

Marcin Mortka
Wojna runów
RUNA, 2004
Stron: 416
Cena: 28,50

Książka tak jakby dla dzieci

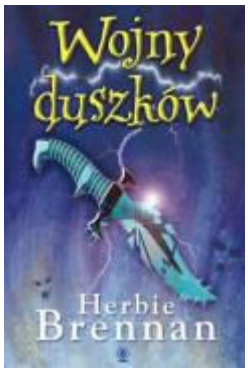

Jak twierdzą folkloryści i znawcy tematu, większość bajek odzwierciedla drogę bohatera ku dorosłości i samodzielności. Aby jednak w tę drogę wyruszyć, należy najpierw opuścić dom rodzinny – tę ostoję spokoju i bezpieczeństwa. Zazwyczaj w bajkach wydarza się coś takiego, co owego bohatera do takiego kroku zmusza. Współczesne bajki, szczególnie te kierowane do dzieci, zachowały w sobie sporo z tego schematu, choć definitywnie muszę stwierdzić, że wydarzenie, skłaniające bohatera do wyruszenia w drogę, stanowczo, w wyobraźni pisarskiej, wykroczyło daleko poza ramowy schemat nieodpartej chęci poślubienia królewny. Czy też noszenia babci koszyka z jedzeniem...

Historia Herbiego Brennana mieści się w pewnych ramach bajkowego schematu. Chłopiec wraz z rodzicami i z siostrą mieszka sobie spokojnie w niewielkim miasteczku. W wolnych chwilach buduje modele, w mniej wolnych chadza do szkoły. Sielankowego obrazu nie zakłócają nawet drobne szkolne problemy. Do chwili, gdy pojawia się inny problem. Pewnego ranka, takiego, który na pozór niczym nie różni się od innych, Henry odkrywa, że sprawy dalekie są w rzeczywistości od sielanki – jego mama ma romans. Ni mniej, ni więcej, a z sekretarką taty. Nie trudno się już domyśleć, że owo wydarzenie pchnie Henry'ego do opuszczenia rodzinnego domu, a tym samym wkroczenia na drogę przygody.

I tu moje zastrzeżenie pierwsze. Rozumiem, że dla zawiązania akcji należy wprowadzić element, który w jakiś sposób przerwie solidne ramy codziennego życia nastoletniego chłopca. Nie jestem jednak pewna, czy ów element powinien mieć taki właśnie kształt. Nie, nie jest to bynajmniej wyraz homofobii, ani żadnych innych uprzedzeń. To wątpliwość, czy książkę kierowaną do dzieci, jakby nie było, należy takimi akurat treściami wzbogacać. Dla – dajmy na to – dziesięciolatka, sięgającego po książkę, zawikłany świat preferencji seksualnych jest, wydaje mi się, czymś absolutnie odległym i niezrozumiałym. I nie wiem naprawdę, czy rozsądnym jest popychać go do zaglądania weń. Rozumiem, że w epoce poprawności, a nawet hiperpoprawności politycznej, należy i kobietę obciążyć winą za rozpad rodziny. Nie ma sprawy, bynajmniej nie zamierzam podważać zasadności samej winy, co raczej towarzyszących jej szczegółów. Coś, co ze spokojem przyjęłabym w książce adresowanej do starszego czytelnika, w książce dla dzieci raczej mnie zaskoczyło. Niekoniecznie pozytywnie, ale może się czepiam.

Wróćmy więc do historii naszego bohatera. Henry, jak to się rzekło, ucieka z domu, choć nie na stałe i nie daleko, zaledwie o kilka przecznic dalej, do domu zwariowanego emeryta-wynalazcy, któremu zwykł pomagać w pracach domowych. Tam też, przy prozaicznym zajęciu, jakim jest koszenie trawy, zaczyna się wielka przygoda Henry'ego.

Równolegle poznajemy i innego chłopca. Pyrgusa. Pyrgus z pewnością nie jest chłopcem zwyczajnym. Przede wszystkim jest wyjątkowo wojowniczym obrońcą praw zwierząt, a do tego jest księciem. I tak naprawdę to nie jest chłopcem, a... duszkiem.

I tutaj czas na zastrzeżenie drugie. Otóż książka Herbiego Brennana nosi tytuł *Wojny duszków*. W oryginale *Faerie Wars*. Rozumiem, że słowo *faerie* mogło nastręczyć tłumaczowi problemu. Rozumiem, że słowo „duszek" samo wręcz się nasuwa, gdy mówimy o maleńkiej istocie, posiadającej przy tym delikatne skrzydełka. A jednak w świecie rzeczonych duszków nie ma stworków ze skrzydełkami, są za to intrygi i spiski, odwieczna walka ciemności i światła, są magowie i czarodzieje, i złe do szpiku kości demony. Jest też wielowiekowa waśń, której zarzewie na chwilę tylko przygasło – wojna duszków. Wojna duszków... Brzmi równie ponuro i groźnie co Duszki Nocy, a zgodnie z intencją autora nie są to w żadnym razie stworzenia przyjemne. I tu, jakby owej intencji autora nie sprostał tłumacz. Owo fatalne „duszek" we wszystkich odmianach, aż kłuje w oczy. Szczególnie w odniesieniu do istot z gruntu złych – zupełnie jakby powiesić na furtce napis: Uwaga! Zły motylek! i oczekiwać, że ewentualny nieproszony gość dwa razy się zastanowi zanim wejdzie na nasz teren. Naprawdę lepiej już było użyć w tłumaczeniu słowa „elfy". Zły elf brzmi stanowczo lepiej...

A historia? Sama historia zawiera wszystko, co zawierać powinna dobra opowieść. Jest wystarczająco epicka, wystarczająco trzyma w napięciu, jest pełna zwrotów akcji i zaskakujących rozwiązań. Jest dobra. Wątek naszego świata i świata... duszków (sic!) splatają się ze sobą i uzupełniają nawzajem w ciekawy sposób, zupełnie jak dwaj główni bohaterowie. Henry i Pyrgus. Ich droga do dorosłości najeżona jest niebezpieczeństwami i nie lada wyzwaniami. Wystarczy powiedzieć, że będą musieli stawić czoła nie tylko podstępnym Nocnikom (khem...) ale i demonom z czeluści rodem.

Dominika Repeczko

Herbie Brennan
Wojny duszków
Tłum: Zbigniew A. Królicki
REBIS 2004
Stron: 415
Cena: 35,00

„Mam na imię Dorota i jestem OC"

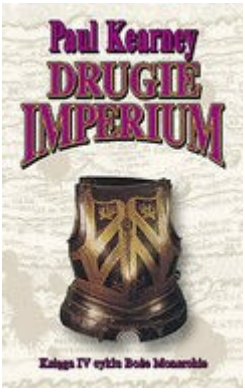

Pewna, dobrze mi znana, starsza i całkiem niegłupia dama (w tle ścieżka dźwiękowa: złośliwy chichot Packa, bo mowa o jego ukochanej teściowej) wpadła, zapewne przez nieumyślne zapatrzenie, w sidła serialu pt. „Moda na sukces". W pełni zdając sobie sprawę z niebotycznej głupoty tegoż, nie jest w stanie powstrzymać się od śledzenia nieprawdopodobnych perypetii równie nieprawdopodobnych bohaterów. Stała się AO (Anonimowym Oglądaczem). Uzależnienie rzecz straszna, dlatego nie lubię telenowel, seriali, nie czytam cykli powieściowych... Eee... no... dobrze... powiem TO! Mam na imię Dorota i jestem AC (Anonimowym Czytaczem)

Być AC to męka. Żeby jeszcze wszystkie te cykle były na poziomie „Mody na sukces", a kolejne tomy pojawiały się tak często jak odcinki serialu, okresy głodu nie byłyby tak straszne. Niestety dilerzy... O przepraszam, wydawcy wiedzą, jak podejść nałogowca. Przeciągają w nieskończoność termin wydania następnego tomu, nie dbając wcale o to, że AC musi szybko dowiedzieć się: co dalej?

No właśnie co dalej?! Skończyłam lekturę *Drugiego imperium* czwartej części cyklu *Boże Monarchie* a piątej nie ma. Żeby więc skrócić sobie i czytelnikom mękę oczekiwania „przeżyjmy to jeszcze raz", czyli co wydarzyło się w czwartym tomie.

Na wstępie autor powraca na, znany nam z drugiego odcinka... O przepraszam, tomu, nowy ląd. Czytelnik jest świadkiem dramatycznego końca wyprawy, której niedobitki, w tym: Hawkwood, Murad i Bardolin, wyruszają w ryzykowną drogę do domu. Nie są tymi samymi ludźmi, którzy wyruszali na podbój nieznanej „mlekiem i miodem płynącej" krainy a ich dom, do którego desperacko pragną wrócić, nie jest już „Perłą Normanii". Gdy po ciężkim rejsie wpłyną do Abrusio ich oczom ukaże się zrujnowane miasto, targane walkami o władzę. Pocieszającym wydaje się fakt, że jednocześnie z powrotem „konkwiskadorów" Abeleynowi udaje się zapobiec knowaniom arystokracji pod wodzą Jemilli i uchwycić władzę pewną ręką. Najwyższy czas, bo w ramusiańskich królestwach nie dzieje się dobrze.

Kiedy w Torunnie ginie Lofantyr, jeden z „królów heretyków", władzę obejmuje jego matka. Jej próby ocalenia stolicy przed, odnoszącymi sukces za sukcesem, Merdukami wspiera nowomianowany głównodowodzący, generał Corfe. Niestety jego pozycji zagraża zawistna arystokracja. Swoją drogą, gilotyna to naprawdę dobry wynalazek. Ale w Normanii na to nie wpadli, więc Corfe musi radzić sobie inaczej.

Wojujący kler, który tyle złego narobił od początku cyklu, nie jest zbyt eksponowany. Robi swoje, umacnia wpływy tam, gdzie jest to możliwe, i czeka na odpowiedni moment, by zgnieść heretyków. Na szczęście niektórzy dostojnicy zaczynają wątpić w słuszność obranej przez kościół drogi. Nie bez znaczenia pozostaje też działalność, znanych czytelnikowi zakonników, którzy swego czasu dokonali epokowego odkrycia w klasztornej bibliotece. Można śmiało stwierdzić, że efekt ich pracy przechodzi wszelkie oczekiwania.

Wojna z Merdukami trwa. Aurungzeb czuje się coraz potężniejszy i spodziewa się nowych tryumfów. U jego boku coraz większego znaczenia nabiera Heria, której, z czasem, udaje się odnieść własne zwycięstwo.

Drugie imperium jest świetną kontynuacją poprzednich tomów. Autorowi udało się utrzymać dotychczasowy poziom. Bohaterowie nie blakną, akcja nie traci tempa, a w kilku miejscach naprawdę zaskakuje. Ale nie napiszę przecież, że to lokaj zabił. Kilka zasygnalizowanych wcześniej problemów czeka na rozwinięcie w następnej części. Mnie osobiście cały czas intryguje, na przykład, fimbriańska pomoc, czy na pewno jest tak bezinteresowna, jak się wydaje. Także fakt, rezygnacji ze zdobycia nowego lądu nie oznacza, że siły władające niedoszłą kolonią zaprzestały działań w „starym kraju". Tu na pewno doczekamy się konfrontacji.

Pochwała należy się również wydawcy. Tym razem zarówno tłumaczenie jak i redakcja są bez zarzutu. Tylko, kiedy następny odcinek... O przepraszam, tom?

Mam na imię Dorota i jestem OC. Nie mogę długo czekać!

Dorota Pacyńska

Paul Kearney
Drugie imperium
Cykl: Boże Monarchie
Tłum: Wojciech Szypuła
MAG, 2004
Stron: 228
Cena: 25,00

Stare motywy i nowa jakość

Pewna książka bije rekordy popularności – święci tryumfy na listach bestsellerów w USA i w Wielkiej Brytanii, a prawo do tłumaczenia sprzedano w niemal 30 krajach. Naturalną konsekwencją stała się ekranizacja. I rzeczywiście – odpowiednie prawa nabyło Studio Fox 2000 (oddział 20-th Century Fox). Istnieje szansa, że film pojawi się już w przyszłym roku.

Zapewne czytelnicy domyślają się już o jaką książkę chodzi. Naturalnie o *Eragona,* nazywanego „amerykańską odpowiedzią na Harry'ego Pottera". Czy Eragon faktycznie zdetronizuje Pottera? Ciężko stwierdzić, gdyż obaj bohaterowie pięknie wpasowują się w oczekiwania młodych czytelników, a także, o czym nie wolno zapominać, towarzyszy im potężna machina promocyjna. Zarówno Rowling, jak i Paolinii zadbali o osobisty kontakt z przyszłymi fanami wykreowanych postaci, poprzez osobiste czytanie fragmentów powieści.

Eragon ma jednak sporą szansę. Siła utworu Paoliniego tkwi bowiem w trzech rzeczach: autentycznej pasji, która przebija z kart powieści, osobowości dwójki głównych bohaterów (tytułowego oraz smoczycy Saphiry) i wreszcie w osobie samego autora.

Dlaczego autor jest taki niezwykły? Cóż, niecodziennie zdarza się, by nastolatek stworzył długą, heroiczną opowieść fantasy, którą w dodatku bardzo dobrze się czyta. Pracę nad książką (czyli pierwsze szkice i przymiarki) rozpoczął w wieku 15 lat, a ukończył w 17-tym roku życia. Pierwsza wersja została wydana w rodzinnej oficynie Paolini International LLC w kilku tysiącach egzemplarzy, z czego większość bez problemu sprzedali. Następnie prawa do niej wykupiło znane amerykańskie wydawnictwo Alfreda A. Knopfa za sumę 400 000 $ (bagatela). Podobno przyczynił się do tego pisarz Carl Hiaasen, który akurat przebywał na rybach w Montanie – rodzinnym stanie Christophera.

Kolejną niezwykłą sprawę stanowi kwestia edukacji chłopaka. Faktem jest, że nigdy nie uczęszczał do szkoły. Christophera i jego siostrę Angelę uczyła w domu matka – z wykształcenia pedagog, pracująca dawniej jako nauczycielka. Podobno po tym jak małżeństwu Paolinich udało się wyrwać z sekty, postanowili skoncentrować się na własnym domowym ognisku i nie posłali dzieci do oficjalnej placówki. Dla mnie brzmi to w jakiś sposób przerażająco i właśnie... sekciarsko, ale ja zostałam ukształtowana w przeświadczeniu, że uczęszczanie do szkoły w znaczeniu instytucji jest obowiązkiem, którego (niestety) nie da się uniknąć oraz, co ważniejsze, że obecność rówieśników to rzecz niezbędna w prawidłowym rozwoju człowieka. Na szczęście chłopak prawdopodobnie nie dźwigał wielkiego ciężaru samotności. Ma bardzo dobry kontakt z siostrą, co widać choćby w podziękowaniach i w tym, że jedna z bardziej fascynujących postaci w powieści była na niej wzorowana. Ponadto otrzymał mnóstwo czasu na czytanie książek i oglądanie filmów. Jak widać, co kraj to obyczaj, a głowę trzeba mieć otwartą. W każdym razie teraz uosabia dowód na twierdzenie, iż szkoła nie jest niezbędna, by osiągnąć sukces, ani tym bardziej stworzyć coś naprawdę wartościowego.

Wracając jednak do znaczenia faktu niecodziennego dorastania twórcy dla samej książki. Po pierwsze informacje o sekcie dodają tajemniczej otoczki, po drugie zaś młody wiek, a zarazem wyraźna, nietypowa dla owego wieku dojrzałość spełniają rolę marketingowego bodźca. To przesądziło o sukcesie, lecz nie było jego przyczyną. Co zatem sprawiło, że ta historia stała się hitem?

Wspominałam już o pasji autora. Powoduje ona, że emocje i przemyślenia bohatera mają posmak autentyczności. W jednym z wywiadów Paolini stwierdził, iż to historia, jaką zawsze chciał przeczytać, więc po prostu ją napisał. Jako nastolatek odpowiedział tym samym na potrzeby osób w swoim wieku.

Centralną postacią jest Eragon – piętnastolatek (tak jak autor) pochodzący z ubogiej rodziny, która osiedliła się niedaleko wioski Carvahall. To dzielny, śmiały i doświadczony myśliwy (niewielu ośmiela się zapuszczać w dzikie ostępy gór zwanych Kośćcem), lecz także zwyczajny chłopiec mający swoje troski i radości, budzący u jednych życzliwość, u innych zaś „bezinteresowną" niechęć. Jak to w życiu.

Podczas pewnego nieudanego polowania ma miejsce niezwykłe wydarzenie. Na drodze Eragona w nader „wybuchowy" sposób pojawia się piękny, ciemnobłękitny kamień. Nasz bohater zabiera go, mając nadzieję, że zakupi żywność dla rodziny, znalezisko jednak okazuje się czymś zgoła bezcennym – smoczym jajem. Wkrótce wykluwa się z niego szafirowa smoczyca. Decyduje ona, że Eragon zostanie Smoczym Jeźdźcem, związanym z nią magiczną więzią. Stanowi to preludium do wydarzeń całkowicie burzących ład w życiu bohatera oraz jego wyobrażenia o świecie i swojej w nim roli. Chłopak musi błyskawicznie dorosnąć i ponieść wszelkie tego konsekwencje. Stał się kimś, kogo od dawna nie było, i czy mu się to podoba, czy nie, ludzie i inne istoty wiele po nim oczekują. Nie jest już sam – zyskał przyjaciółkę, na której może zawsze polegać, ale w zamian musi spełniać jej oczekiwania. Więź, jaka ich połączyła, to wspaniałym dar, a jednocześnie obowiązek.

Moim zdaniem autorowi znakomicie udało się oddać rozterki targające chłopcem. Z jednej strony wydarzenia niosą go jak fale, nad którymi nie za bardzo jest w stanie panować, z drugiej zaś rozpaczliwie stara się to zrobić, dzięki czemu staje się coraz doroślejszy. Jednocześnie wcale nie jest „starym malutkim" – bywa popędliwy, miewa infantylne reakcje, zdarza mu się palnąć i zrobić coś głupiego. Jak to nastolatek.

Przez cały czas uczy się na własnych błędach, choć jak to bywa w opowieściach o młodocianych herosach, co i rusz zjawia się ktoś doświadczony i chętny do pomocy.

Potężna magiczna moc uzyskana wraz z więzią upaja a zarazem przeraża. Poza tym Smoczy Jeździec stanowi w owym momencie ewenement. Niegdyś smoki wybierały elfy lub ludzi na swych towarzyszy. Owi wybrańcy zyskiwali moc, nieśmiertelność i funkcje arbitra wśród śmiertelników. Niestety jeden z nich, zwany Galbatorixem, oszalał i wydał wojnę sobie podobnym, za wyjątkiem tych, którzy oddadzą mu hołd. Dysponował ogromną potęgą, a w dodatku zyskał pomoc mrocznych sił. W rezultacie smoki i Jeźdźcy padli jego ofiarą. Aktualnie król

Galbatorix, władca wielkiego imperium, jest bardzo zainteresowany schwytaniem Eragona i Saphiry.

Chłopiec i smoczyca musza zadecydować o swym losie. Naturalna rzecz – sprzymierzenie się z buntownikami przeciwko królewskiej władzy – również niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Eragon obawia się, że uczynią z niego marionetkę, tańczącą wedle cudzej woli. Niestety oboje są wyjątkowi, więc nie mogą liczyć na święty spokój. No i nie pozwoli na to Saphira, która bardziej niż młody Jeździec, zdaje sobie sprawę ze wszystkich komplikacji i zobowiązań jakie nakłada na nich przeznaczenie. Notabene za kreację smoczycy należą się Paoliniemu oklaski. Naprawdę znakomita z niej osoba. Właśnie „osoba", a nie coś w rodzaju egzotycznego, gadającego wierzchowca bohatera. Także ich psychiczno-magiczna więź została ciekawie przedstawiona. Saphira twierdzi, że zastanawiając się nad istotą więzi między Jeźdźcem i smokiem, doszła do wniosku, że istnieje po to, by razem dokonywać rzeczy niemożliwych. Jest to pewne novum – w większości obrazów fantasy człowiek podporządkowuje sobie smoki, nawet w *Jeźdźcach smoków* Anne McCaffrey (mylnie przez wielu uznawanych za fantasy) owe istoty podlegają ludziom, mimo że się nawzajem potrzebują. Może nie są traktowane jak zwierzęta, ale na pewno nie równorzędnie (ostatecznie stanowią twór człowieka).

Z Eragonem i Saphirą jest inaczej, choć mnie mimo wszystko trudno pozbyć się wrażenia, iż to jednak wybraniec bardziej na tym korzysta. Choćby dzięki „podłączeniu się" do magicznej aury towarzysza. Z drugiej strony smok zyskuje przyjaciela... No nie wiem, ze sobą przecież też mogą się przyjaźnić, nie dźwigając na grzbiecie istoty, o którą wiecznie trzeba się troszczyć. Chyba, że właśnie chodzi o macierzyńską / ojcowską potrzebę hołubienia. Mam nadzieję, że autor dopracuje tę kwestię w kolejnych tomach trylogii *Dziedzictwo*, której część pierwszą stanowi *Eragon*.

Paolini generalnie wykazuje talent w konstruowaniu postaci interesujących czytelnika. Wprawdzie skrywane przez nie sekrety nie są zbyt trudne do wykrycia, gdyż bohaterowi są w pewnym sensie kanoniczni, ale mają to „coś", co sprawia, że chętnie śledzi się ich losy i relacje. Do takich bohaterów należą bajarz Brom (nie będzie wielkim zaskoczeniem i nietaktem, jeśli wprost powiem, że choć pięknie opowiada legendy, to żaden z niego „bajarz"), Murtagh i czarownica Angela (imię nie jest przypadkowe).

Świat, w którym rozgrywa się akcja, nie należy do skomplikowanych: zły król, władający magią i mający na usługach potwory, buntownicy, mroczne moce, niemal wszechobecne w fantasy elfy i krasnoludy, no i oczywiście walka dobra ze złem. Wprawdzie autor wprowadził nieco „cienia i szarości" do motywacji poszczególnych postaci, ale to stanowczo za mało jak na gusta starszego czytelnika, natomiast na pewno spodoba się tym młodszym, którzy cenią oczywiste podziały.

Także konstrukcja bohatera bazuje na powszechnym archetypie młodzieńca, który dojrzewa, szuka swojej drogi i swojego mistrza, aby wreszcie samemu stać się swoim mistrzem. Z pozoru zwyczajny chłopiec, lecz z jego pochodzeniem związana jest tajemnica. Wkrótce upomina się o niego przeznaczenie. Okazuje się, że nawet własne imię skrywa nieoczekiwaną głębię. Jednak, co godne uwagi, bohater ze wszystkich sił dąży do tego, by być kowalem własnego losu, a nie kukiełką. Dlatego te historię można nazwać opowieścią o dorastaniu, stawaniu się samodzielnym, o nauce spełniania obowiązków i pozostawaniu wiernym samemu sobie. Brzmi to bardzo pompatycznie, ale jest prawdziwe. Zwłaszcza że napisał to piętnastolatek.

Młody wiek autora widać niekiedy w stylu. Momentami pojawia się pewna chropowatość i nieporadność w opisach i dialogach. Przypuszczam jednak, że następne części mile nas zaskoczą, gdyż Paolini wciąż pracuje piórem.

Książka łączy w sobie ogromną ilość schematów powszechnie znanych z literatury fantastycznej i z filmów. Autor czerpał z całych zasobów kultury popularnej. Trudno nie dostrzec oczywistej inspiracji trylogią J.R.R. Tolkiena – pochodzenie elfów i krasnoludów, ich sztampowa wzajemna nieufność, do tego wyraźna fascynacja elfką Aryą, co w połączeniu z zastanawiającym podobieństwem imienia Eragon do Aragorn... Cóż, problem długowieczności został rozwiązany – Jeźdźcy Smoków są nieśmiertelni... No dobrze, dość, bo może przesadzam.

Na pewno miał wpływ wspomniany cykl Anne McCaffrey, poza tym wizja smoka i smoczego jeźdźca jest w ogóle kanoniczna dla fantasy (Dragonlance, systemy RPG AD&D i D&D). Pradawna Mowa jako język magii, w którym nie da się skłamać, możliwość zapanowania nad kimś poprzez wiedzę o prawdziwym imieniu, to ślady cyklu *Ziemiomorze* Ursuli Le Guin. Mam również wrażenie, iż wtargnięcie przeznaczenia do niewielkiej wioski na uboczu wszystkiego, gdzie funkcjonuje sobie spokojnie przyszły bohater, podejrzanie przypomina początek cyklu *Koło czasu* Jordana. Złe Urugale i Ra'zacowie są niczym Trolloki i Myrdrhaale. Tu jednak mogę się mylić.

Na szczęście nie pojawiają się wszechmocne artefakty.

Inspiracji było wiele. Czy to jednak wpływa negatywnie na odbiór powieści? Mogę szczerze powiedzieć, że absolutnie nie. Młody pisarz stworzył naprawdę świetną epicką opowieść, którą miło się czyta, a motyw typu „znacie, to posłuchajcie", budzi jedynie uśmiech.

New York Times okrzyknął książkę mianem „fantasy nowej generacji". Nie wiem, czy aż tak można ją określić, lecz na pewno wstydu autor sobie nie przyniósł. Wręcz przeciwnie – okazał duży talent pisarski i zmysł do budowania napięcia, do opowiadania historii. Lektura może nie powaliła mnie na kolana, ale z całą pewnością dostarczyła wiele przyjemności.

To opowieść zarazem prosta, barwna i niegłupia. Przeznaczona przede wszystkim dla nastolatków, jakim był Paolini, kiedy nad nią pracował, lecz i starsi czytelnicy nie będą mogli powiedzieć, że stracili czas. Autor stworzył historię, którą zawsze chciał przeczytać, więc podzielił się nią z innymi, a stare motywy przekuł w nową, własną jakość.

Joanna Kułakowska

Christopher Paolini
Eragon
Tłum: Paulina Braiter
WydawnictwoMAG 2004
Stron: 496
Cena: 32,00

On Cornish

Spam(ientnika)

MagMaxIV mnie zadziwia.

Otwarty przez niego punkt usług funkcjonuje znakomicie.

Zarabia na Maksa, cały dom i jeszcze na cholerne pismo, któremu Max oddaje się z przyjemnością wielką.

Jedyna nadzieja, że go wkurzą petenci, zamknie świadczenie usług, i wtedy panie i pisemko, nie wiadomo komu potrzebne.

Co ja mam do świadczenia usług? No, mam. Bo MagMaxIV mnie ubrał w wypełnianie pitów, zeznań i monitów. Że niby mam sobie znaleźć zaklęcie, a on je uruchomi. Znalazłam, ale najbliższe było o podatku od córek z XIII wieku, za cholerę nie pasuje. Musiałam nabyć płytę, do płyty komp, do kompa soft... A on się na wszystko zgadza, byle mieć to z głowy.

I jeszcze grozi, że otworzy drugi punkt: prowadzenia księgowości drobnej wytwórczości.

No, szlag mnie trafi!

Szlag, szlag, szlag!, jak mawiał Azer.

Dobra, muszę się uspokoić, za chwilę siadam do Pita ósmego.

Miałam to zrobić wczoraj, ale wczoraj...

Otwierają się drzwi i włazi do biura dziewczę.

Bure kudły z pasemkami i kilkoma warkoczykami. Gruby makija-a-a-aż z dymnej brzoskwini, lepperage, że tak z francuska powiem. Baleja-a-aż na głowinie, jak już wspomniałam. Po sześć knypów w uszach, dwa na języku, co nie omieszkała pokazać, dumna z siebie. Na szyi tatuaaaage... Oczywiście, pas sinego ciała wylewający się spomiędzy bluzki i spodni, spod których wyłażą gumki stringów. Klasyka.

– Dziń dobry – mówi ona. – Podobno pan wszystko może załatwić, nie?

Obraca gumą, w manierze aktorek kręconych za stodołą pornosów, z omdlewającym i kuszącym spojrzeniem oczu.

MagMaxem nieco wstrząsnęło. On jest chłop delikatny, jednak.

– Wiele potrafię – mówi. – A co, konkretnie, miałbym umieć?

– Bym chciała z kumpelą pojechać do Kijowa, nie? Tam na ten festiwal Interwizji, nie?

– A ja mam co? Zarezerwować pani bilet? – podjadał się trochę Maksio.

– Nie, nie? My mamy kapelę, co nie? Nazywamy się Iwonka i Karp, nie? I mamy hita, i perkusję. Co prawda, mówią nam, że lepszy żywy pałkarz niż grać z trupa, ale co tam, i elektroniczna obejdzie, co nie? No i żeśmy startowały w konkursie, ale nas jakieś dupki nie przyjęły. I byśmy chciały, żeby pan ich wyjebał, co nie, a nas włożył do ekipy.

– Nie – stanowczo rzucił MagMaxIV. – Mam taką zasadę, że nigdy nie pomagam komuś, z krzywdą dla innej osoby czy osób, panno... Iwonko.

– Nie, ja jestem Karp, co nie? Bo umiem tak robić. – I Karp zrobiła to, co umie robić.

Moje domysły, co do stodoły, były trafne...

– No, szkoda, co nie. Bo myżeśmy myślały, że pan zapierdoli tym cwelom i jeszcze Margarynie, też nas wkurza, co nie.

Zastanawiała się chwilę. Radośnie poderwała głowę. Wyjęła gumę i bez cienia skrępowania przykleiła ją do spodu blatu stołu.

– A może pan zrobić, żeby miała mocniejszy głos, bo mam miły i szkolony, ale za słaby. Nie mogę antykapello śpiewać. Co nie?

– A może pani coś zaśpiewać, panno Karp?

– Tak bez niczego?

– No właśnie a ca... Bez niczego

Zrzuciła kurtałkę, wstrząsnęła włoskami i zawyła:

Ciebie już nie ma, widzę to-o-o!
A tak niekiepsko nam już szło-o-o...

MagMaxIV podniósł ręce, żeby zatkać uszy, ale byłam szybsza – podrzuciłam mu zaklęcie głuchoty. Zastosował na sobie, bo panna Karp, najwyraźniej, już je gdzieś podłapała.

Odczekał, wpatrzony w jej ruchy potłuczonej kałamarnicy, potem zapytał:

– Czy panie macie już jakąś płytę?

– No, demulca, co nie. I będziemy nagrywały cały projekt, we Warszawie. Z bojami z kapeli Bedchet.

Mag myślał chwilę. Tak wyraźnie myślał, że aż to widziałam.

– Dobrze – powiedział. – Panno Karp. Co do głosu, nie wiem, czy warto się wtrącać, tu już sprawa jest ustawiona tak a nie inaczej, i niech tak zostanie. Mogę pani podliftować inne elementy, potrzebne na scenie, może nawet bardzo potrzebne. Za dwa tysiące.

– Dwa tysiące czego?

– Złotych...? – bąknął zdetonowany nieco Maks.

– Dobra. Liftuj pan, co nie.

MagMaxIV podszedł do mnie, powetował mnie trochę, aż znalazł to, czego szukał. Bez mojej pomocy, ja uważałam, że przesadza! Wygłosił zaklęcie.

Karp chwyciła się za gardło, potem za tors na wysokości piersi, brzucha, popatrzyła w dół. Zapłaciła i w podskokach wyszła.

To nie było dobre pociągnięcie MagMaxaIV. Co nie? O nie!

Jak mamy włączony telewizor, to co i rusz jakiś wyżelowany dupek warczy:

– A teraz przed nami pierwsze miejsce na liście przebojów! Bar-r-r-r-raku-u-da! Dziewięćdziesiąt sześć – sześćdziesiąt – dziewięćdziesiąt dwa!

I – jak znam życie – wszyscy wyłączają dźwięk, bo tego się słuchać nie da, co nie?

No i nikt nie słucha, ale chłopcy z żelem we włosach lubią takie gibające się blondyny.

Max przesadził, tak jej podliftował, że karierę i tak zrobiła. Bez Iwonki.

Czekam na wizytę tej drugiej.

Kartkę z zaklęciem liftującym zaklęłam na dwa lata.

D.Repeczko i M.Kałużyńska

Permanentny PMS

Orły sokoły

Dominika Repeczko: Jest taka teoria, że jak kobieta ma peemes, to zawsze na jakim chłopie psów nauwiesza. Skoro jest teoria, to pewnie jest i oczekiwanie w społeczeństwie, a skoro jest oczekiwanie, to pewnie by mu należało sprostać? Dlaczego, skoro kilkakrotnie udało nam się spalić w feministycznym zrywie jakiś, Bogu ducha winny, stanik, dlaczego nie rozmawiamy o mężczyznach? Tych uzbrojonych w wielkie miecze albo jeszcze większe laserowe strzelby. Naszych supermanach z kart powieści rozmaitych. Słuchaj, czy to może być dlatego, że oni tak naprawdę nie są godni żadnej uwagi? I przemykają się gdzieś chyłkiem, przez obrzeża naszej świadomości. Tacy chudzi, nijacy, że po prostu ich nie zauważamy?

Magdalena Kałużyńska: Jest taka teoria, że kobiety zawsze na jakimś chłopie psy wieszają. A jak nie wieszają, to zaczną, albo już dawno powiesiły i czekają na następną okazję do powieszenia. Z tego wynika prosty wniosek, który potwierdza słuszność tytułu naszego kącika rozmów. Permanentny peemes istnieje! A tak na poważnie, to należałoby właśnie porozmawiać o mężczyznach. Staników nie mam zamiaru palić, bo lubię nosić staniki. Nie wszystkie naraz, oczywiście, ale tak od czasu do czasu i pojedyncze sztuki. Na kartach powieści wszelakich pełno jest silnych, uzbrojonych po zęby (oraz po inne części ciała) wspaniałych twardzieli. Samo słowo: bohater. Automatycznie kojarzy się z mężczyzną, samcem, macho... itepe. Takim, co się od pięknych kobiet odgonić nie może, nie chce, a co za tym idzie, się nie odgania. I co? Jakby się przyjrzeć dokładnie i dogłębnie, to temu podobny typ supermana jest, mówiąc krótko, śmieszny. Teraz zrobię krótką przerwę na oddech i dam Ci szansę wypowiedzi.

D.R.: No właśnie, śmieszny. I w tym sedno całe. A nawet i przysłowiowy sęk. Mężczyzna, jak świat światem, powinien wzbudzać w kobietach emocje, nawet taki napisany, a nie przechodzić, otrzymawszy w najlepszym razie pogardliwe wzruszenie ramion. A tu nic. Nawet nam się nie chciało dyskutować w temacie. Bida z nędzą. Owszem, często jest owa bida przypakowana stosownie, czasem odziana przy tym jedynie w futrzaste walonki i gustowne metalowe suspensorium (moim zdaniem rzecz lepsza od metalowego stanika!), to wszystko zapewne dla wzmożenia przynajmniej bodźców wzrokowych, ale mimo to bidą pozostaje. I nędzą. Oczywiście są wyjątki – co to mają w obowiązku potwierdzać regułę. Potwierdzają. A regułą w tym wypadku jest, kolokwialnie mówiąc: plaża. I powiedz mi, dlaczego tak się dzieje? Gdzie te tygrysy, lamparty, zatykające dech piersiach, orły, sokoły?

M.K: Jest tak: tygrysy zostały w pień wybite z powodu futra właśnie. Podobnie lamparty, chociaż nie tak do końca, bo jakieś niedobitki się zostały i biegają wesoło, albo mniej wesoło. Orzeł pod ochroną, a sokołów mało. Czy coś w tym stylu. Może to właśnie o to chodzi. O literackie odzwierciedlenie ogólnie pojętego (tylko nie wiem przez kogo) ideału. Silny, wielki facet w przepasce na biodrach, żelaznej obręczy na głowie i z wielkim, posępnie dyndającym mieczem przy boku. I piękne słowo użyłaś: metalowe suspensorium. Bo to chyba o to chodzi. O efekt wizualny. Dobra, można sobie mlaskać na widok Conana. I mlaskanie się rozchodzi w eterze. Lubię faceta. No lubię. Zły nie jest. Sama kwintesencja chodzącego testosteronu. Tylko, co dalej. A superman? Lata sobie, mrozi albo grzeje wzrokiem, silny i kosmiczny. Piękny, szlachetny i oczywiście kretyńsko ubrany. Analizuję sobie i analizuję elementy stroju różnych bohaterów. Nijak nie chce mi wyjść inaczej: kostium czyni bohatera. Zdejmij im rajtuzy, metal z genitaliów zdejmij, pelerynkę wyrzuć w krzaki i połam miecz. Co zostaje? Goły facet. I wcale nie wesoły. Smutny jak kondukt w deszcz i do tego się trzęsie. Tak, bida z nędzą. Wiem, generalizuję i krzywdzę szlachetne jednostki, co nie potrzebują zabawek, żeby być tymi zapierającymi dech w piersiach sokołami. Tylko... gdzie oni są? No gdzie? Gdzie CI mężczyźni? Wyginęli w procesie bezwzględnej ewolucji, czy co?

D.R.: Musi być, wyginęli. Pewnie świat się kończy – co by wyjaśniało nieprzyzwoity wręcz fakt, że jakoś obie zajmujemy podobne stanowisko. Świat się kończy. Teoretycznie tym wyjaśnieniem można by zamknąć dyskusję, ale ja sobie pozwolę na upór i dociekliwość. Powiedz mi, dlaczego cały nasz bohater sprowadza się do dekoracji? Dlaczego z co drugiej książki wyłazi jakiś kurczak mdły? Skąd to literackie upodobanie do drobiu? Doskonale pamiętam, jak ostatnio gardłowałaś, że kobiety nie są złe bynajmniej tylko inne, oryginalne i wyzwolone. To może w tym przypadku też jest jakaś zasada? Może to taki "trynd" jest, co? Może to manifest? No powiedz, może to też jest jakaś niezrozumiała dla mnie inność i oryginalność? Co?

M.K.: Jaka tam oryginalność. Się zastanów. Żadnej oryginalności nie widzę. W kwestii kurczaków to wiadomo. Każdy wie, jak smakują, hehe. I dlatego o wiele łatwiej jest opisać kurczaka, dodać mu trochę metalowego pierza i upodobnić do orła-sokoła. Pofolgować sobie na łanach wyobraźni. Ale to nadal jest kurczak. Przebrany. Co innego prawdziwy orzeł-sokół. Gardłowałam o kobietach, bo nie przymierzając, zaliczamy się do tej płci i tej płci będę bronić zaciekle. No i właśnie doszłam do wniosku, że zaczynamy walczyć ze stereotypem. Zobacz taką prawidłowość: mężczyzna plus „dopalacz" się równa orzeł-sokół wymarzony (chociaż nadal kurczak, tak dla przypomnienia). Natomiast kobieta plus „dopalacz" się równa kobieta zła (chociaż ja wolę określenie „inna" jak wiesz...). Poza tym zauważyłam, że kobieta, nieważne jaki by jej miecz dyndał u boku, musi się starać dwa razy bardziej, żeby czegoś dokonać. Albo żeby jej poczynania zostały właściwie zinterpretowane. A nie będą właściwie zinterpretowane, ponieważ to są poczynania kobiece. Natomiast przebrany kurczak wynidzie na arenę, mieczykiem machnie, stęknie, pierdnie, splunie, krzyknie coś w stylu „freedom for all" i automatycznie w oczach wszelakich urośnie do rangi dzikiego ptactwa drapieżnego. Więcej powiem: jeżeli kurczak wynidzie na arenę bez przebrania i będzie wyglądał jak Woody Allen, to też w oczach wszelakich urośnie do rangi (najwyżej mysikrólika, ale to też drapieżnik), ponieważ serca i duszy odmęty poruszy słowami. I nieważne, że neurotyk, introwertyk z piętnem nad wyraz nadmiernie nadopiekuńczej Matki. Ważne, że facet. Facetom, nawet kurczakom, jest łatwiej. Aha i właśnie mi wpadło coś do łba. A może zwróćmy się w stronę duchowego wydźwięku zbiorowego określenia „orły, sokoły, tygrysy, lamparty". Bo skoro same kurczaki mdłe wyłażą, to może one mają inne przywary. Na przykład, ten tego, umysłowe?

D.R.: Poczekaj, bo właśnie mnie zwaliło z nóg, że o pantałyku nie wspomnę... Już miałam sobie podywagować na temat tych męskich ułomności umysłowych, kiedy coś mnie tkło tak i wróciłam do początku Twojej. A tam jak byk stoi: "Każdy wie, jak smakują, hehe. I dlatego o wiele łatwiej jest opisać kurczaka, dodać mu trochę metalowego pierza i upodobnić do orła-sokoła." I normalnie dech mi odebrało... Ty myślisz, że te wszystkie kurczaki tak się mnożą w literaturze, bo pisarze to generalnie opisują to, co w lustrze widzą?! A pisarki – to, co nad ranem obok siebie w łóżku?! Dla dobra sprawy ten drób, tylko przyozdabiając a to mieczem, a to przynależnością do tajemnego i niezwykle elitarnego stowarzyszenia, czy inną odrobiną blichtru, w nadziei, że kuractwo onego bohatera stanie się niewidocznym?! Ty mnie, kobieto, nie strasz! Bo to by znaczyło, że faktycznie prawdziwy mężczyzna to gatunek na wymarciu! Chronić go trzeba! Zorganizujmy może jaką Ligę? Możemy zacząć od pisarzy, naszych rodzimych, bo, o ile moje podejrzenie ma pokrycie w rzeczywistości, to ze dwóch takich do ochrony by się znalazło. No, może trzech. Dokładnie trzech. Zgroza...To ja już lepiej skupię się na tej pozostałej części Twojej wypowiedzi – mniej, jakby to ująć, bulwersującej.

Nieprawdą jest, jakoby facet miał łatwiej. Przynajmniej, póki mówimy o udawaniu sokoła, bo jeśli chodzi na przykład o sikanie w lesie, to gotowam się zgodzić. Facet nie ma łatwiej. Gdyby miał, to byśmy niestety dawały się zwieść urokowi metalowych gadgetów i padały omdlałe z wrażenia, na trybunach owej areny. Tymczasem myśmy ich nawet, biedaków, nie zauważyły! Nawet nam się ich wyśmiać nie chciało, wielkich wojowników, epokowych strategów, książąt i rycerzy bez skazy! To jak on, ten facet ma niby łatwiej? Nie ma! Ciężki los ma taki kurczak. Najpierw go ustroją w cudze piórka, niewygodne

i metalowe, potem wywalą na arenę, przed oczy publiki, przydzielą zadania niemal niewykonalne, które on, nie chwaląc się, wykona i co? Nic. Zero reakcji. Nawet uśmieszku. A on aż się spocił, przestawiając na szachownicy świata całe królestwa, złapał ze dwa demony, wymknął się wampirowi z pazurów, rozwiązał nierozwiązywalną zagadkę – mądrala taki i wszystko na nic... A jak go nie przebiorą, to nawet gorzej, bo mu zaraz wyciągną a to matkę, a to kompleks, a to upodobania nie takie. A to wszystko właśnie głownie w kwestii umysłu! Jako takiego. Bo chyba się zgadzamy co do tego, że napakowane stworzenie z charakterystycznym brakiem karku, choć niewątpliwie nie bywa w zasadzie łagodnego charakteru, to tyle ma wspólnego z tygrysem, co sztucznie spasiony wieprz.

M.K.: Moja Droga. Ja nie wnikam, z jakich to pobudek Pisarz albo Pisarka tworzą swojego kurczaka. Nie wnikam, czy to jest odzwierciedlenie osobiste, czy odzwierciedlenie kogoś obok na porannej pościeli, czy ewentualnie odzwierciedlenie całokształtu doświadczeń życiowych. Nie wnikam. Ważne jest natomiast, że kurczak wypełza z kart literaturowych. A skoro wypełza, to został stworzony na jakieś podobieństwo lub wręcz przeciwnie: jest wytworem tych wszystkich sił szalejących po odmętach Matki Wyobraźni. Tak czy inaczej można owego kurczaka zanalizować, co aktualnie staram się zrobić. Nie mówię, że dosłownie rozkroić. To by było zbyt piękne. Powstrzymam się więc. I sama napisałaś: ze dwóch takich do ochrony by się znalazło. W sensie ochrony mężczyzn/pisarzy prawdziwych. Tych, co się ostali na bezrybiu. I wiesz, ja daleka jestem okrutnie od zakładania Ligi Ochrony. Nie widzę powodu. Dlaczegóż to? Ponieważ wyżej wymienieni doskonale obronią się sami. Jeżeli nie osobiście dosłownie, to przy pomocy literaturowego kurczaka w przebraniu sokoła właśnie. I nadal pozwalam podtrzymywać opinię wygłoszoną wcześniej: facetom jest łatwiej. Szczególnie na kartach powieści A to, plus fakt, że przynależą do płci ogólnie zwanej brzydką, daje im ogromne możliwości. Nawet kurczakom, a szczególnie kurczakom. I szanowni Pisarze wspaniale sobie dają radę w kreowaniu takich bohaterów. A to się drób przebierze, a to się drób zmieni, szast-prast i sokół jak malowany. Nie wiem, mutacja, rok w kazamatach, tortury seksualne u królowej Amazonek... Każdy powód jest dobry, żeby pokazać, jaką szlachetną rewolucję dokonał umysł tego drobiu (no dobra: i ciało). Mimo tego wszystkiego to nadal jest kurczak, niestety. Stara się, biedak, i skacze na jednej nodze, na rzęsach staje... Wciąż kurczak... I wiesz, co stwierdziłam? Że ten cały zwierzyniec (orły, sokoły, tygrysy, lamparty) nigdy nie istniał w rzeczywistości. Nigdy. Ich po prostu nie było, nie ma i najprawdopodobniej nie będzie. Bo niby skąd, z rękawa?

D.R.: No, no, no, czekaj, czekaj! Aleś się rozpędziła! Miałyśmy sobie popsioczyć tylko i psy powieszać na płci przeciwnej, żeby było "trendy", a Ty z obiektu naszych narzekań zrobiłaś mamuty! Gorzej nawet! Bo dowody na istnienie mamutów są, i to niepodważalne! Zamieniłaś stuprocentowego mężczyznę w yeti! Znowu wszystko poprzekręcałaś! Naprawdę, ciężko z Tobą wytrzymać. Oczywiście, że orły i sokoły są, jak najbardziej są (co najmniej jednego mogę palcem pokazać – na dowód) i znajdują swoje odbicie w literaturze. Dzisiaj do porannej kawy zaczęłam sobie czytać opowiadanie, a tam rycerz, w starej i poszarpanej tunice, z niezbyt nową zbroją, bez hełmu, bo go był się pozbył z gorąca, ale orzeł jak nic. Wczoraj dostałam tekst, niepublikowany jeszcze, świeżutki i z tego tekstu wyziera tygrys w pełnej krasie. Na półce stoi u mnie kilkutomowy cykl, a jego bohater też lampart. I może dla jasności ustalmy: ilość metalu nie ma tu większego znaczenia. Nie ma też znaczenia ilość i srogość pokonanych potworów, jeden może sobie walczyć ze straszliwym demonem – kanibalem, a drugi raptem jakiegoś skrzata ustrzelić, albo innego krasnoludka, a i tak pierwszy kurczak, a drugi sokół. Wyznacznikiem niech tu będzie reakcja płci niewieściej. Te westchnienia zachwytu, ten rumieniec ekscytacji i fakt niezmienny, że ów bohater w pamięć zapada głęboko. Nie mówię, że trzeba od razu wykazywać chęć dawania choćby i na jeżu, ale całkowita obojętność wykluczam. I nie mam tu na myśli bynajmniej białogłów sportretowanych na kartach opowiadań czy powieści u boku naszego bohatera, bo te to zgodnie z intencja autora wołają "ach!" w zachwycie, nawet na widok chudej kurczaczej piersi.

M.K.: Oj, nie denerwuj mnie. Mam się zachwycać i pieśni dziękczynne wznosić, dlatego ponieważ literaturowe niewiasty podniecają się nawet wychudłą kurczaczą klatką piersiową, że o innych wychudłych albo obwisłych vel zwiędłych częściach ciała owego kurczaka nie wspomnę. Obrzydlistwo. Mają się zachwycać, ponieważ całkowita obojętność nie jest wskazana? A to niby dlaczego nie jest wskazana? Że kurczak przebrany za orła sokoła to pięknie jest. A, że kobieta widzi to przebranie, od pierwszego rzutu oka widzi, to ma przyjąć postawę odpowiednią (czyli się zachwycać) czy nieodpowiednią (wziąć sprawy w swoje ręce i nie mówię teraz o tym „orlo-sokolim-tygysio-lamparcim" atrybucie, co dynda kurczakowi przy boku). Widzisz, użyłam Twojego ulubionego słowa. Oj, nie denerwuj mnie. I chciałam się spytać, czy owe opowiadania, co cytowałaś, nie napisała przypadkiem niewiasta właśnie? Bo tak jakoś misiewidzi. Dobra, przesadziłam. Prawdziwi mężczyźni może i są. Tylko się ukrywają. Trzeba będzie dzierżgnąć łopatę i jakiś egzemplarz wykopać.

D.R.: A kto mówi, że masz się zachwycać kurczakiem?! Biorąc pod uwagę Twoją kłótliwość chociażby, trudno założyć nawet, że mogłabyś być przez kogoś napisana. A to kobietki wymyślone przez fantazję autorską zachwycają się drobiem z zasady. Przecież ktoś musi, prawda? A i może to być taki element chytrego planu: „jak dopiszemy zachwyconą niewiastę to może się ten zachwyt i przyjmie, na czytelniczki przełoży". No i Ty się nie zaliczasz. Tak, że już się nie obruszaj. Obojętność zaś jest wynikiem faktu, że nie mamy orłów tylko przebrane kurczaki. I nie, nie jest wskazana. Wskazany jest sokół i wskazane są autentyczne zachwyty. I dla Twojej informacji, to wspomniane przeze mnie teksty wszystkie napisane zostały przez facetów. Pewnie akurat przypadkiem sami stuprocentowi to im się łatwo przełożyło – a jak tak to i kopać nie trzeba... to znaczy wykopywać. Zastanawia mnie jednak co innego – skąd ten pomysł, że to niby kobiety te tygrysy tak umieją odmalować? Wiernie? Co?

M.K.: No jak to skąd? Z głowy. To znaczy, że tylko mężczyzna potrafi stworzyć prawdziwego lamparta? Tylko i wyłącznie on, bo tylko w męskiej naturze istnieje orle wyczucie? Skoro panowie tak szczegółowo opisują detale niewieście i wspaniale im wychodzi klasyfikacja kobiet z naciskiem na: zła kobieta. W takim razie uważam, że kobiety właśnie mają pełne prawo stworzyć stuprocentowego orła-sokoła. I to takiego, że wszystkim szczęki opadną z niemałym hukiem. Poza tym widzę w tym również elementy chytrego planu: "może jak opiszemy prawdziwego mężczyznę, jakiego byśmy sobie życzyły, to męska część czytelnicza weźmie sobie do serca literacką wizję, na warunki rzeczywiste przełoży i już nie będzie problemu z tłumaczeniem spraw niektórych." Oczywiście nie mówię, że panowie wskoczą w metalowe gacie i będą mieczem machać zamiast telefonem komórkowym. Ale przynajmniej niech wezmą sobie pod uwagę, że kobieta, która pisze o tygrysie-lamparcie, robi to również z jakiegoś powodu. O, właśnie.

D.R.: Z głowy powiadasz... Tylko że ja mam jakie takie odczucie, że w tej Twojej głowie to pojawiła się myśl, iż tylko kobieta potrafi. Przeczucie mam takie, imaginuj sobie. Nawet sobie sięgnęłam lekturę pomocniczą, jakbyś miała zamiar to przeczucie potwierdzić. A tam taka cudna scena w alkowie jest – pióra kobiecego, jak najbardziej – gdzie nasz orzeł-sokół oniemion i sparaliżowan niemal stoi, bo mu się żonka świeżo poślubiona taką piękną i taką młodą wydaje i, uważasz, taką chętną. Ostrzegam lojalnie, że jak się będziesz upierać przy zdaniu „tylko kobieta" to ja będę cytować całe fragmenty! A jak to nie pomoże, to wezmę drugą książkę, w której w rolę sokoła wciela się czarnoskóry stwór i nie jest bynajmniej Afroamerykanin! I też będę cytować! Swoją drogą, jak to są elementy chytrego planu, to ja przepraszam i może opowiem dowcip o gąsce Balbince, dla poratowania nastroju. Jednak zanim zawrzaśniesz, to od razu powiem, że owszem kobieta _też_ potrafi z naciskiem na owo też, bo akurat moje ulubione orzełki to prosto spod męskiego pióra wylatają (wyszło dwuznacznie, ale niech tam, przynajmniej nie użyłam słowa „atrybut"). Zresztą generalnie mnie jest obojętne, kto ich będzie, tych sokołów, orłów, tygrysów, lampartów pisał. Ja postuluję żeby było ich więcej! Precz z drobiem! Precz z pseudowiedźminami! Precz z palantami w metalowych gatkach! Stanowczo precz z kurczakami!

M.K.: No precz, precz. A kysz, bym dodała. Tylko teraz Ty imaginuj sobie, że jednak nie wiem czy się znajdzie jakowyś śmiałek, co rozplenione stada kurczaków wybije w przysłowiowy pień. Kurczaki już się zadomowiły na tak zwane dobre. One są wszędzie, tworzą nowe kurczaki mutanty. I ja bym również chciała widzieć je wszystkie na rożnie. Oj, tak, smaczny widok. Tylko jakoś mi się zdaje, że za późno plan rzezi się wziął i wysnuł. Niektóre kobiety mogą piersią własną

zasłonić kurczaka i... co wtedy? Krzywda wielka, płacz, lamenty i wyrywanie włosów. Skoro te Twoje ulubione orzełki wylatują akurat spod męskiego pióra, to niech sobie wylatują. Ja im nie bronię. Chciałabym tylko, żeby nasze kochane kobiety nie siedziały z założonymi rękami i nie czekały na orła odpowiedniego. Dygresja: nie wiem, czy się doczekają. Chciałabym również, żeby nasze kochane kobiety, z braku orła właśnie, nie zaspokajały się (ale zabrzmiało, przepraszam) pierwszym lepszym kurczakiem, co się właśnie przebrał za dzikusa drapieżnego. I chciałabym, żeby nasze kochane kobiety piszące nie ograniczały się do stereotypowego zastoju i też stworzyły jakiegoś orła-sokoła-tygrysa-lamparta, na modłę swoją i tymi tam... oczekiwaniami. Tego bym chciała. I widzę, że długo to zajęło, ale mniej więcej się zgodziłyśmy. Cel ten sam, tylko metoda inna... Ech. Tak, wiem, złośliwa jestem. Ale zwal wszystko na trzyliterowy syndrom comiesięczny. Dobra?

D.R.: Dobra. Ale tylko tym razem. I generalnie tylko na rzecz kampanii, mającej na szczytnym celu przywrócenie orłów i sokołów na karty naszych lektur.

Józef Wójcikiewicz

Obrazy

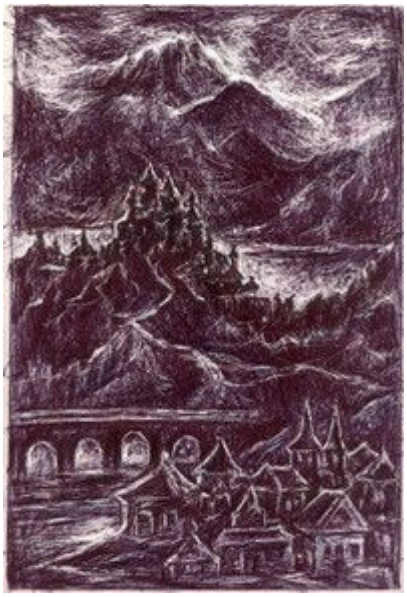

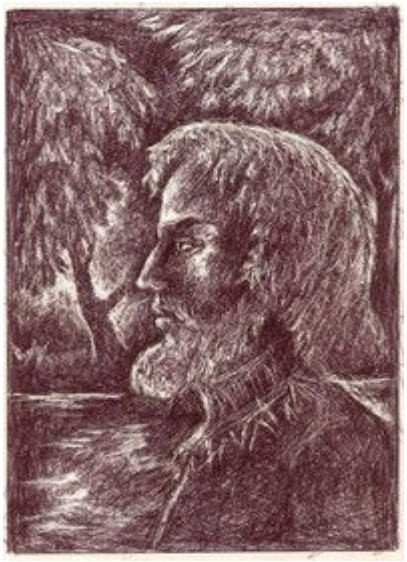

Andrzej Zimniak

Flirt zaczepno-obronny

Biochemia cyjanowodoru

Zaczepnie flirtuje: Madzia
Broni się: Andrzej Zimniak

Madzia: Czy istnieje cień szansy, żeby roślina wytwarzała cyjanowodór, czyli HCN, z węgla i wodoru (z gleby, wody itede) oraz azotu atmosferycznego?

AZ: Apage satanas! Co tym młodym i pięknym dziewczętom przychodzi do głowy? Cyjanowodór kojarzy mi się z komorami gazowymi, a konkretnie z jednym profesorem chemikiem, którego Niemcy nie mogli otruć, bo przed wojną przy swojej pracy ponoć przyzwyczaił organizm do trucizny, wdychając gaz w małych dawkach. Byli tak zdziwieni, że go wypuścili i żył w dobrym zdrowiu tudzież nauczał chemii jeszcze przez kilka dziesiątek lat.

Madzia: Ojej, jakie to ciekawe! Mogę ten wątek wykorzystać w swojej książce, którą przygotowuję?

AZ: No chyba. Przecież ja tego nie wymyśliłem, więc plagiatu nie popełnisz.

Madzia: Więc co z tymi roślinami?

AZ: Nie jestem pewien, czy to-to można byłoby nazwać roślinami, ale niech będzie. Czy mogłyby zionąć cyjanowodorem? Czemu nie. Jeśli energia będzie pochodziła np. od Słońca, taką biosyntezę można sobie wyobrazić, choć obecnie nie jest znana.

Madzia: Ale czy jeszcze dałyby radę na tym wyżyć?

AZ: To stwierdzenie sugeruje, że mogłyby z tego procesu czerpać energię. Nie sądzę – entalpia tworzenia HCN jest dodatnia, wiec proces syntezy wymaga dostarczenia energii. A czy możliwy jest metabolizm, oparty na obecności HCN w organizmie, to kwestia otwarta. U wyimaginowanych fitokształtnych kosmitów na pewno tak, jeśli to o nich piszesz książkę. Może nawet byłby to metabolizm białkowy?

Madzia: Teoretycznie kosmicie wszystko wolno. Ale mi się coś z mojej prachemicznej wiedzy przypomina, że są reakcje egzotermiczne i endotermiczne. Ergo, jeżeli wytwarzanie HCN jest potwornie kosztowne energetycznie, to roślince może być z tym ciężko.

AZ: Potwornie energochłonny proces to nie jest, jak wspominałem, da się ciągnąć energię ze Słońca, na przykład podobnie jak w celu asymilacji dwutlenku węgla.

Madzia: Jasne, nie ma co konstruować całych szlaków biochemicznych Obcego. Ale wolałabym, żeby nie było z tego jakiejś straszliwej porażki :)

AZ: Otóż to! Według mnie, nie ma co zamieniać książki literackiej na podręcznik do biochemii, bo każde z tych dzieł ma zgoła inne cele do spełnienia. Literatura to aluzja, hiperbola, gra emocjami i uczuciami, puenta, a podręcznik ścisły to weryfikowalna wiedza eksperymentalna. Postawmy te książki na oddzielnych półkach i sięgajmy w celu zaspokajania różnych intelektualnych potrzeb, w odpowiednich chwilach zawieszając niewiarę, aby można było dostrzec piękno Sztuki. Inna rzecz, nie ma co wypisywać jawnych bzdur, które powstają, jak ktoś próbuje naśladować podręcznik, a wiedzy mu nie staje.

Madzia: Tacy chyba podręczników nie pisują...

AZ: Różnie z tym bywa, niektórzy "uczeni" mają tupet. Ale chodzi o coś innego. Nie mam nic przeciwko polonistom, ale istnieje coś takiego jak specjalizacja, więc jeśli polonista, dla którego całka to tylko tłusty robaczek, spróbuje skonstruować wizję obcej technologii, będzie się ona koncepcyjnie różniła od analogicznej wizji inżyniera. Chcę powiedzieć, że ten drugi dobrze wie, kiedy w trakcie aktu tworzenia zawiesza swoją niewiarę, a drugi nie ma o tym pojęcia, bo dysponuje tylko bezgraniczną wiarą. Czytelnik nie kiep i to pozna, nawet jak... jest polonistą.

Madzia: Coś nie jestem pewna twojej miłości do polonistów.

AZ: Jesteś w błędzie. To jasne, że nie istniałaby kultura bez polonistów i innych "-istów", ogólnie – humanistów, choć literatura s-f pewnie by się ostała. Chcę powiedzieć, że mamy do czynienia z pełną symetrią: gdybym to ja stworzył język elfów, wyszłaby podobna bzdura, jak gdyby Tolkien wymyślił podstawy metabolizmu marsjańskich nietoperzy. Daruj trochę niefortunne zestawienie, ale świadomie nie podałem nazwiska żadnego znajomego, bo łacno mogłoby się okazać, że już od dawna nosi on w teczce słownik gadających kogutów wulkanicznych z Io.

Madzia: Ojejejej, wpędzasz mnie coraz dalej w kompleksy, skoro nie tylko nie-chemicy, ale nawet anty-chemicy poznają się na mojej niewiedzy! Dokształć mnie, proszę! Czym taką cyjanoroślinkę otruć najlepiej? Na potrzeby chwili mam siarczan miedzi... bo tak. Nic innego nie wymyśliłam. Ale może coś – cokolwiek – dużo lepiej się kłóci z cyjanowodorem?

AZ: Ogólnie wymieniłbym związki żelaza i miedzi, bo te pierwiastki tworzą trwałe kompleksy z jonami CN. Paradoksalnie, także toksyczne dla takiego cyjanofitonida mogłyby być centra aktywne dla tlenu, a więc dla niego trutką byłaby sama istota tlenowa (z wzajemnością). Ale nie wprowadzaj toksycznych pocałunków, bo ci wszyscy bez-chemicy nie poznają się i odbiorą "momenty" jako truizm.

Madzia: Pytanie praktycznie bez odpowiedzi, ale nie ustaję w poszukiwaniach, więc napastuję każdego. Jeżeli mamy mnóstwo HCN w powietrzu, to giną również niektóre bakterie. Czy te gnilne też?

AZ: Sporo bakterii ginie, tlenowych i bez-, ale niektóre się bronią. Czynią to dwojako: albo mają inny metabolizm i nie są zbyt wrażliwe na zakapiora, albo mają barierę komórkową, niedopuszczającą go do środka, ewentualnie aktywnie usuwają toksyny, na przykład enzymatyczną pompą w błonie komórkowej.

Madzia: Czy zwłoki ludzkie, które leżą w tak nieprzyjemnych okolicznościach, będą się rozkładały zupełnie inaczej? Żadne tam kadaweryny, putrescyny... tylko co?

AZ: Brrr, zapachniało horrorem prosto z prosektorium. Zgaduję, że te "gnijące inaczej" trupy ożyją i zrobią coś z najeźdźcami – cyjanoroślinami. Albo i nie, w każdym razie liczę na dobrą puentę, bo chciałbym dostać książkę z dedykacją. Wracając do wątku chemicznego: z pewnością mechanizm rozkładu będzie odmienny. Jaki? Proponuję kogoś zaciukać, a potem wsadzić w worek z HCN-em, ewentualnie pominąć pierwszy etap, skutek będzie podobny. Niech żyje eksperyment, precz z czczą teorią!

Madzia: Pytania są tendencyjne, wiem. Niby sama mam rozeznanie w medycynie, powinnam coś o powyższym wiedzieć, ale ni cholery. Pukam, stukam do różnych drzwi, nikt nic nie wie. Ten jedyny mądry, co wie, znajdzie się dopiero wtedy, kiedy książka się ukaże... i onże rzeczony wytknie mi horrendalne błędy publicznie.

AZ: Eeee, takiego bym o wielką mądrość nie posądzał. Chyba że sama się podłożysz. Jak chcesz rady, to powtórzę: trzeba pisać aluzyjnie, w przenośni, a nie dosłownie, naśladując podręczniki, bo wtedy będzie klapa, z tym mądrym i bez niego. Ważne są: uogólnienie, puenta, nastrój, niedopowiedzenie, poezja. Są naukowcy-fantaści, którzy budują dalszy ciąg swoich ścisłych teorii w literaturze, ale taka literatura bywa w niezamierzony sposób śmieszna, a za miesiąc jest już anachro-

nizmem, bo, wbrew pozorom, za nauką my, pisarze, nigdy nie nadążymy. W literaturze deszcz za oknem ma wywoływać nastrój, nie powódź, a zbójcy lęk i dylematy moralne, nie zaś prowokować do obliczania najkorzystniejszej ekonomicznie proporcji łupiących do łupionych.

Madzia: Wszystko fajnie, ale ja mam ten cyjanowodór...

AZ: Dla kosmity ma zapach fiołków. Reszty domyśli się czytelnik.

Grudzień 2004

Madzia jest postacią rzeczywistą i wyraziła zgodę na publikację swoich pytań, z których większość została podana bez zmian.

Wojciech Świdziniewski

Cimmerian Show

Długie łodzie

Każdy, komu się wspomni o wikingach, zaraz kojarzy sobie tę nację z rogatymi hełmami i chyżymi smoczymi łodziami. Kiedy to pierwsze skojarzenie jest błędne, to drugie jak najbardziej prawdziwe.

Łodzie wikingów, których początki sięgają aż epoki kamiennej, były majstersztykiem swoich czasów, a i dzisiaj budzą podziw. Smukłe kadłuby, ogromne, kwadratowe i kolorowe żagle, smoki (albo, jak chcą niektórzy, węże) na dziobie. Okręty te cechowała niebywała szybkość, zwinność i małe zanurzenie (ok. 1m). To wszystko pozwalało morskim rozbójnikom na wdzieranie się rzekami głęboko w ląd – to dzięki tym okrętom złupiono Paryż, Londyn i dotarto do Konstantynopola.

Okręty wikingów można podzielić na trzy kategorie: łodzie, okręty kupieckie i okręty wojenne.

Pierwsza kategoria to *sexaeringr* i *karvi*, łodzie wiosłowe, często bez omasztowania, bardzo szybkie i wykorzystywane głównie do polowań na wieloryby i mniejsze morskie ssaki. *Sexaeringr* to łódź sześciowiosłowa, nierzadko wykorzystywana przez statki kupieckie, które miały głębsze zanurzenie niż okręty wojenne, do „kontaktów" z lądem. *Karvi*, większa łódź, o liczbie wioseł od dwunastu do trzydziestu dwóch, służyła do komunikacji i przybrzeżnego handlu.

Druga kategoria, okręty kupieckie i pełnomorskie, zwane *kaupskip* (dosłownie „statek kupiecki") albo *knarr* (*knorr*) miały głębsze zanurzenie i wyższe burty, przez co używane były również do wypraw pełnomorskich. To na takich okrętach zasiedlono Islandię oraz odkryto Grenlandię i Winlandię. *Kaupskipy* miały małe nadbudówki na dziobie i rufie, pod którymi można było przechowywać co cenniejsze towary. Mały *knarr* miał ok. 14 metrów długości, 3,5 metra szerokości, mógł zabrać 4,5 tony ładunku, przy czym rozwijał prędkość 8 węzłów. Jego załogę stanowiło od sześciu do ośmiu ludzi, a wiosła miał tylko na dziobie i rufie.

Trzecia kategoria, najbardziej rozbudowana, to okręty wojenne zwane ogólnie *langskipami*. Cechą charakterystyczną tych okrętów było zachowanie proporcji długości do szerokości statku, która wynosiła 7 do 1. Najmniejszym ich przedstawicielem był *snekkja* (dosłownie „chudy i wystający"). Średnia długość *snekkja* wynosiła około siedemnastu metrów, szerokość 2,5 metra. Jego załogę stanowiło 30 ludzi. Ten mały okręt rozwijał prędkość 14-tu węzłów przy żaglu o powierzchni około 50 metrów kwadratowych, a 5 węzłów, gdy był napędzany wiosłami. Większymi okrętami były *skei* ("ten, który tnie wodę") o długości do 30 metrów i szerokości do 4. *Skei* pod żaglami osiągał prędkość 20-tu węzłów, a z pomocą wioseł 6 węzłów. Jego załogę stanowiło do 100 ludzi, w czym około 60 wioślarzy. Ostatnią grupę stanowiły *drekary* (bądź *drakkar*), „smok". Były to największe okręty, na które stać było tylko najzamożniejszych wikingów i ich konungów. Mój ulubieniec, Olaf Tryggvasson, konung norweski jako swój statek flagowy miał „Długiego Węża", okręt o 68 wioślarzach. Na „Wielkim Wężu" Harolda Hardrady z 1062 r. jako załoga służyło 70 – ciu wioślarzy. Są informacje, że jeden z konungów zażyczył sobie okrętu o długości stu metrów. Niestety, statek ten nie utrzymał się na wodzie. Jak widać były to naprawdę smoki.

Długie łodzie były budowane głównie z dębiny, przy czym maszt prawie zawsze stawiano z świerku. W niektórych okrętach deski pokładowe były ruchome, przez co łupy i broń można był schować pod pokładem. Wioślarze siedzieli na skrzyniach w których chowano co cenniejsze skarby. Niektóre statki miały kamienne paleniska, ale to spotykało się rzadziej – żeby przygotować strawę zazwyczaj lądowano na brzegu. Często były za to namioty stawiane na drewnianych stelażach pośrodku okrętu z żaglem jako płótno – chroniły przed złą pogodą. Żagiel był robiony z wełny, co wydaje się niedorzecznością, gdyż wełna bardzo szybko nasiąka wodą i staje się bardzo ciężka. Jednak najnowsze badania wykazały, że wikiński żagiel robiony był z wełny specjalnej owcy. Wełna tej owcy dzieli się na dwa rodzaje włosia. Krótszy chroniący zwierzę przed wodą oraz dłuższy „właściwy", dający ciepło. Wikingowie do swych żagli wykorzystywali obydwa rodzaje tej wełny, przeplatając je. To dawało solidny, wodoodporny żagiel. Na żagiel naszywano liny w romboidalne kształty, co go wzmacniało, a jednocześnie zapobiegało odkształcaniu się żagla. Często kroniki anglosaskie i sagi wspominały o tym, że łodzie wikingów wiją się po wodzie jak węże. Uważano to za *licentia poetica*, dopóki dokładnie nie zrekonstruowano jednej z takich łodzi. Okazuje się, że okręt faktycznie układał się do fal i był bardzo elastyczny. Odpowiedzialnych za to było dziewięć desek poszycia, licząc od stępki, które były cieńsze od pozostałych. Również wysoki dziób pomagał przy przebijaniu się przez wodę przy większej prędkości – chronił pokład przed zalaniem i dosłownie rozcinał taflę morza.

Dzięki tym wszystkim usprawnieniom jak i zdolnościom nawigacyjnym (wikingowie kierowali się na morzu za pomocą gwiazd, słońca, ptaków i koloru morza) podróż z Norwegii do Islandii trwała od pięciu dni wzwyż, a podróż z północnej Norwegii do Truso, koło Elbląga dni dwadzieścia.

Wikingowie nie toczyli wojen na morzu, a jeśli się już to zdarzało, to związywano okręty w linię i walczono jak przy bitwie lądowej. W tym przypadku najbardziej zaszczytnym miejscem walki był dziób okrętu. Wikingowie mieli również dość rozbudowaną sygnalizację morską. Kiedy okręt wpływał do obcego portu i miał przyjazne zamiary zdejmowano z dziobu głowę smoka. Na morzu natomiast wywieszano tarcze. Czerwona oznaczała wrogość, biała przyjazne nastawienie.

I to tyle w dzisiejszym odcinku Cimmerian Show. Za miesiąc przedstawię państwu kunszt bojowy wikingów.

Adam Cebula

Mam pomysł

Sprawa ta zasadniczo dotyczy wielkiej polityki. A jednak, pomyślałem sobie, że warto o niej napisać w czasopiśmie poświęconym fantastyce oraz kulturze masowej. Oto, jakimi dróżkami chodzą ludzkie myśli. Jak rodzą się legendy plotki, pomówienia i straszliwe tajemnice, których później badacze przez wieki nie są w stanie rozwikłać. Pojawiła się na scenie politycznej teczka niejakiej pani Niezabitowskiej. Osoba ta z mej pamięci zdążyła zniknąć. Nie obchodzi mnie ani jej świetlana przeszłość, ani tym bardziej jakakolwiek przyszłość. Interesujący jest natomiast pewien aspekt sprawy: a właśnie te teczki. Nie byłoby powodu do zainteresowania, gdyby nie artykuł, zamieszczony w największym polskim dzienniku Gazecie Wyborczej. Nosi on tytuł „SB siebie nie oszukiwała". W nim, dzięki osobie naukowca, znajdziemy coś bardzo bliskiego naszej ukochanej science-fiction, czyli poszukiwanie prawdy, albo... No właśnie.

Wokół IPN-u dymi się już od dawna. Pan historyk wygląda trochę na kogoś, kto dał się wypuścić. Nie potrzeba nawet wydrukowanej poniżej rozmowy z generałem Czempińskim, żeby przeciętnie inteligentny człowiek zorientował się, że nasz naukowiec chce nam wmówić rzeczy dziwne i niesamowite. Na przykład, że pracownicy SB lubili się narobić za darmochę, postępowali niemal tak, jak człowiek, który napotykając na swej drodze kierat, do niczego nie podłączony, natychmiast się do niego zaprzęgnie. Poniżej Czempiński opowiada, że jak ludzi nikt nie pilnuje, to darmowej roboty nie będą robili. Różnica wiarygodności leje po oczach. Nie dałbym w tym kontekście pięciu groszy, czy ktoś nie dał się wypuścić z teczką Niezabitowskiej.

Uczony na pytanie dziennikarza, czy na podstawie dokumentów bezpieki można stwierdzić, że ktoś był lub nie, agentem odpowiada bardzo sprytnie, jak to naukowiec, że to „bardzo trudna sprawa". No, ciekawe, a jakiej moglibyśmy się spodziewać innej opinii po naukowcu? Czy mógłby powiedzieć, że sprawa jest prosta? Nie mógłby, ponieważ naukowiec nie zajmuje się prostymi sprawami. Z definicji. Jeśli się przyzna, że zajmuje się takowymi, to ktoś może go zapytać, po co on, ten naukowiec, czy czasami na jego stanowisku pracy nie da się posadzić jakiegoś absolwenta z licencjatem, a niekoniecznie doktora na ten przykład? Pan historyk stwierdził też przytomnie, że nie ma bezgranicznej wiary w pozostawione przez SB teczki, ale też uważa, że niczego nie można od razu a priori kwestionować.

Tak więc, na samym wstępie uzyskaliśmy kilka cennych informacji, że sprawa nie jest prosta, oraz że teczki mogą być prawdziwe lub fałszywe... Informacje te są, jakby nie obrócić, prawdziwe. Pierwsza jest nieweryfikowalna, jest indywidualnym wyrazem oporu materii badań stawianego wysiłkom naszego historyka. Druga... Można podać kilka przykładów takich prawdziwych zdań typu „Antarktyda leży na północy lub południu". Leży niezależnie, czy lub potraktujemy jako tak zwaną alternatywę rozłączną, czy w sensie alternatywy logicznej. Leży na północy lub południu, na pewno.

Kiedy jednak dochodzi do konkretów, należy, dla bezpieczeństwa konkrety zakwestionować. Jako istniejące. A więc gdy generał Czempiński twierdzi, że teczki były fałszowane, to kwestionujemy, że mógł on wiedzieć, co się w SB naprawdę działo. No bo co taki oficer wywiadu może wiedzieć o działaniu służb specjalnych? Po prostu nic nie może wiedzieć, zwłaszcza w porównaniu z panem historykiem!

Cóż jeszcze? Szlachetne przyznanie się do niewiedzy. Pan historyk „sprawy Chrzanowskiego" nie zna. Nie zna, wobec tego nie będzie o niej rozmawiał. A wobec tego unikniemy roztrząsania ewidentnego przypadku sfabrykowania fałszywek na znaną osobę. Także wiedza o wpadkach SB. A że na przykład werbowano osoby, delikatnie mówiąc, sfiksowane. Że SB była nieskuteczna. Bo musiała wprowadzić stan wojenny. To takie stwierdzenie zasadnicze, niby oczywiste, ale takie, które musiało paść. Można dodać jeszcze jeden dowód nieskuteczności: rok 89. Tak dla porządku. Walnęło się, a miało zapobiec przed walnięciem, więc nie zadziałało. Tak w kwestii formalnej, ale także gdyby ktoś nie zauważył.

Historyk deklaruje się jako przeciwnik lustracji, bo nie przeprowadzono dekomunizacji. Skutkiem tego ukarano miecz, a nie ukarano ręki: mamy i przenośnię, metafórę (jest jeszcze metafora, ale nie ma pewności, do czego się jej używa) czy jak jej tam, w każdym razie poetycki środek wyrazu świadczący o humanistycznych korzeniach badacza. Aczkolwiek, o co chodzi? Taka bardziej nowoczesna wyszła forma, bo nie bardzo wiadomo, co ma owa ręka do lustracji, choć domyślamy się, że ten ukarany miecz trzymała. Miecze, tośmy od (a szlag by ich) Krzyżaków dwa, choć i dostatek, ale na znak zwycięstwa. Nie ukarali, a przyjęli, warto przypomnieć. Ta procedura przyjmowania na dobre nam wyszła i zasadniczo warto byłoby się jej trzymać. No więc nie dowiemy się, czy nasz historyk jest za przyjmowaniem mieczy, czy przeciw. Wobec takiej niewiedzy, wzajemny stosunek dekomunizacji, czyli wieszania czerwonych jak leci i nakopania do dupy kablom, trzeba uznać za całkowicie nie do rozwiązania. Choć wydawałoby się, że to procesy całkowicie niezależne.

Zasadnicza teza naszego historyka brzmi, że SB nie mogła siebie oszukiwać. Bo to byłoby bez sensu. Nie, to nie jest zasadnicza teza. Jest inna, o wiele bardziej zasadnicza „Warto pamiętać, że dokumentacja SB jest materiałem niezwykłym". O to chodzi cały czas. Wszelako pomysł, że SB mogło tworzyć fałszywki, godzi właśnie w nią, nie w to, czy warto wierzyć dokumentom SB. Wiarygodność w przypadku pana naukowca ma znaczenie drugorzędne wobec tego, czy owe papiery są „niezwykłe". Skoro jednak jesteśmy pismem literackim, zajmijmy się owym zdaniem tytułowym. Że SB siebie nie oszukiwała i wynikaniem, że to nie miałoby sensu. Przed nim jest uzasadnienie, że trudno sobie wyobrazić, żeby dokumenty przeznaczone dla wąskiego grona funkcjonariuszy byłby fałszywe. To jest jeszcze dyskusyjne, bo mimo tego, że trudno dla pana historyka, to osoba z większą wyobraźnią albo innymi doświadczeniami wyobrazić sobie chyba jednak może, w gruncie rzeczy, my, fantastycy nie takie rzeczy sobie wyobrażamy. Pełna moc tytularnego stwierdzenia spłynie na nas dopiero, gdy spersonifikujemy dzielną SB. Gdy SB jest osobą, to naprawdę idiotyczne, żeby ktoś siebie sam oszukiwał...

Pojęcia nie mam, czy Niezabitowska jest osobą godną zaufania, czy była nią, czy warto w jej obronie występować. Natomiast mogę powiedzieć, że z kilku znanych mi historii werbowania TW, ich przebieg zgadza się z tym, co opowiedziała była pani rzecznik. Zazwyczaj niespodziewane aresztowanie, 48 godzin na dołku, przesłuchanie groźby, wymuszenie podpisania lojalki. Potem jedno, góra dwa spotkania w dość krótkim odstępie czasu. I koniec.

Przyczyn takiego scenariusza było zapewne kilka. Jedna, funkcjonariusze bali się. Już mieli za sobą jedno, co zdawało się niemożliwe: powstanie Solidarności. Z tej historii wniosek płynął prosty jak drut: może się walnąć, a wtedy... strach pomyśleć. Bali się więc „namierzenia". Zwerbowany delikwent nie mógł być cały czas „na widelcu". Wystarczyłoby, że nada swego opiekuna koleżkom, a spotkanie będzie jak pocałunek Judasza. Zobaczą

z odległości kilkudziesięciu metrów. Może sfotografują. A może znajdzie się ktoś znajomy, kto nada sprawę w środowisku. Funkcjonariusze bali się zwyczajnego pobicia, psychicznego linczu w środowisku, przecież mieli żony, matki, dzieci. Kolejna przyczyna, to bezpieczeństwo samego TW. Zazwyczaj ów o konspirze nie miał zielonego pojęcia. Nie potrafił uzasadnić przed znajomymi niespodziewanego wyjścia, nie potrafił łgać bez zaczerwienienia uszu i długiego nosa. Wreszcie TW, który nie chciał być TW, diabelnie szybko uczył się rozmawiać tak, żeby nic nie powiedzieć. Urok wszechwładzy SB szybciutko się rozwiewał, namierzona osoba znajdowała wyjście z sytuacji, którą oficer starał się przedstawić jak bez wyjścia, zazwyczaj poprzez uczciwe poinformowanie znajomych o tym, co się stało.

Kto wie, czy akceptacja ludzkiej słabości, umiejętność wybaczenia przez środowisko nie było jednym z najlepszych lekarstw na inwigilację? W tych kilku wypadkach, jakie znam, właśnie to, że „konfidenci", którzy niczego nie zdążyli donieść, a poinformowali znajomych o zwerbowaniu, zablokowało dalsze rozpoznanie. Ratowało nie rozpaczliwe bohaterstwo, ale trochę szwejkowska roztropność.

Tak czy owak, w znanych mi wypadkach współpraca z TW zwerbowanym na zasadzie „złapaliśmy cię, to współpracuj", kończyła się bardzo szybko. Inaczej działały tak zwane „wtyki" czyli ludzie, którzy byli od początku podstawieni. Nie wiem, co nimi kierowało, ale chyba byli to albo etatowi pracownicy SB, albo ludzie, którym udowodniono jakieś pospolite przestępstwa. Być może byli i ideowi donosiciele. Ci zazwyczaj rozpracowywali jakąś grupę, aż do jej rozbicia. Co charakterystyczne, zazwyczaj następowały jednoczesne aresztowania wielu osób. Esbecja starała się je tak przeprowadzić, by zdobyć materialne dowody winy, czy to w postaci matryc, wydrukowanych ulotek (cała materialna działalność opozycji sprowadzała się do drukowania), żeby w ewentualnym procesie nie trzeba było opierać się na zeznaniach owych TW. Po tym prowokatorzy czy donosiciele znikali z okolicy. Na etapie stanu wojennego ustalenie ich personaliów było bardzo trudne i dość bezcelowe. Jeśli pojawili się gdzieś znowu, to zapewne pod fałszywym nazwiskiem.

Otóż kilka takich aktywnych wtyk zostało zlokalizowanych i jakoś nikt ich nie ściga. Nikt nie chce karania, nikt nie ciąga po sądach. Dlaczego? Czyżby dlatego, że zazwyczaj ci ludzie już nic nie mają, nic nie znaczą, nikomu nie przeszkadzają?

Ot, znamiona działania pozanaukowego, bynajmniej nie nakierowanego na dochodzenie, jakim ten świat jest, jak było naprawdę czy „naprawdę". W toku dyskusji o teczkach pojawia się argument, że nie udowodniono jeszcze ani jednego przypadku fałszowania teczek. Zastanawiam się, o co tu naprawdę chodzi. O ile bowiem argument, że SB nie mogła siebie oszukiwać, wymaga swego rodzaju literackiej fantazji dla osiągnięcia pełnej ostrości, to fałszowanie dokumentów przez pracownika SB, dodajmy właśnie swoich dokumentów, jest wyższą szkołą filozoficznej jazdy. Spróbuj sfałszować własny podpis. Nie cudzy, tylko własny. Spróbuj sfałszować pieczątki, którymi się na co dzień posługujesz, i oczywiście, przybijając na dokumentach autentyczne. Weź formularz z szafy i sfałszuj go, zaczynając jednak od tego, że bierzesz formularz autentyczny. Inaczej mówiąc, należy się obawiać, że w sensie materialnym istnieją tylko autentyczne dokumenty SB. Problemem jest tylko to, czy ich treść ma cokolwiek wspólnego z materialną prawdą.

Jednak, jak już wspomniałem, dla naukowca, w tym wypadku dla naszego historyka, nie jest to problem najważniejszy. Wyjaśniam: mogą owe papiery nie mieć nic wspólnego z tym, co się naprawdę działo, byleby były „interesujące". To znaczy, byleby dało się poprzez grzebanie w nich produkować jakieś publikacje, byleby grzebanie się w nich dawało prestiż naukowej pracy, znaczenie w społeczeństwie. Jednak, dość przypadkowo, dla spełnienia tego wszystkiego, wygodne jest utrzymanie przeświadczenia, że nie jest to sterta makulatury, lecz cenne dokumenty zawierające historyczną prawdę. Przy czym słówko „historyczną" może być kluczowym, oznaczającym kolejny rodzaj „prawdy". Bynajmniej nie oznaczającej opisanie tego, co się faktycznie działo.

Ani trochę nie mam ochoty na występowanie w obronie pani Niezabitowskiej. Powiem szczerze, mam dość pokrętne podejrzenia. Oto, w związku z aferą jej nazwisko pojawia się w dziennikach, w Internecie, jakieś kilkanaście milionów ludzi ma wtłaczane do głowy, że jest jakaś sprawa tej pani, o której już zaczęliśmy zapominać. Zasada jest prosta: niech mówią jak chcą, byleby nazwiska nie przekręcali za bardzo. Minie kilka miesięcy, ukaże się jakaś książka... Wiem, podejrzliwość moja jest chyba już chorobliwa. Ale za „świadomość marki" płaci się ogromne pieniądze. Psa z kulawą nogą ruszają poglądy niejakiego Cebuli, w związku z tym pies z kulawą nogą zwraca na niego uwagę. Umiejętność wywołania ostrej zadymy wokół własnej osoby jest wstępem do kariery. Z tejże przyczyny staram się nie wymieniać żadnych nazwisk więcej, niż zdaje mi się to zupełnie niezbędne. Gdybym kandydował do jakichś państwowych urzędów, to pewnikiem napisałbym sam na siebie paszkwil, wydał w zaprzyjaźnionym wydawnictwie. Prosta kalkulacja wskazuje, że właśnie tak zrobić trzeba. Jeśli nie napiszę donosu sam na siebie, w ramach kampanii wyborczej na pewno zrobi to ktoś z przeciwników. I tak mnie obsmaruje, a kasa trafi do jego kieszeni. Zdecydowanie rozsądniej wykonać tę robotę samemu, o ileż taniej zbierać haki na siebie, o ileż solidniej możemy to zrobić! Tak czy owak, będziemy obrzuceni łajnem, ale w tym drugim przypadku, przynajmniej będziemy mieli z tego jakiś konkretny zysk. Jeśli na skutek samobójczej publikacji przepadniemy w wyborach, to przynajmniej zostanie nam w kieszeni honorarium autorskie za „Prawdziwe oblicze Adama C." autorstwa niejakiego Barona. Prawda?

Porzucając wszelkie wątki polityczne, wróćmy do sprawy zasadniczej, czyli literatury. Zastanówmy się, czy nie pasuje do tej sytuacji, jak ulał schemat światów równoległych? W jednym nasz historyk, w drugim generał Czempiński. W jednym zajadli, ale na swój sposób szlachetni pracownicy, nazwijmy dla efektu, kontrwywiadu, w drugim „paragraf 22": prywata i cała komunistyczna bryndza. W jednym szara ludzka masa, w wytartych socjalistycznych paltocikach, ciułająca ówczesne złotówki, które przy najbliższej okazji należy zamienić na dolary albo jakikolwiek towar, który rzucili do sklepów. Także pracownicy SB, wydani na łaskę owych rzucających, którymi byli nie jacyś mityczni „oni", ale szarzy pracownicy zaopatrzenia, emanacja zdychającego systemu, w którym ośrodkiem rzeczywistej władzy był sklep mięsny. W drugim świecie spersonalizowana monolityczna instytucja-maszyna, produkująca niezwykle ważne dokumenty. W jednym rozpaczliwe zbieranie „żopoochrannoj bumagi" w drugim najwyraźniej wierność do ostatniej chwili Systemowi, w którym urzędnicy nie zmieniają postępowania, mimo że widać, że naokoło wszystko się wali, aż do dzwonka czerwonego telefonu. Wierni, oddani gotowi na wszystko.

Ten szary, komunistyczny, większość z nas jeszcze doskonale pamięta. A ten drugi, to co? Czy to świat Franza Kafki? Ani trochę. Koszmarom praskiego dziwaka znacznie bliżej do tego z komitetami kolejkowymi. Świat pana historyka jest o wiele mniej skomplikowany, o wiele bardziej komiksowy. To chyba najwłaściwsze słowo.

Odkrycie to łaziło za mną od dłuższego czasu. Świat urzędowy, generowany przez instytucje, alienuje do kultury popularnej i to dodajmy, podlejszego gatunku. Pamiętam dyskusje na temat tego, skąd się wzięła WRON, którą mieszkańcy najweselszego baraku w obozie natychmiast przerobili na „wronę". Biorąc pod

uwagę techniki marketingowe na elementarnym poziomie, przyjęcie owej nazwy było co najmniej samobójem, w każdym razie wielką niezręcznością propagandową, dzięki której dosłownie w ciągu kilku dni od ogłoszenia stanu wojennego powstały takie pioseneczki jak „Zielona wrona". Do „WRON"-a jakoś nikt się nie przyznał, w każdym nie znam nazwiska autora, zapewne wykluło się na jakiejś naradzie w oparze zbiorowego szaleństwa.

Komiksowo rodzi się w każdym ustroju, byleby był tylko urząd. Na mojego czuja, poseł, który kazał zapuszkować u zarania III RP rodziców i ukochanego swej córki, miał taki właśnie ogląd rzeczywistości. Siedząc w parku przy puszce piwa z kumplami, nie sposób czegoś takiego wymyślić. Nie sposób w tak pięknych okolicznościach przyrody nie zauważyć, że wycięcie takiego numeru MUSI się źle skończyć, gdy wkoło kapitalistyczna, żądna sensacji prasa. Do takiej głupoty potrzebny jest zadymiony gabinet, sterta pism, z których trzy czwarte nie mają sensu, i zakłócone poczucie rzeczywistości.

Nie zapomnę migawki telewizyjnej z udanej akcji policji przeciw piratom. I oto, jako jeden z koronnych dowodów winy pokazano CROM-y z PCWorlda. Tak oto dowiadujemy się, że policja zdaje się żyć w rzeczywistości *Kosiarza umysłów Matrixa* czy jakiejś innej superprodukcji. Czasami wydaje się, że odzyskuje kontakt z naszym światem, gdy rzecznik policji wspomina o implantacji informatycznej bezradności w toku kształcenia dzieciarni, ale za chwilę dowiadujemy się o rozbiciu nadzwyczaj groźnego gangu warezowego, cokolwiek słówko to znaczy, i znów zanurzamy po uszy w kiepskim komiksie.

Konkluzja? Kochani, przecież to my produkujemy owe wizje. My! To nasza chora wyobraźnia wypuszcza tych niezłomnych agentów, najsprytniejszych hackerzy, wizje wszechwładnych maszyn-instytucji. No, to... Jakby tak inteligentniej tym urzędom podsuwać, z czuciem, jakby tak umówić się miedzy nami autorami? Wiecie, co mam na myśli? Wiecie! Oczywiście, ruszyć głową, to przejmiemy władzę nad światem. Choćby dla sportu.

A.Mason

Okiem Wiecznego Malkontenta

Saperką na Ogry

Żyjemy coraz szybciej i zaczyna brakować nam czasu na cokolwiek. Pośpieszne życie przenosi się także na literaturę. Aby zaistnieć na rynku, wystarczy jedna książka, ale żeby się utrzymać, potrzeba co najmniej jednej rocznie (a i to czasem bywa mało). Skończyły się czasy, kiedy autor mógł wydawać książkę co kilka lat.

Nie byłoby w tym nic złego, gdyby zwiększona ilość nie przekładała się na spadek jakości. Na rynku pojawiają się „niedopieszczone" książki. Jak ocenić niedopracowane, wręcz niedokończone powieści, często sztucznie pompowane (nie przez skład, ale przez autora idącego na ilość...)? Nie ma nic bardziej przykrego niż świetny pomysł i zupełnie spieprzone wykonanie, bo twórca napisał i tak zostało wydrukowane. A przecież wystarczyło trochę odczekać i popracować. Szkoda świetnych pomysłów, z którymi widać, że autor mierzył się dłuższy czas. Mierzył się, ale brakło ich połączenia w spójną całość.

Tym bardziej szkoda debiutantów, których podzieliłbym na cztery grupy:

1. Debiutant ze słabym pomysłem i słabym wykonaniem,
2. Debiutant ze „średnio-ciekawym" pomysłem i przyzwoitym wykonaniem,
3. Debiutant z dobrym pomysłem i marnym wykonaniem,
4. Debiutant z bardzo dobrym pomysłem i wykonaniem.

Pierwsza grupa to typowe pomyłki wydawnicze, nie warto nawet o nich wspominać.

Debiutant nr 2 będzie pisał dalej, poprawnie, wręcz przyzwoicie. Być może kiedyś uda mu się jakiś pomysł.

Debiutant nr 3 najprawdopodobniej popadnie w stan depresyjny. Dobrze, jeśli się z niego po jakimś czasie wykaraska. Niedobrze, jeśli będzie próbował „zrehabilitować" się za pomocą kolejnej książki zanim uda mu się wyjść z dołu. Niedobrze, bo to autorzy-frustraci, niezdolni do stworzenia niczego dobrego. Tacy nie zdobędą się na nic ponad niezrozumiały bełkot, skowyt i gryzienie w pięty świata.

Ostatni z gatunków ma się najlepiej. Do czasu napisania kolejnej książki. Debiutancka powieść powstaje w wyniku zebrania wszystkich doświadczeń i pomysłów życiowych autora. O ile na napisanie pierwszej pisarz miał całe swoje dotychczasowe życie, o tyle w przypadku drugiej czasu jest naprawdę niewiele. Nawet jeśli pomysłów było na wiele książek, nietrudno zauważyć, że książki wydawane w krótkich odstępach czasu stają się wtórne, coraz słabsze. I co z tego, że warsztat pisarski się rozwija, jak pomysłów brak?

Kto jest temu wszystkiemu winien? Autorzy? Nie, bo ci chcą pisać, i skoro ich się publikuje, to piszą (i zarabiają pieniądze). Najprościej byłoby zrzucić całą winę na wydawców, ale byłaby to niesprawiedliwość. Wydawcy rządzą się zwykłą ekonomią, chcą zarobić. Robią oszczędności, na korekcie, na redakcji, na składzie... Skoro jest popyt, czytelnicy domagają się kolejnych książek (nawet niedorobionych), to czemu nie mają wydawać? Czyli wychodziłoby na to, że to czytelnicy są winni! I, podobnie jak w *„Kto jest wszystkiemu winien?"* kabaretu „Długi", idziemy dalej – przecież gusta czytelnicze kreowane są także przez recenzentów i krytyków literackich (tych ostatnich już chyba nie ma). Recenzenci wszystkiemu winni! Przyjdzie taki, odpieprzy recenzję na kolanie, albo nawet na podłodze, i pisze albo *copy-paste* robi... Ten wydawca daje książki – dobra recenzja, tamten się ociąga – gorsza, a ten wcale nie daje – zje.ać!... Znów wracamy do wydawców.

Nastąpiła komercjalizacja literatury. I choć nie można zarzucić nic samej idei, nie da się ukryć jej negatywnego wpływu na rynek. Już choćby dlatego, że wydawcy, zmuszeni liczyć każdą złotówkę, idą na kompromis: czas wydawania – cena – jakość. Szkoda, bo w świecie, gdzie rządzi pieniądz coraz trudniej o niekomercyjne przedsięwzięcia. Dobrze pod tym względem ma się jeszcze Internet (z Fahrenheitem), ale i tutaj staje się to coraz trudniejsze. Ludzie przestają mieć czas na cokolwiek innego niż praca i dom.

Takie czasy.

***

Czasy, gdy w kiosku można kupić widokówkę „Zajebiste walentynki".

Kiedyś byłoby to dla mnie nie do pomyślenia... A dziś?

Dziś zastanawiam się, czy mimo młodego wieku, nie jestem dinozaurem zamierzchłych czasów. I wygląda na to, że jestem. A jeśli jeszcze dodam do tego zwariowany pomysł, jaki strzelił mi do głowy wczoraj...

Otóż pomyślałem sobie stworzyć prywatną nagrodę. Chociaż tak naprawdę bardziej trafne będzie „stworzyć coś w rodzaju mecenatu". Wielkim mecenasem sztuki nie zostanę, ale myślę, że sto złotych, jakie zamierzam zafundować autorowi, który zrobi na mnie największe wrażenie, w jakiś sposób wynagrodzi trud pisania dla niekomercyjnego periodyku jakim jest Fahrenheit. Tak, wiem, te sto złotych przyznawane co kwartał, nie jest oszałamiające, ale mam nadzieję, że będzie traktowane jako symboliczna nagroda. Być może, jeśli będę miał dobry miesiąc, powiększę trochę tę kwotę, albo przyznam więcej niż jedną nagrodę. Nie wiem. Nie będę też ustanawiał żadnego regulaminu, bo myślę, że nie jest potrzebny. Nagrodę dostanie tekst publicystyczny albo opowiadanie, które uznam za warte wyróżnienia. Nie mam jeszcze pojęcia, kto wygra. Zwycięzcę za pierwszy kwartał roku 2005 ogłoszę dopiero pod koniec marca lub na początku kwietnia.

Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć powodzenia potencjalnym zwycięzcom, a czytelnikom i sobie – dobrych i dopracowanych tekstów.

Adam Cebula

O liczbach drugich i trzecich w literaturze

Zacznę od sprawy całkiem pobocznej, a jednak dość niezbędnej dla wywodu. Jak wspominałem na forum, miałem niezbyt miłą przygodę, najwyraźniej jakieś dobre dusze podpaliły nam w bloku podziemny garaż. Obyczaj typowo słowiański, nie ma się co obruszać. Otóż, sfajczenie się kilkudziesięciu, jak przypuszczano początkowo, samochodów, rzecz niecodzienna. Trudno się dziwić, że mieszkańcy wiecowali przed wejściem do czarnego jak komin garażu. Wiecowali na sposób inteligencki, coś se tam po cichu w grupce kilkunastu osób opowiadając. W pewnym momencie starszy pan, profesorem tytułowany, pociągnął mnie za łokieć i powiadomił konspiracyjnym szeptem:

– Telewizja idzie!

Niezależnie od tego, co było treścią, lecz informacja wypowiedziana i zaanonsowana w taki sposób zobligowała mnie do nieśpiesznego, acz stanowczego i skutecznego rozproszenia się. Rzecz w tym, że było to postępowanie na swój sposób oczywiste dla wszystkich obecnych. Ti Wi? Chodu!

Lecz ani trochę o środkach Musowego Przykazu czy Masowego Rażenia. Nie. O literaturze, meritum spraw, którymi nasze dzielne pismo chce się zajmować. Tu nastąpi właściwe zagajenie, wszelako poprzednią historię dobrze w pamięci sobie zachować. Zacznę od tego, że bynajmniej nie jest to sprawa autora, bynajmniej nie pojedynczego przedstawiciela gatunku. To zjawisko zbiorowe. W swoim czasie szlachetne i niosące nadzieję na przyszłość. Wiązało się ono z podstawową funkcją artysty, jaką jest poszukiwanie. Szukać można okularów, zgubionego scyzoryka, straconego czasu, a jednym z bardziej ryzykownych zajęć jest szukanie nowych form wyrazu. Działalność owa bierze się w dużej mierze z pozoru wandalistycznej działalności wszelakich teoretyków i zwyczajnych krytyków, której wynikiem jest rozbiór dzieła na czynniki pierwsze. Ostatnie jest swego rodzaju metaforą. Czynniki pierwsze to pojęcie z teorii liczb. Oznacza ono takie liczby pierwsze (w odróżnieniu od drugich i trzecich), które, przemnożone przez siebie, dadzą liczbę rozbieraną. Liczba pierwsza zaś to taka, co się dzieli bez reszty tylko przez 1 i przez samą siebie, na przykład 13. Liczby pierwsze nie dają się rozebrać na czynniki pierwsze. Ostrzegam od razu, że te drugie i trzecie, to nie są takie, co się dają rozłożyć na dwie lub trzy liczby pierwsze. Ich raczej nie ma, przez co tym bardziej odróżniają się od liczb pierwszych, które bardzo wyraźnie są. Jeśli komuś się zdaje, że coś bredzę, to może i ma rację, lecz owo bredzenie jak najbardziej może się przydać. Jak właśnie widać, można sobie dość sporo opowiedzieć o tym, czego nie ma, a co ewentualnie mogłoby być. Co więcej, można niebyt przeciwstawiać bytowi i podać pewne własności rzeczy nieistniejących kompletnie.

Sama świadomość, że taka działalność jest możliwa, że jej uprawianie może nawet nie jest do końca idiotyczne, a nawet wydaje się pouczające, powinna stanowić dostateczne ostrzeżenie. W maliny dać się wpuścić bardzo łatwo i w owym malinowym chruśniaku może być niektórym i dobrze, i bogato. Czymże zajmują się krytycy? Pisaniem o dziełach sztuki. A dzieła sztuki, zwłaszcza sztuki klepanej w klawiaturę (bez wątpienia, ostatnio mistrzów pióra już nie ma, żadne wydawnictwo nie przyjmie rękopisu, nawet z maszynopisem spokojnie można zlecieć ze schodów, choć w 99,9 procentach wypadków grzecznie wyprowadzą za bramę), są odbierane poprzez gust. Gusta zaś niedyskutowalne, czy jakoś tak, co oznacza, że po ryju człowiek zbierze po raz piąty, ale poglądów się uzgodnić nie da. Uczciwie mówiąc, możliwa jest tylko taka rozmowa merytoryczna, albo się podobało, albo nie, ewentualnie „tak sobie" czy „raczej nie". Nieszczęście zaczyna się chyba w momencie, gdy ktoś słuchający owej merytorycznej opinii zada pytanie DLACZEGO?!

Nie mam pewności, że taka właśnie, w gruncie rzeczy szlachetna, jest geneza owego zjawiska, które prowadzi do dekompozycji pracowicie przez autora poskładanego dzieła. Nie wykluczone jest, że nieszczęście zaczyna się po owym pytaniu, gdy odpowiadający dochodzi do wniosku, że chętnie by przy okazji informowania, dlaczego mu się podobało lub nie, wyszedł jeszcze na kogo mądrego. Jeśli zaś w okolicy znalazł się już grupka takich, co się jej wcześniej wyjść udało, on chciałby do niej dołączyć. Takim sposobem powstaje teoria literatury. Nauka dziś wielce złożona, pokrętna i zajmująca ogromne tomiska. Nauka, o której pojęcie mam blade, wynoszone jeszcze ze szkoły średniej.

Niestety, nie ma pewności, że uprawiający ją rozkładają zgodnie z przytoczonym środkiem wyrazu, którego jednak bezbłędnie zidentyfikować nie potrafię, rozkładają na czynniki pierwsze. Jest moja poważna obawa, że wystarczająco często na te drugie i trzecie. I nic nie szkodzi, jak powiedziałem wyżej, że tychże zasadniczo nie ma. Niebytowi wszakże można przydać wiele cech, podyskutować o jego własnościach i bynajmniej nie będą to dyskusje całkowicie jałowe. Więc na gruncie matematyki te liczby drugie są dość wyraźną głupotą. Kochany czytelniku, podana na głupiego definicja nie musi być do końca głupia. Być może da się zajmować liczbami drugimi, które rozkładają się tylko na dwie liczby pierwsze, ale TO NIE MA SENSU. W jakim sensie sensu nie ma, to jest kwestia odrobiny dobrej woli. Na przykład, związki, które otrzymamy, okażą się chaotyczne. W sensie matematycznego chaosu. Nie da się wyprowadzić ogólniejszych związków. Nasza wiedza naprawdę do niczego, przynajmniej na tym etapie cywilizacji, się nie przyda.

Rzecz w tym, że właśnie gdy idzie o liczby, to zajmowanie się tymi drugimi, jeśli nawet nie przez przeciętnego człowieka, ale przez matematyka, jest łatwe do zidentyfikowania. Nie mówię już wprost, ale używam poetyckiego środka wyrazu, może przenośni, czy przerzutni. Nie znam się na tym. W przypadku teorii literatury, nawet z definicji zajmowanie się nie-bytami, jest w pewien sposób ekscytujące i pożądane. Nic nie szkodzi, że ogólna teoria nie-bytu prowadzi do NICZEGO. Wystarczy się zatrzymać parę kroków przed tym celem i wszystko będzie w porządku, inni, którzy się namordowali i głowili po nocach, którzy za nami doszli aż do tego miejsca, też nie będą tacy głupi, żeby posunąć się aż tak daleko. Też będą udawać, że tam dalej, to dopiero będzie!

Nie wiem, czy tak zwana CZYSTA FORMA jest przykładem wyniku teorii liczb drugich i trzecich. Raczej jednak nie wątpię, że pojęcie formy powstało na skutek chęci podyskutowania sobie o czym, dlaczego coś nudne lub ciekawe. Potrzebne było trudne słówko, które ów proces rozkładu na czynniki pierwsze lub drugie sformalizuje. Słówko, które może pomóc lub zaszkodzić, wyjaśnić lub zaciemnić, ale którego, dyskutując, przyjemnie używać. Trudno powiedzieć, czy jadalne czy toksyczne, czy politycznie poprawne czy nie. W każdym razie, owej czystej formy szuka się w całej sztuce. Zauważmy, że jest ona czymś niepokojąco bliskim nie-bytowi. Niejako z definicji wypatroszone i oczyszczone dokumentnie z wszelkiej treści, staje się dziwnym trafem celem wypraw krzyżowych artystów. Co to może być, nie bardzo wiadomo, wszelako jest ono realizacją pewnej idei, oderwania sztuki od utylitarnej funkcji informowania. I takie inne pitu, pitu, jak kto chce, to może sobie po sieci poszukać.

Odrywanie formy od treści czy uszlachetnianie formy poprzez oczyszczanie jej z treści było pomysłem z początków wieku ubiegłego, na uprawianie sztuki bardzo elitarnej i bardzo wysokiej. Jak wysokie C podczas wycia do księżyca. Cóż do tego może mieć sztuka popularna, z definicji rozrywkowa i zupełnie przeciwna elitarności? Ba, buntująca się przeciw owej elitarności! Jakże mogło dojść do takich związków, przecież to niemożliwe, chyba że na zasadzie dość (dostatecznie) doskonałego przeciwieństwa?

Nie! Dość niespodziewanie literaturze zwanej już to fantasy, już science fiction, udało oderwać o wiele skuteczniej niż liderom głównego nurtu, czy jak ich tam zwał. Sztuka komercjalna okazała się o wiele podatniejsza na zaimplementowanie sztuki samej dla siebie, niż tak przez wysokie C do księżyca. Jak? Ano, zauważmy, że skoro w hard SF rzecz dzieje się w przyszłości, to nikt nie ma pojęcia, jak owe przyszłość może wyglądać. Jest jednym z miliona możliwych realizacji rzeczywistości. A więc istnieje mniej więcej w jednej tysięcznej promila. Tak trochę, jak liczby trzecie. Jeszcze bardziej nie ma światów fantasy. Nie ma strzyg, wampirów, nie ma problemów psychologicznych i moralnych bycia wampirem. Ale, tak samo, jak o liczbach trzecich, da się o wampirach sporo powiedzieć. I tak, jak w przypadku liczb nazywanych jako większe niż pierwsze, trzeba się trochę przynajmniej wsłuchać w to, co o nich mówią, żeby zauważyć, że sensu to nie ma.

Bynajmniej nie sztuka sama dla siebie była przyczyną powstania SF, a swego rodzaju humanistyczny niepokój inżynierów. Ale wytwór tej motywacji okazał się o wiele bardziej wyrazistą formą jak treścią. Dokładniej, owszem światy Aldusa Huxley'a są przestrogą, lecz dla wąskiego kręgu publiczności. Dla szerokiego, to wyjątkowo dobrze przygotowana scena, FORMA pod szereg innych temu podobnych historii. Podobnie Tolkien jest wykładem także pewnych poglądów na zło, na sens związków człowieka ze społeczeństwem, ale któż, czytając, zwraca na to uwagę?! Tolkien okazał się znakomitą, diabelnie dobrze pasującą diabelnie wielu pismakom formą, w którą udało się wlać ich rojenia. Tolkien do tego stopnia zatkał wyobraźnię wielu tak zwanym tfurcom, że do dnia dzisiejszego bez krasnoludów zwalistych jak szafy żyć nie potrafią, mniej może już tęsknią za elfami, ale czary być muszą.

Osobliwą rolę właśnie pełni magia. Kiedyś, naiwny, sądziłem, że chodzi tu o ubarwienie historii. Nie. Świat magiczny to taki, w którym zawsze istnieje wentyl bezpieczeństwa. Jak autorowi coś nie wychodzi, jak mu nie staje wyobraźni, to zawsze możliwa jest magiczna wolta, rzucenie czaru, teleportowanie się z niebezpiecznego obszaru w suche i bezpieczne miejsce, w jakim bohatera producent zaleca przechowywać.

O ile podobne zastosowanie nauki w SF typu hard dawało już jakieś rezultaty, to magia okazała się o wiele bardziej skuteczna. Rezultaty są takie, że opowiadana historia przestała nie tylko mieć związek z realiami naszego świata. To pół biedy. Ona zaczęła łamać normalne zasady logiki. Pal diabli, że zasady fizyki, bo w świecie magicznym z założenia gdzieś te zasady daje się oszukiwać.

Wszelako zrobiono krok naprzód. Złamano wewnętrzną logikę utworu. Standardem horrorów jest to, że ktoś, kto znalazł się w suchym i bezpiecznym miejscu, zostanie nagle polany mokrą i zimną wodą. Po kij? Żeby ożywić akcję. Oczywiście czytelnik, widz, ma prawo czuć się zrobiony w jajo, olany przez autora, który, zaplątawszy się w sidła fabuły, którą sam wymyślił, robi cuda, żeby ratować własną du... czyli twarz autora, któren obiecał nas zabawić, a nudno, jak cholera się zrobiło.

Rzecz wszelako w tym, że i to da się zdzierżyć. W końcu znawca horrorów dojdzie i do tej wiedzy, że gdy się znajdzie w suchym i bezpiecznym miejscu, na wszelki wypadek będzie parasol otwierał, albowiem czas na zimny prysznic. Zostały, co prawda, złamane zasady wewnętrznej logiki, ale ciągle działają jeszcze zasady kompozycji, a te mówią, że jak jest sucho i bezpiecznie, to nudno. Tak więc nawet wówczas mamy do czynienia jeszcze z jakąś zasadą budowy utworu. Jest o niczym, niczego nie dotyczy, niczego nas nie uczy, dzieje się nigdzie i nigdy, lecz przynajmniej chce nas bawić. Trzyma się zasad jakiejś estetyki.

Dlaczego jednak ma? Konieczność przestrzegania czegokolwiek jest zawsze kłopotliwa dla kogokolwiek. Lepiej mieć tak zwaną całkowitą swobodę, nie? Oczywiście, że utwór, złożony z całkowicie dowolnie ułożonych liter, jest nieczytelny. Lecz cóż z wyzwalaniem się od terroru zasad? Możemy się pozbyć przynajmniej części zasad kompozycji, tych najbardziej kłopotliwych do realizacji. Jakich? Takich, które działają na całym utworze, które każą pisać kolejne sceny nie w dowolny sposób, ale pasujący do zamysłu całego utworu. Takich, które powodują, że czasami coś trzeba w diabły do kosza wywalić, choć na początku się zdawało, że takie piękne. Ostatecznie, fakt, że coś, co się pisze teraz, zależy od tego, co zostało napisane dwadzieścia stron wcześniej, ba! trzy akapity wyżej, krępuje tfurcę. A ów najbardziej potrzebuje tak zwanej swobody. Wolności tworzenia, albowiem jest artystą.

Jak wygląda efekt? W stosunkowo łagodniejszej formie mamy opowiadania, które się zaczynają, ale nie kończą. Także łagodną formą są „brazylije" czyli teksty w formie serialu, pochodzącego z tego wspaniałego kraju. To znaczy dwa sąsiednie akapity mają ze sobą związek. Dwa akapity, przedzielone trzecim, już nie bardzo. Te wszakże ani się nie kończą, ani nie zaczynają.

Ale ostatnio, to znaczy w okresie jakiś dwu lat, zaczyna się plenić styl, w którym mamy bezwładne połączenie czasami dobrze napisanych scenek, ale takich, które już zaczynają wzajemnie tracić ze sobą kontakt. Nie chodzi mi tu nawet o umiejętność posługiwania się językiem, ale o to, że piszący nie zdobył elementarnej umiejętności opowiadania po kolei. Nie o to nawet, żeby na przykład umieć coś nudnego pominąć. Co nieważne opuścić, ważne podkreślić, coś zostawić domysłowi. Nie, to baaardzo wysoka szkoła jazdy. Nad nią jest jeszcze poziom, wymagany za moich czasów w szkole, żeby absolwenta za muła nie brali: gramatyczne wypowiadanie się. Tego nigdy do końca nie opanowałem, ale że znamienici dziennikarze nie potrafią... No cóż, polska język, trudna język, z popieprzonym wołaczem, którego nikt nie potrafi, kłopotami przez „tę" lub „tą" narodową sprawę, z nadmiernym skomplikowaniem systemu końcówek. Nie, ja godzę się,, że w książce nie będzie gramatycznie, że nie musi być składnie, ale ja chciałbym, żeby było co najmniej na poziomie opowieści o filmie „momenty były?" – No masz..." Na takim, że najpierw ona jego, potem on z tą drugą, więc ta pierwsza to... Jak wrócimy do tego poziomu komplikacji, będzie dobrze.

Nie piję do konkretnych osób. Niestety, mamy do czynienia ze zjawiskiem. Występuje ono nie w jednym, ale w wielu tekstach, dotyka różnych autorów w różnym stopniu, bywa, że sam się łapię na takich ciągotach. Przemknęły takie perełki w klinicznej czystej postaci, po naszej „zakużonej". Śmiem twierdzić, że skoro tak zwany debiutant wypuszcza coś takiego, to wziął mu się z czegoś wzorzec, a przynajmniej przekonanie, że to jest dopuszczalne.

Mam nawet pewność, wynikającą z dyskusji z pewnym autorem. Tenże zwrócił mi uwagę, na kulturowe zmiany zachodzące, że na przykład piszemy blogi (Który to pisze! Hę?). Blogi są przykładem miazgi fabularnej, pojęciowej i słownej. Skoro inni tak piszą, to znaczy, że tak należy. A miazgę na przykład Masłowska uprawia, i wszyscy się zachwycają.

Przykład idzie z góry. Oczywiście telewizyjny *reality show*. Bierzemy kilku z grubsza dowolnych palantów i pokazujemy ich w ti wi. Palanty nie mają nic do powiedzenia, do pokazania najwyżej własną du... ale okazuje się, że możemy to sprzedać.

Efekt jest taki, że młody człowiek dochodzi do wniosku, że byleby cokolwiek napisał, byleby wysłał, nie zapominając opa-

trzyć własną hm... godnością. I młody człowiek bardzo się złości, gdy mu napisać prostą prawdę: że się opierniczał, że odwalił fuszerkę, że problem nie posiadaniu, bądź braku talentu. Pierwszym krokiem do sukcesu jest użycie tego, co się w łepetynie posiada. Jak się nie użyje, to nigdy się nie przekonany, czy tam coś jest, nie mówiąc o tym, czy to siano, czy rozum, czy ów właśnie klucz do panteonu, czyli talent.

I cóż ja mogę zrobić na to wszystko? Zaapelować, żeby autorzy produkowali coś, co ma wstęp, rozwinięcie i zakończenie? Autorzy mi odpowiedzą, że taka robota im się NIE OPŁACA. Z banalnej przyczyny, skoro idzie, co idzie, to po co lepszy towar? Powiedzą mi jeszcze, że komputer daje to, że skoro już się coś wklepało, skoro istnieje sieć i możemy puścić w sieć i to jeszcze za darmo, to szkoda nie puszczać. Bo może autor ZAISTNIEJE? A dlaczego by nie? Skoro mamy idoli o buraczkowych fryzurach, o chamstwie wsiowej dziwki, skoro do publiki może się przebić KTOKOLWIEK, to dlaczego autor nie miałby się przebijać, zwłaszcza za pomocą czegokolwiek?

Mamy takie zjawisko, że masowa kultura cudownym sposobem od Przybyszewskiego i spóły (kto szefem w tej szajce, to ja nie wiem, niech się wypowiedzą humaniści) zassała pomysł: zróbmy tak, żeby trudno było się połapać, co jest, a co nie jest sztuką, zróbmy zamiast ładnego brzydkie. Zróbmy na odwrót, zamieszajmy, przewróćmy do góry nogami, zabełtajmy wodę. Sęk w tym, że Przybyszewski jednak artychą był, i jemu o coś chodziło, ale sam pomysł okazał się diabelnie handlowy. Masowy odbiorca, gardzący czasami jawnie ludźmi, czytającymi jakiegoś Joyce'a, łyka jak kluski z masłem na oko taką samą, tyle że kompletnie bezsensowną papkę podaną mu w MTV, czy w czasopismach „Dobra gospodyni i wyśmienita cichodajka".

Szanowny autor patrzy na to wszystko i mówi sobie: no, ja też tak potrafię. Naprawdę nic trudnego, trzeba tylko nauczyć się w te guziczki z literkami trafiać, bo zauważyłem, że jak się guziczek naciśnie, to literka na ekranie wyskakuje. No, tyle trzeba mniej więcej umieć. I na start, ktoś wygrać musi, małe szanse, że ja, ale szanse mam znacznie większe niż w totku, no to zacznę trenować trafianie w literki. I zostanę może IDOLEM?

I cóż na to mogę? Co ja, mrówka, przeciw lokomotywie historii? Mogę ci, Autorze, zadedykować tylko tę reakcję mieszkańców mojego osiedla, którzy na widok przedstawicieli Tuby Masowego Rażenia dyskretnie, ale stanowczo spierniczali na bliższe ścieżki. Z jakichś powodów chcieli chronić swą prywatność, swe twarze, z jakichś powodów nie mieli ochoty na kontakt z sępami z kamerą.

Dziękuję serdecznie doktorowi Bogdanowi Barwińskiemu, za wymyślenie liczb drugich i trzecich.

Tomasz Zieliński

List do mojego dziecka

Moje drogie dziecko,

Gdy piszę te słowa, nie ma Cię jeszcze na świecie, więc nie mogę napisać "synu" ani "córko". Spojrzawszy na datę publikacji, policzysz sobie łatwo, ile mam obecnie lat. Jestem trochę ciekaw, jak wygląda świat, gdy to czytasz. Tu niedawno fala tsunami zabiła przeszło dwieście tysięcy ludzi na wyspach Pacyfiku i wybrzeżach Azji, międzynarodowe siły zbrojne ugrzęzły w Iraku po obaleniu krwawego dyktatora, Korea Północna szantażuje sąsiadów bronią jądrową a Fidel Castro zakazał swoim obywatelom posiadania dolarów.

Ale do rzeczy.

Wczoraj rozmyślałem sobie o tym, co wiem o młodości swoich rodziców, a co Ty będziesz wiedział(a) o młodości swoich. Wnioski są niepokojące. No więc ja wiem mało – bo oprócz ogólnej wiedzy o latach ’60-’70, wyniesionej z filmu czy literatury, jedynym źródłem są opowieści. Mama i Tato opowiadali różne historie z przeszłości, no ale po pierwsze, wspomnienia zazwyczaj utrwalają się piękniejsze niż były w rzeczywistości, a po drugie, opowiadali tylko to, co chcieli opowiadać. Kilka zabawnych historyjek na ich temat usłyszałem od wujków i cioć oraz od mojej babci. I tyle. Do tego trochę zdjęć, te starsze zrobione jeszcze w atelier miasteczkowego fotografa.

Jeśli chodzi o mnie, to od dziesięciu lat korzystam z Internetu, wcześniej byłem członkiem amatorskiej sieci komputerowej Fidonet. Z przyjaciółmi od lat wymieniamy się mailami na naszej prywatnej liście dyskusyjnej. Z setek albo i tysięcy wysłanych przeze mnie w świat maili będziesz mógł (albo mogła) odtworzyć nie tylko moje poglądy, charakter czy zainteresowania, ale dość precyzyjnie ustalić, gdzie i kiedy wyjeżdżałem, co robiłem, jakiej słuchałem muzyki i które filmy lubiłem najbardziej.

Zdjęć też będziesz mógł (mogła) obejrzeć więcej, choć fotografia cyfrowa trafiła pod strzechy dopiero w XXI. wieku. Mam tu taką małą satysfakcję, że o ile z mojego dzieciństwa znajdziesz w babcinej szufladzie parę setek zdjęć, o tyle Twoje niemowlęce i dziecięce fotografie będą liczone w setkach miesięcznie.

Dlaczego satysfakcję? Ano dlatego, że takie zostawianie śladów w historii może mieć dla mnie dość niewygodne konsekwencje. Gdy piszę te słowa, firma Google utrzymuje najpopularniejszą na świecie wyszukiwarkę internetową, katalogującą lwią część zasobów sieciowych. Niedawno dowiedziałem się, że wszystkie indeksowane informacje są dodatkowo archiwizowane, nie wiadomo po co. Może po to, by kiedyś dało się wyszukiwać zasoby sieciowe z określonego przedziału czasowego. Takie archiwum będzie bardzo cenne i mam pewność, że dotrwa do Twoich czasów. I że będziesz mógł (mogła) sobie w nim pogrzebać, inwigilując przeszłość swojego rodziciela.

Zapewne któregoś dnia naruszysz jakieś domowe zasady, np. z wyjazdu lub imprezy wrócisz nazbyt późno lub w stanie wskazującym na zażycie albo spożycie. I gdy zacznę rozmowę dyscyplinującą, wysłuchasz mnie uprzejmie, a potem, sięgnąwszy po kajecik, odpowiesz: "drogi ojcze, uznaję swoją winę, aczkolwiek podważam twoją moralną legitymację do napominania mnie; wspomnijmy chociażby przemyt alkoholu przez granicę państwową we wrześniu1999 czy nadużycie go w maju 2000".

Ponoć już na babilońskich czy sumeryjskich tabliczkach glinianych wyryto znaną mądrość, że nigdy jeszcze w historii świat nie upadł tak nisko a młodzież nie była tak niewychowana. Moje drogie dziecko, nie raz i nie dwa słyszałem, jak to kiedyś szanowało się starszych a teraz młodzi nie mają żadnego respektu, niebo było w owych czasach bardziej niebieskie a trawa bardziej zielona. Ty też usłyszysz. Aczkolwiek pouczając cię, na tym poziomie abstrakcji będę się musiał zatrzymać, bo stwierdzenie "gdy ja byłem w twoim wieku" może zaowocować morderczą kontrą, spychającą mnie do głębokiej defensywy. I to mi się nie podoba.

Kiedyś pamiętniki i zbiory korespondencji opatrywano hasłem "otworzyć pięćdziesiąt lat po mojej śmierci". W dzisiejszych czasach wstążeczką trzeba będzie przewiązać płyty z backupami.

Ściskam Cię i pozdrawiam, moje dziecko, powierzając ten list Internetowi. Daj znać, gdy do Ciebie dotrze.

Do zobaczenia!

Twój przyszły ojciec

Wrocław, styczeń 2005

Adam Cebula

Zły wyłazi z komputera

Zawsze to powtarzam: nie da się zrozumieć współczesnego świata bez zrozumienia techniki czy technologii. Gdy ktoś narzeka na zanik twardej fantastyki naukowej, to jest ślepy: otacza nas sama hard SF.

Ostatnia historia, hit informacyjny od lat kilku co najmniej, wyciek tak zwanej listy IPN, którą najwyraźniej bez najmniejszych trudności wyssał z kartotek wielce szanownej instytucji pewien dziennikarz, którego nazwiska nie wymienię ze względu na podbijanie mu osobistego parametru, zwanego świadomością marki, jest historią naprawdę do głębi techniczną. Co więcej, komputerową, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Z jednych ludzie zaczynają sobie powoli już zdawać sprawę, o innych się dopiero przekonają.

Tak czy owak, wydobycie i rozpowszechnienie listy kilkuset tysięcy nazwisk, pięknie alfabetycznie ułożonych, jest możliwe dzięki technice informatycznej. Jakieś dziesięć lat wcześniej, sprawa byłaby do zatrzymania, możliwe było na przykład sądowe zakazanie rozpowszechniania, bo musiałaby to zrobić jakaś gazeta, musiałoby to przejść przez drukarnie. Dziś wystarczyło kilka godzin i po herbacie.

W całej rozciągłości komputerowe konsekwencje poniosą wszyscy, którzy niczym kania dżdżu na tę listę oczekiwali. Chcieliście listy? No to ją macie (skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie). Jak najbardziej ułożone w równiutkim porządeczku, ale groch z kapustą. Jak byliście durni przed, tak zostaliście po. Raz: frajer, kto wierzy, że cokolwiek w peerelu normalnie chodziło i jakiejkolwiek dokumentacji można wierzyć. Byliśmy jak najbardziej dziesiątą potęgą gospodarczą świata, 530 kg stali i kopiec ziemniaków na głowę. Także w liczbie agentów statystyka musiała grać, jak w wyborach w których brało udział 99,9 procenta. Nie szkodzi, że każdy, kto miał choćby maturę, a za czasów komunistycznych posiadanie matury obejmowało nie tylko rozumienie i liczenie procentów, ale i rachunek prawdopodobieństwa, uważał, że to nie możliwe. Integralną częścią socjalizmu, jak zresztą każdej zbiurokratyzowanej instytucji była *licentia poetica*. Generalnie system dla ludzi z wyobraźnią, poczuciem wyrafinowanego absurdu, dystansu do świata i umiłowania wysokiej sztuki, która podówczas była jedyną dostępną rozrywką.

Niestety, życie tylko i wyłącznie w teatralnej, czy jak kto woli, wirtualnej przestrzeni nie jest dobre. A właśnie owo słówko „wirtualność". Z jakichś bliżej nieznanych mi powodów jest diabelskie. Diabelskie były słówka niemieckie, diabelskie sztuczki w cyrku, diabelskie, co niezrozumiałe, więc oczywiście sieć komputerowa jak najbardziej diabelską się okazać musiała. Czytałem o tym przez ramię w pociągu jadącym z kieleckiego do Częstochowy. A ramię należało oczywiście do pobożnej starszej pani.

Tak sobie myślę, że w tym kieleckiem i częstochowskiem, to one się źle w teatralnej rzeczywistości czuły. Im *socyjalizm*, czy realny socjalizm bardzo dolegał. Chcieli sobie chałupy pobudować, świecącymi kafelkami powykładać. A kafelki były z gruntu burżuazyjne, zrealizować nijak się nie można było, chyba że sobie kto potłuczone talerze w tynk powkładał. Niestety, tych talerzy też w końcu zabrakło. Wcale nie chodziło o to, by cokolwiek obalać, w coś godzić, ani o żadną przyszłość narodu, a już w szczególności o przebrzydły zgniły i burżuazyjny liberalizm, choćby tylko gospodarczy. Nie chodziło o schabowego bez wielkiej kolejki i świecące kafelki.

Tego w żaden sposób w peerelu wygenerować nie można było. Bo tam generalnie generowano papiery. Jedni produkowali przemówienia i optymistyczne statystyki, drudzy zajmowali się poszerzaniem granic wewnętrznej wolności, a nawet udawali się tamże na emigrację. Mając odpowiednie zasoby pamięci operacyjnej w biologicznym komputerze, można było sobie podówczas nieźle pohulać. To hulanie po stanie wojennym przyjęło postać konspiry. O co chodziło, myślałem, że o obalanie, ale moje podejrzenia, że o coś innego ostatnio bardzo się pogłębiły. To był rodzaj zespołowej gry komputerowej. Oni udają, że nas łapią, my udajemy, że się ukrywamy, a w ogóle to my im pokazujemy, że mamy ich w dupie, a oni mają się tym przejmować. My inteligencja, a oni, czyli partia rząd i władza.

Rzecz bowiem w tym, że w wirtualnej rzeczywistości słowo pisane, generowane przez tak zwaną inteligencję, miało moc zaklęcia i bardzo należało dbać o to, by czasem na władzę kto klątwy nie rzucił. Komunistyczne władze dziwnie się przejmowały tym, co mówili pisarze, uczeni, tak zwani humaniści.

W grze komputerowej należało się wykazać odpowiednią postawą. Najlepiej w ten sposób, że się było represjonowanym. W tym celu można było założyć drukarnię i wpaść z nią. Jak się nie wpadło, to najwyżej wydrukowało się Poppera, którego i tak nikt nie czytał.

Niestety, teatralny świat, jak każde przedstawienie, musiał się skończyć i wróciliśmy ze świata przedstawionego do rzeczywistości. W tejże wygrana komputerowa niewiele się liczy i jeśli już, to nie koniecznie na plus. Czasami lepiej przerżnąć.

W rzeczywistości zmieniają się reguły i na przykład głos pisarza można mieć w... poważaniu i to głęboko. Rzeczywistość od wirtualności jest o wiele bardziej skomplikowana. W szczególności, pewne tak zwane wartości są tu warte mało, wcale, albo wręcz tracą swój sens, zamieniając się cząstki wielu inny stworów czy potworków. Rzeczywistość o wiele bardziej wymaga owego schabowego i kafelków w tynku. Oczywiście jest kiczowata, co gorzej, tępi bezlitośnie poetyckie oderwanie od rzeczywistości. Tak sobie myślę, że wielu doskwiera o wiele bardziej niż peerelowska wirtualność.

Dlatego tęsknimy, może nie do kolejek, ale do elementów peerelu. Choćby do tej gry w milicjantów i bohaterów. Tęsknimy sobie do tego, żeby tamte wirtualne wygrane pozamieniać na rzeczywiste. Chcemy wleźć na powrót do pamięci operacyjnej tamtego Matrixa. Dlatego ludziska tak grzebią zajadle w Sieci za ową Listą. W nadziei, że ona jeszcze coś znaczy.

Miałem okazję w tiwi oglądać program o tym. Jeden starszy pan szuka po teczkach agenta. W końcu, przed kamerami telewizji dowiadujemy się, że IPN może ustalić ponad wszelką wątpliwość. Tia... No, ale powiedzmy, że może. Pan dowiaduje się, kto sypał, i postanawia efektownie z udziałem kamer tiwi ujawnić czarnego barana. Widzimy grono starszego państwa, kojarzy się to z pewnym fragmentem cyklu w *Poszukiwaniu straconego czasu*... No cóż, minęła nam ćwiara od bohaterskich wyczynów, ale co tam, otwieramy teczkę. Chwila grozy i widzimy łapanie się za głowę, jęki już zachwytu, już wydane z poczucia wspólnoty i z dobrego wychowania. No i... nic. Koniec. Piorun nie trzasnął w zdrajcę, ziemia go nie pochłonęła. Nic, kurna, nic!

Niestety zdrajca, takoż pan starszawy, najwyraźniej wypisał się z gry komputerowej. Wróciliśmy do realu, a on ma w realu zawód, rodzinę, szmal. Miałby jeszcze nazwisko, gdyby zadbał o świadomość swej marki i wziął udział w programie. Nie był jednak tak perfidny albo sprytny, jak na przykład Jerzy Urban, i nie uznał za stosowne przerobić bezpłatnej reklamy na szmal. Pewnie ze współczucia dla reszty towarzystwa, które i tak nieźle wydutkał. A może, zwyczajnie z łysiną głupio się w tej piaskownicy poczuł, nie uważacie?

Tak wygląda najbardziej optymistyczna telewizyjna wersja. W realu pozostaniemy z tysiącem wątpliwości. Dowiemy się na przykład, że IPN uważa to, że takie ma argumenty, a my zostaniemy ze swoimi.

Zostaniemy z komputerowym potopem informacji. Zostaniemy z komputerową dezinformacją, z łatwością jej fabrykowania.

Kiedy ruszyły akademickie centra obliczeniowe, jajogłowi zaczęli wypuszczać w świat przeróżne dziwne produkty wirtualnego świata. Ludziska dowiadywali się nagle o grożących im potopach, trzęsieniach ziemi, suszach i klęskach, spowodowanych metanowym pierdzeniem owiec. Dość szybko ktoś ukuł akronim SOS – SOE . Ma on eleganckie akademickie, polskie tłumaczenie, ale mówi wyraźnie, skąd owe sensacje „shit on the start – shit on the end" . Tak to z użyciem komputera, niezależnie od tego, czy wydobywamy z niego prognozę tyczącą dziury ozonowej, czy listę domniemanych agentów.

Jakoś mi się tak przypomina nieznośnie jedna elektrobajka według niejakiego Stanisława Lema. O takim zbóju, co pożądał informacji. Nasze dzielne niewątpliwie, świadome i patriotyczne społeczeństwo ma właśnie głód informacji. Wszelako, chodzi o informację prostą jak budowa cepa. Na przykład, sobotnim popołudniem człowiek chciałby komuś w mordę dać. Taka potrzeba się rodzi, gdy sobie uświadomić, że po niedzieli, jak najbardziej poniedziałek, że trza będzie zapier... kolejny tydzień. Więc dałoby się komuś po ryju, ale chętnie bez poczucia winy. To znaczy żeby skuć oblicze i żeby sprawiedliwość uczynić... Więc społeczność potrzebuje informacji prostej: komu?! Tymże od owego zbója się zdecydowanie różni, że nie chce informacji samej w sobie, samej dla siebie, ale tak bardziej utylitarnie.

Nieszczęście polega na tym, że czasami marzenia się realizują w nadmiarze. Tak się dzieje właśnie z komputerami. Przekraczają nasze zapotrzebowania sto, czasami tysiąc razy. Potrzebowaliśmy kilku, góra kilkudziesięciu agentów, dostaliśmy hurtem cały transport. Trochę za wiele, bo mordę mogą zbić nam, nie koniecznie my im. Trochę za wiele, żeby nadać im nadać status raroga, raczej normalne się robi, że ktoś donosił, tak jak , że pił, czy lał małżonkę. Na dodatek technikalia: lista w czystym html-u, byle głupek może dopisywać, skreślać, wersji jest już ileś.

Cała ta historia jest głęboko fantastyczna i literacka. Teczki bowiem zaspokajają potrzebę sensacji, dodajmy, sensacji prostej. Ta ostatnia polega ona na tym, że w trakcie serialu dowiadujemy się, że na przykład Olbrychski jest Murzynem, pod Grunwaldem walczyliśmy z Tatarami, Sobieski był tureckim agentem i Wiedeń tylko tak dla pucu był wiktorią. Zaspokaja się tym sposobem nasza potrzeba świata alternatywnego. Na przykład cała dotychczasowa historia o kant stołu, bo piramidy kosmici zbudowali. Mieliśmy w fantastyce coś takiego. Mieliśmy *political fiction*, które powieść w powieść o tym, że Oni rządzą, wszędzie są agenci tajnych policji dwupłciowych, zwisają z żyrandoli. Kochamy się w sensacjach w światowych spiskach, w tajnych agentach, tajemnicach wywiadach.

Niezmiernie nam pasują wszelkiego rodzaju techniczne nowinki. A najbardziej to już chyba komputer i sieć, bez której żyć wręcz się nie daje. My także mamy potrzebę, bardzo silną świata alternatywnego, wymyślonego, całkowicie odmiennego od tego nudnego, w którym żyjemy. Różnica polega na tym, że „my" zaspokajamy swe potrzeby za pomocą komputera, grając w gry, wyszukując w sieci , zaś „oni" usiłują za jego pomocą wywoływać diabła. I Zły faktycznie wyskakuje z ekranu, po czym kreśli kółka na czole i znika. Tylko tyle, żadnego dalszego ciągu, bo to bardzo kiepsko wymyślony świat.

Magdalena Kałużyńska

Zaprawa redakcyjna

Czyli dążenie w celu wygarnięcia meritum

Średniowiecze. Rycerz w lśniącej zbroi wracał z wyprawy. Szedł drogą już jakiś czas, aż było mu dane dojść do rozwidlenia dróg. Nagle przed nim pojawiła się ni mniej, ni więcej tylko wiedźma. I zanim rycerz zdążył zareagować, ona powiada te słowa: słuchaj uważnie, co rzeknę. Dokonać wyboru powinieneś. W którą iść stronę. Spodobałeś mi się, więc rady udzielę. Masz trzy możliwości. Skręcisz w prawo, to nic ci się nie stanie. Dojdziesz do domu cały i zdrowy. Jeżeli wybierzesz drogę prosto, spotkasz pięć tysięcy zbrojnych. Rady nie dasz i niechybnie zginiesz. A jak skręcisz w lewo, to cię pojebie. Po tych słowach wiedźma znikła. Rycerz zadumał się chwilę. Najlepiej iść w prawo, myślał, nic mi się nie stanie. Jednakowoż zasady mam i nigdy nie wybieram najłatwiejszej drogi. Prosto również nie pójdę, bo życie mi nadal miłe. Sam jestem i strudzon. W perzynę roznieść pięć tysięcy mężów zbrojnych nijak nie podołam. W takim razie pójdę w lewo.

Jak pomyślał, tak uczynił. Skręcił w lewo. Długo szedł przez las, aż w końcu wyszedł na otwartą przestrzeń. A tam było również jezioro. A na brzegu siedział pięciogłowy smok i najzwyczajniej w świecie pił wodę. Rycerz, niewiele myśląc, sięgnął po miecz, dopadł smoka i obciął mu wszystkie cztery głowy. Już chciał podbiec do piątego łba i również obciąć, kiedy smok odwrócił ocalałą głowę, strzyknął strumieniem wody spomiędzy zębów i rzekł do zdziwionego rycerza te słowa: Ciebie to chyba, kurwa, pojebało.

I tyle. Przytoczyłam dowcip specjalnie. Celem dogłębnej analizy. Można oczywiście polemizować, czy jest sens rozkładania beznadziejnych anegdot na czynniki pierwsze. Można polemizować, ale nie trzeba. A jak nie trzeba, to nie będę rozkładała. Celowo również przytoczyłam znany dowcip, a nie fragment jakiegoś opowiadania. Chciałam zachować coś w stylu bezstronności. Zobrazować jedynie, co można zrobić z tekstem celem jego uszlachetnienia.

Zaczynam.

Rycerz w lśniącej zbroi wracał z wyprawy. Szedł drogą już jakiś czas, aż było mu dane dojść do rozwidlenia dróg. Dobre zdanie. Wspaniałe, tylko bez sensu. Skoro to był rycerz i do tego błyszczący, to najprawdopodobniej wcale nie biedny. Czyli jechał na koniu. Musiał jechać na koniu, ponieważ stąpanie po lesie w metalowym odzieniu może nastręczać pewnych problemów motorycznych. O wysiłku fizycznym nie wspomnę. I nie powiedziane jest, w jakiej zbroi ów rycerz był. Najprawdopodobniej w pełnej płytowej. Jeżeli zakładamy, że ów żołnierz wracał z wyprawy, powinniśmy również założyć, że nie błyszczał. To znaczy: zbroja doznała uszczerbku w bojach. Musiał toczyć jakieś boje. Z braku okazji do walki rycerze nie odziewali się w metal. Skoro toczył boje, to na pewno był: brudny, zardzewiały, poobijany. Zdanie z początku tekstu do poprawki. Następnie: *Nagle przed nim pojawiła się ni mniej, ni więcej tylko wiedźma.* Ciekawy pomysł, ale cytat do przerobienia. W jaki sposób się ta wiedźma pojawiła. Zawisła w powietrzu, usiadła na gałęzi pobliskiego drzewa, wyszła z krzaków. I skąd wiadomo, że to była akurat wiedźma? Nie ma opisu wskazującego na przynależność kobiety do określonej grupy zorganizowanej. Dopisać określenia: potargana, w łachmanach, wspierająca się na sękatym kiju, kostropata, stara/młoda/nieokreślona wiekowo. *Zanim rycerz zdążył zareagować...* O, to bardzo ładne. Wiedźma przemówiła, zanim rycerz dobył kuszy i przedziurawił ją na tak zwany wylot. Zgodnie z panującą w średniowieczu opinią dotyczącą wiedźm, powinien przedziurawić. Odruch wpojony bezwarunkowy. Rycerz to przedstawiciel klasy szlacheckiej, a kobieta-wiedźma nie. Różnica, wręcz przepaść społeczna nie umożliwiała swobodnych kontaktów między przedstawicielami skrajnych można powiedzieć kast. I skoro wiedźma się pojawiła przed rycerzem, to automatycznie ryzykowała życie. *Spodobałeś mi się, więc rady udzielę.* Dlaczego on jej się spodobał? Niejasne. Nie powinien się spodobać, skoro z zasady niezgodności światopoglądowej tępił takie kobiety jak ona. Tępił, to znaczy: najpierw torturował, a następnie zabijał. Motyw płonących stosów nie należy do popularnych w okresie średniowiecza. Wymyślne tortury, próba ognia, wody i kamienia, owszem. No chyba, żeby przesunąć rycerza w czasy Świętej Inkwizycji. Najlepiej hiszpańskiej. O, to by dodało tekstowi pożądanego napięcia.

Rycerz zadumał się chwilę. Najlepiej iść w prawo, myślał, nic mi się nie stanie. Jednakowoż zasady mam i nigdy nie wybieram najłatwiejszej drogi. Prosto również nie pójdę, bo życie mi nadal miłe. Sam jestem i strudzon. W perzynę roznieść pięć tysięcy mężów zbrojnych nijak nie podołam. W takim razie pójdę w lewo.

Ciekawie ujęty proces myślowy bohatera. Tylko mało przekonujący. Skoro to był rycerz wracający z wyprawy (pomijam teraz kwestię braku konia jako środka lokomocji), to najprawdopodobniej był zmęczony. Tekst podaje określenie „strudzon". Nie wyjaśnia jednak dlaczego ów człowiek nie wybrał najłatwiejszej drogi. Jakie zasady ma rycerz? Nie chce wrócić do domu, do swojej kobiety? Nie chce zrzucić zbroi i nie chce zanurzyć strudzonego ciała ziołowo-jakiejś-tam kąpieli? Nie chce zjeść pieczystego, popić winem i po kolacji nie chce zalec w swoje rycerskie pielesze? Dziwne, bardzo dziwne, a co za tym idzie mało logiczne. Nie wiem, może twórca dowcipu chciał być oryginalny. Może przyświecała mu jakaś nieokreślona idea. Fragment ciekawy i daje dużo możliwości literackich. Do poprawienia.

Jak pomyślał, tak uczynił. Skręcił w lewo. Długo szedł przez las, aż w końcu wyszedł na otwartą przestrzeń. Prawidłowo zrobił, że wyszedł na otwartą przestrzeń. Gdyby bez przerwy szedł przez las, tekst nie miałby oczekiwanego zwrotu akcji. Owszem, można zaryzykować rozciągnięcie pochodu rycerza, jednakże należałoby dodać więcej przemyśleń bohatera. Podkreślić wyrazistość, może nawet jakąś dłuższą retrospekcję. Niech odbiorca tekstu ma okazję określić swoje emocje związane z rycerzem.

A tam było również jezioro. Dlaczego „również". Fragment coś sugeruje, ale nie wiem co. Dwie możliwości: albo zmienić kolejność w opisie, albo wywalić powyższe zdanie.

A na brzegu siedział pięciogłowy smok i najzwyczajniej w świecie pił wodę. Jak wyżej. Jezioro można wpleść w opis pijącego wodę smoka. A tam, na brzegu leśnego jeziora siedział pięciogłowy smok. Pił wodę. Po prostu pił wodę. Nie koniecznie „najzwyczajniej w świecie". Dlaczego miał nie pić wody. Spragnione stworzenie, to pije. I popełnił błąd oczywisty. Niczego się nie spodziewał (czytaj: żadnego niebezpieczeństwa od strony lasu), dlatego pozwalał sobie na swobodne zanurzenie wszystkich pysków. Oczywiście nie powinien tego robić. Zwierzę zawsze się czegoś spodziewa. Pomijam kwestię ilości smoczych głów. Każdy szanujący się „dragonofil" wie, że wielogłowe smoki nigdy nie istniały. Ale to inna kwestia. Należałoby poznać behawioryzm zwierząt dzikich. Nieprawdą jest, że wodopój to obszar neutralny. Jeżeli zwierzę podchodzi do wody, to, pijąc ją, zachowuje największą ostrożność. Jeżeli pojedynczy osobnik, to pije, obserwując otoczenie. I samą wodę (z wody też może coś wyskoczyć). A jeżeli do wodopoju podchodzą stada, część osobników zaspokaja pragnienie, a część obserwuje otoczenie. Zachowanie smoka świadczy o tym, że autor nie posiada bladego pojęcia o zwie-

rzęcym instynkcie i zasadach bezpieczeństwa w stopniu najwyższym. Z tego wynika, że fragment również do zmiany.

Rycerz, niewiele myśląc, sięgnął po miecz, dopadł smoka i obciął mu wszystkie cztery głowy.

Należałoby dopisać okrzyk, jaki padł z ust człowieka z lśniącej zbroi. Skoro to rycerz, a więc szlachcic, rusza do ataku z rodowym okrzykiem. Sugeruję sięgnąć do źródeł historycznych lub do zasobów wyobraźni własnej. Okrzyk jest konieczny. Fragment do zmiany.

Już chciał podbiec do piątego łba i również obciąć, kiedy smok odwrócił ocalałą głowę, strzyknął strumieniem wody spomiędzy zębów...

Bardzo ciekawe ujęcie, niezwykle obrazowe. Jednakże mało logiczne. Z fragmentu wynika, że podczas dekapitacji smok nadal pił wodę. Co oczywiście jest niezgodne z prawdą, ponieważ musiał czuć ogromny ból. A skoro cierpiał, to na przykład w pierwszym odruchu obronnym mógłby zarzucić ogonem, celem pozbycia się intruza. Postawiłabym na dosłowność, dodała trochę krwi. Niech smok zamacha skrzydłami (jeżeli posiada), zaryczy, wzdrygnie ciałem... Cokolwiek, aby zachować wiarygodność scenki. Ładny fragment, ale zaryzykowałabym określenie, że bzdurny.

i rzekł do zdziwionego rycerza te słowa....

Dlaczego rycerz był zdziwiony? Atakował, więc był ogarnięty falą emocji związanych z działaniem adrenaliny. Odezwał się w nim instynkt, zachował się zgodnie z wpojonym systemem priorytetów. Oczywiście, takie zachowanie może wydawać się dziwne, ale trzeba wziąć pod uwagę, że akcja toczyła się w średniowieczu. Ówcześni ludzie mieli trochę inny światopogląd, obowiązywały inne wartości, odmienne kanony piękna, a Ziemia była płaska...

Ciebie to chyba, kurwa, pojebało.

Całkowicie. Dziękuję za uwagę.

Andrzej Pilipiuk

Piszemy bestsellera

Spośród wielu nagród, przyznawanych pisarzom spod znaku SF & Fantasy, najbardziej poważana jest nagroda im Janusza A. Zajdla. Przed wielu laty, gdy zostałem nominowany do niej po raz pierwszy, sądziłem w swojej naiwności, że posiada ona ciężar gatunkowy, robiący wrażenie na wydawcach. Liczyłem, że jak takową zdobędę, to mój zbiór opowiadań, pokrywający się kurzem na redakcyjnych półkach jednego z wydawnictw, trafi do produkcji nie po trzech latach ale powiedzmy w ciągu roku... Niestety, moje kalkulacje okazały się podwójnie przedwczesne. Nagrody nie zdobyłem, książki też nie wydałem... Dowiedziałem się też, że wydawcy, działający wówczas na rynku, i tak nie zwracali uwagi na takie „drobiazgi".

Sytuacja nieco się zmieniła. Za wydawanie książek zabrali się w naszym kraju fachowcy. Zdobywanie nagród zaczyna mieć przełożenie na przyszłą karierę. A w każdym razie pozwala zwrócić na siebie uwagę potencjalnego wydawcy. Dla początkującego grafomana ogromnym sukcesem będzie już sama nominacja. Jeśli ją zdobędzie, będzie miał świadomość, że jego opowiadanie zostało oto zaliczone do ścisłej czołówki, znalazło się wśród 3-7 najlepszych tekstów, jakie powstały w danym roku! Zważywszy, że co roku publikuje się ok. 250 utworów, jest to ogromne wyróżnienie. Młody człowiek, zdobywający nagrodę lub uzyskujący kilka nominacji pod rząd, dobrze rokuje na przyszłość. Zdobywa w każdym razie cenny atut w rozmowach na temat wydania pierwszej książki.

W dzisiejszym odcinku opowiemy sobie, jak to osiągnąć. Analiza tekstów nagrodzonych pozwala wyciągnąć pewne wnioski...

A zatem: opowiadania nominowane do Zajdla są przeważnie tekstami zdecydowanie odbiegającymi od sztampy. *Wiedźmin*, *Noteka 2015*, *Autobahn nach Poznań*, *A kochał ją, że aż strach* czy *Cyber Joly Dream*, *Tkacz Iluzji* były tekstami niepodobnymi do wszystkiego, co w polskiej fantastyce powstało wcześniej. Te teksty stanowiły przełom.

Można wysuwać zarzuty, że np. Sapkowski Ameryki nie odkrył a fantasy za granicą już wcześniej istniało. A i u nas przecież Grzędowicz przed „Sapkiem" etc. Oczywiście istnieć istniało, ale u nas tej literatury w zasadzie nie było. Pojawił się tekst, zrobił trochę zamętu, a po pięciu latach połowa polskich opowiadań żerowała już na tym schemacie. Podobnie można swobodnie podnieść zarzut, że cyberpunk był w naszym kraju obecny jeszcze zanim Antonina Liedke chwyciła za pióro. A jednak jej tekst, choć szła ścieżką przetartą już przez np. Jacka Dukaja, okazał się na tyle egzotyczny, że zdobył nagrodę. W tych dwu przypadkach, w ramach istniejącej konwencji, narodziło się coś, co było tej konwencji ucieleśnieniem i punktem zwrotnym. *Tkacz Iluzji* Ewy Białołęckiej był z kolei tekstem, który otworzył oczy na fantasy masie kobiet i ludzi wrażliwych, których nie satysfakcjonowało czytanie o facetach z wielkimi mieczami.

Noteka... i *Autobahn*... były podobnie zaskakujące dla czytelnika. W chwili, gdy Konrad T. Lewandowski wypuścił swój tekst, opowiadania dziejące się tu i teraz w Polsce były absolutnym curiosum, niezwykłą rzadkością, którą czasem z litości upchnięto gdzieś na łamach czasopism. Wprawdzie już wcześniej kosmonauta Roman Krab na straszliwym kacu kosmiczną śmieciarką ratował zagrożony kosmolot, ale patrzono na te teksty raczej z politowaniem. A on pokazał, że otaczająca nas szara, skrzecząca rzeczywistość też może być ciekawa. Raz przetartym szlakiem ruszyli, początkowo nieśmiało, kolejni piewcy kraju ojczystego – w tym niżej podpisany. Andrzej Ziemiański jeszcze mocniej nagiął gatunek w tym kierunku. *Bomba Heisenberga* w Fantastyce i *Autobahn nach Poznań* w Scence Fiction pokazały, że Polacy mogą wygrać z całym światem, nie tylko dzięki jednemu zapomnianemu geniuszowi, nie tylko narąbani wódą do nieprzytomności, ale i konkretną, świadomą pracą zespołową. Obaj autorzy szli w podobnym kierunku i ich opowiadania przyniosły zdecydowany przełom, który dziś możemy podziwiać w pełnej krasie. *Autobahn*... sprawił nawet więcej – ukazał się w jednym z pierwszych numerów nowego periodyku – i w pewien sposób wyznaczył epigonom profil ideowy tego pisma. Oryginalność, nowy kierunek natarcia, zaskoczenie – to najważniejsze cechy opowiadania, z którym idziemy po nominację.

Wiedźmin Geralt, Radosław Tomaszewski, Babcia Jagódka, generał Baryła i reszta tej zajdlowej ferajny, to bohaterowie krojeni wedle dość podobnego wzorca. Po pierwsze, są wyraziści. To nie byle mydłki – ale faceci (ew. kobiety), którzy nie dają sobie w kaszę dmuchać. Mają swoje cele, swoje priorytety, swoje zasady, realizowane z żelazną konsekwencją. Z drugiej strony, są podobni do nas – czytelników. Miewają chwile wahania, podejmują nie zawsze szczęśliwie wybory. Niekiedy dostają potwornego kopa jak w tekstach Marka S. Huberatha. Ale pokazują, jakimi moglibyśmy być, gdybyśmy się odważyli. I jakimi większość z nas z różnych przyczyn nigdy nie będzie. Jesteśmy w stanie się z nimi zidentyfikować, poczuć wagę ich problemów i możemy sobie wmówić, że w tej sytuacji zachowali byśmy się tak samo odważnie jak oni. Oni to my. Tyle, że odbici w nieco innym niekoniecznie lepszym zwierciadle...

Być może się mylę, ale odniosłem wrażenie, że wszystkie opowiadania, które zdobyły nominacje lub nagrody, są całkiem niezłe od strony warsztatowej. Napisano je lekkim piórem, czyta się je z przyjemnością, bez mozolnego brnięcia przez nadmiernie fikuśne opisy czy dialogi, najeżone figurami stylistycznymi. A zatem nasz niezwykły pomysł przyoblec winniśmy w zdania o wielkiej urodzie gramatycznej i stylistycznej.

I na zakończenie kilka słów o ideologii i wydźwięku tych utworów. Sądzę, że nie jest przypadkiem iż wśród nich znalazły się teksty pisane jakby wedle XIX wiecznych wzorców – ku pokrzepieniu serc. *Noteka 2015* to historia o tym, jak Polacy spuszczają straszliwy łomot amerykańskim interwentom. W *Bombie Heisenberga* Polska stanowi militarne i ekonomiczne mocarstwo. W *Autobahn nach Poznań* jest podobnie: polski generał pokpiwa sobie w żywe oczy z amerykańskiej dyplomatki, i co więcej, jest na tyle silny, że może to zrobić kompletnie bezkarnie. Głębsze dno opowiadania pokazuje, że pod wieloma względami zdołał Amerykanów przechytrzyć, wystawić do wiatru, obrócić ich siłę przeciw nim...

Jako naród, przez ostatnie sześćdziesiąt sześć lat bez przerwy znajdowaliśmy się pod okupacją to obcych to „swoich". Na arenie polityki międzynarodowej nikt się z nami nie liczy, ekonomia siada, poziom życia, etc mamy jaki mamy... W tej sytuacji opowiadanie, w którym w naszych rękach spoczywa los świata, a ze starcia z wielokrotni silniejszym wrogiem wychodzimy jako zwycięzcy, musi oddziaływać niezwykle silnie.

Gotowy tekst warto nasycić odrobiną humoru. Może być nawet nieco absurdalny, ale ostatecznie opis jak polskie wojsko rozbijające USArmy też wymaga silnego zawieszenia niewiary...

Zapytacie w tym momencie, dlaczego znając i publicznie podając tak konkretną receptę na „zajdlowskie" opowiadanie, sam zadowalam się zaledwie jedną statuetką. Otóż nie zadowalam się. Powyższą recepturę postanowiłem wypróbować w praktyce. I napisałem ostatnio taki jeden tekścik... O wynikach doświadczenia powiadomię Was za jakieś półtora roku. Chyba, że sami domyślicie się, na co głosować...

Grzegorz Musiał

Recenzja instant, recenzent constant

Artystyczne związki fantastyki z nauką omawiane już były w setkach prac i artykułów. Rozłożono zastosowane w utworach *science fiction* technologie na czynniki pierwsze. Znawcy i krytycy nie obeszli się po dobroci z pomysłami podróży w czasie, wyśmiewano użycie blasterów i innych atrybutów gwiezdnych wojowników. Warto jednak zwrócić uwagę na trochę odmiennej natury, ale nie mniej ciekawe aspekty. Niestety, te, o których chcę tu powiedzieć, rozbawiają mnie do łez. Należy je wyśmiewać, bo właściwie nic innego nie pozostaje. No chyba, że napisanie takiego oto krótkiego felietonu.

Inercja – bezwładność. Termin jak najbardziej fizyczny, a doskonale obrazuje powagę sytuacji. Zachowanie współczesnych polskich recenzentów jest moim zdaniem karygodne. Produkuje się obecnie mnóstwo tekstów, będących albo kalkami, albo negatywami. Wielcy tego szanownego półświatka nie zważają już na sens swoich wypowiedzi ani ich obiektywność. Gdy na rynek wchodzi nowa pozycja, mamy do czynienia z poniższym schematem.

Po pierwsze: odrzuca się jakąkolwiek oryginalność. Nie myślę tu o tym, aby każda recenzja była małym dziełem sztuki. Wszystko w granicach dobrego smaku. Umiarkowanie powinno być wyznacznikiem, aczkolwiek dobry styl na pewno pomoże w odbiorze. Jeżeli spod pióra wyjdzie dwustronicowe ksero wypowiedzi kolegi po fachu, jakże wtedy czytać taki tekst? Podpisany własnym nazwiskiem tylko dlatego by wtrącić kilka własnych, najczęściej nic nieznaczących, wstawek? O tym, jak jest źle, bo ta książka to zwiastun końca świata dla gatunku, trzecia w tym kwartale. Że Iksiński, tak po prawdzie, nic z niej nie zrozumiał i w ogóle nie powinien się mieszać do prawdziwej krytyki. Odpowiedź czytelnika na takie dictum może być tylko jedna. Podobnież wyraz twarzy po lekturze. Lepiej w tym przypadku przeglądnąć prywatne strony domowe, których u nas dostatek. A nuż na coś ciekawego natrafimy, bez zbędnych prywatnych pstryczków w nos.

Recenzent dzisiejszy wybiera jedno z dwóch: powtórzenie lub oburzenie, bardzo rzadko własne wrażenia. Te pierwsze są najprostszym sposobem na tekst typu *instant*. Wystarczy zalać wodą. Ostatni propagują już tylko niektóre periodyki sieciowe, a i to wyjątkowo, zależnie od klasy piszącego, jego poglądów, sposobu bycia. W chwili obecnej nie trzeba nawet przeczytać danej pozycji, aby móc się o niej wypowiedzieć. Krótkie spojrzenie na ulubiony portal, lekki retusz, odpowiednia fraza – by było wiadomo, kto skreślił. Trzeba jedynie zakwalifikować książkę do odpowiedniej kategorii: dobra czy na przemiał. Może nawet wylosować, jeśli bardziej leniwy.

Nie tak dawno wpadł mi w ręce informator Gdańskiego Klubu Fantastyki. Znany i zapewne lubiany działacz opisuje swe boje z *Achają* Andrzeja Ziemiańskiego. Pora teraz na kolejne naukowe stwierdzenie. Ludzie, którzy mają za zadanie w sposób obiektywny ocenić, opowiedzieć trochę o fabule, traktują siebie jako inercjalny układ odniesienia. Coraz częściej spotyka się tego rodzaju postawy. Dla niezorientowanych, i.u.o. jest nadrzędnym w stosunku do wszystkich innych. Podług niego rozpatrujemy resztę. I tak, z wielkim wyrzutem i poczuciem własnej wyższości intelektualnej, powieść została sprowadzona do wynurzeń i chorej filozofii życiowej autora. Pomijając już bezmyślność i zwykły brak taktu, zapomniano o nadrzędnej zasadzie każdego recenzenta: *de gustibus non est disputantum*. O gustach nie dyskutujemy. Jeżeli ktoś uznaje, że sam może tworzyć zbiór żelaznych zasad dla sztuki, popełnia zasadniczy błąd. To oczywiście tylko przykład tego, gdzie pisarz i jego czytelnik miałby prawo poczuć się urażony. Chwalenie się własnym oczytaniem i nieskazitelnym gustem to droga do nikąd w tej branży. To nie konkurs Miss Polonia, gdy wypowiedź kandydatki do tytułu można zamknąć w słowach:

„Lubię przeczytać dobrą książkę, obejrzeć dobry film, dobrze zjeść, wybrać na operę, ale zaznaczam – dobrą!"

Bez żadnego sprecyzowania, odgórnie opiniotwórczo, z pewnym zacietrzewieniem.

W kręgach naukowych normą też jest nieuzasadnione używanie słownictwa, nijak mającego się do konkretnej sytuacji. To też pewna forma dowartościowania własnej skromnej osoby. Rozprawki najeżone są sformułowaniami, które nie tylko dla laików mogą być niezrozumiałe. Wyrazy obcojęzyczne powodują niepotrzebne dwuznaczności lub niedopowiedzenia, zwłaszcza, gdy operujący nimi ma o nich blade pojęcie. Podobnież w tekstach publicystycznych i felietonach. Wtrącenia, niezwykłe związki frazeologiczne, zbyt skomplikowane przenośnie, wszystko to powoduje, iż stają się one niezrozumiałe, nawet bełkotliwe. Nie można liczyć na obycie odbiorcy w temacie. Przecież czytelnicy – głównie młodzież licealna, studenci, dorośli należą do zdecydowanej mniejszości. Ta ostatnia grupa odpowiedni ładunek intelektualny znajdzie bez problemu w dziesiątkach powieści. Po co jeszcze komplikować życia maluczkim? Mowa tu głównie do autorów Nowej Fantastyki, choć wszędzie znajdziemy podobne przykłady. Dla podparcia tego zarzutu dopowiem, że jest to poważnym błędem językowym. Według polskich zasad pisowni zapożyczeń używamy wtedy, kiedy nie mamy polskiego odpowiednika i nigdy z pobudek snobistycznych.

Ostatnim związkiem nauki z fantastyką, który chciałbym napiętnować, jest zasada krętu. Moda teraz na obracanie się wokół i bezkrytyczne hołubienie wciąż tych samych autorów. Nieważne dla krytyka, czy dana pozycja to rzeczywiście utwór wybitny, czy też zwykłym wykorzystaniem własnej popularności. A co z chwilami słabości? Co za różnica, jak ma na nazwisko? Prachett, Sapkowski, Dukaj, Ziemiański nie są artystycznymi robotami, maszynami przetwarzającymi ogromną ilość wzorców. Produkt końcowy może być różny, niekoniecznie bliski ideałowi. W pewnym sensie można się z tego cieszyć. Dzięki temu literatura jest tak zróżnicowana i przyjemna w odbiorze. Daje przyczynę do polemik. O zwolnieniu z myślenia przy tworzeniu recenzji dzieł uznanych pisarzy należy jednak kategorycznie zapomnieć.

Jak widać, można poszukiwać różnego rodzaju mostów łączących dwie, zdałoby się całkowicie odmienne, dziedziny. Jako człowiek z pogranicza dostrzegam dość ciekawe powiązania. Widzę też pewne zachowania, które w żaden sposób nie pomagają prostemu odbiorcy. Ktoś tu chyba zapomniał o tym, że fantastyka przez duże ef gości w naszym kraju dopiero trzy lata. Czas to zbyt krótki, aby mienić się jej znawcą. Żeby kogoś oskarżyć, należy mieć dobry ogląd sytuacji i mieć do czego przyrównać. Na co Cię, drogi Czytelniku, uczulam. Nie daj się zwieść pieniaczom i wyrobnikom!

P.S. Aby nie wpaść we własną pułapkę, wyjaśniam: *instant* – tu w znaczeniu: w proszku, *constant* – stały, niezmienny.

Jakub W. Świętochowski

Groby z końca uliczki cmentarnej

Bolid Lema i lita skała

Horyzont rozpękł się cholernie; czarny latawiec, bure kłębowisko odbiło się od ziemi jak piłka tenisowa, odbiło się, po czym znieruchomiało, jakby było trzymane na uwięzi przez rudawego bachora. W tej wszystkiej martwocie, chmury przeszył okropny wizg bolidu z *Człowiekiem z Marsa* na pokładzie, tuż za nim, długi, niczym napięta struna, sunął Kosmokrator, a ten śmieszny peleton kończyli Ijon Tichy i Antoine de Saint Exupéry – przekraczający już lotniczą granicę wieku.

Zainteresowania literackie zbijają się czasami w takie twory; pejzaż to z motylami czy pogruchotane silniki, płatowce bez skrzydeł, czy bolid – tak często u Lema wbity w litą skałę? U mnie to najwyraźniej chmury burzowe, z peletonem cyganerii i, zabijcie mnie, katastrofizm.

Bóg, nie liczmy na jego pobłażanie, zetnie knot świecy Lema.

Płomyk zgaśnie; i może jakiś przybłęda powoła *Żagary*, aby coś tam, kogoś tam podtrzymać na duchu.

Słowem: apokaliptyka.

Na biurku książek na sążeń, jak drew. *Nocny lot*, *Kongres futurologiczny*, *Astronauci*, *Człowiek z Marsa*, *Ostatnie życzenie*, *Z pamiętnika więźniarki Buchenwaldu*, *Reportaż spod szubienicy*, *Miłość samuraja*, *Na kresach lasów* – wszystko to całkiem niewesołe; ludzie albo pogłupieli, albo dalej jaskółczy ból głowy... narkotyzuje. Literacko (nie wszystko) dobre, ale smutne do szpiku kości. Jest w tych książkach mowa o wyzwoleniu, odkryciach, niepewnym badaniu przyszłości, miłości, o życzeniach i niespodziankach.

Jakby szklanką optymizmu zalewać suchy ocean wspomnień. Dodajmy, gwoli kronikarskiego obowiązku: złych wspomnień. A nad tym wszystkim chmury burzowe.

Zaczyna czy nie zaczyna padać?

Otóż, Andrzej Pilipiuk zauważył bowiem osobiście, że młodzież w szkołach wychyla za kołnierz nie te książki, co potrzeba. Szkoła im. Marii Sadzewiczowej męczy uczniów *Solaris*, bo Stanisław dał to sfilmować i tu herezja – wieść gminna niesie, że nic więcej nie napisał. Następna, imienia wieszcza Mickiewicza: Borowski i Borowski , ach ten Borowski. Na Kochanowskiego, nie przymierzając, jak płody szatana, palą wszystko (o książkach tu mowa) – idiotów i idiotyzm rozpowszechniają. Takie to życie na Mazowszu.

Ciało pedagogiczne upupia.

Ja chcę, o Boże!, deszczu. Niech pada!

Potopu!

Niektórzy przekraczają lotniczą granicę wieku; pokazują się na niebie, chmury rozganiają (a w tej chwili tańczą *dance macabre*), bo jeszcze może się nawrócą, bo ludzie nie wiedzą, co czynią. Niech Arki nie budują... Niech w wodzie gruntowej się taplają. Niech im będzie – jeszcze troszeczkę – dobrze.

Lem zabłysnął, zabłysnął i zgasł. Lata swoje ma, na cóż mu fałszywe światło erudycji, jego blask gwiazdy słabnie; czynów dokonał. A co robił Exupéry? To samo.

Nie ma święta; latawców nie ma; w sklepie pasy bibuły sprzedają, nikt jednak kolorowego płatka na wiatr wypuścić nie chce. Nikt nie chce debiutować! W porządny, akademicki, mądry sposób! Tylko banalne fantastyki wykreślają ołówkiem, magię i kopie bohaterskich fanaberii.

Rapsod żałobny!

Posłuchajcie mnie uważnie, apokalipsa ma tu charakter czysto grecki, a więc tragiczny. Są dwa wyjścia: albo będzie burza i strąci Stanisława Lema z parnasu (i w zamian wykiełkuje ziarenko z nowym futurologiem), albo nie będzie burzy i bolid (z geniuszem na pokładzie) wyrżnie w litą skałę. I dupa blada.

Coś się kończy, coś – zaczyna.

Brak mi tu fantazji onomastycznej. Paraboliczny sens tego felietonu polega na tym, że Kafka wyzionął ducha, Lem ledwo zipie, a biblioteka wieży Babel, biblioteka łamańców językowych dała nam to, co tygrysy lubią najbardziej. Jeden, nadymany jak odyniec – kalambur. Umberto zachodzi w głowę: co oni z tą wysoką kulturą wyczynili? Piszą bzdety, które ani rąk, ani nóg nie mają; bez uszu chodzą, co by mogli krytyki chociaż wysłuchać.

Mówię przecież, tumanie jeden, bąblu dyrdnięty: latawiec kolorowy na niebo wypuść, niech ten świstek bibuły zapowie spadającym gwiazdom powiew świeżości. W drodze, nowomodnie, szepnie mu na uszko hasło: stary, umieraj, ja porządku dopilnuję, bo mnie dzieciarnia wypuściła, bo święto nowe ustanowiła.

I jeszcze jedna adnotacja, miłe panie mszyce, co mówicie, że Słowacki poetą wielkim jest: gówno prawda!

Zrzucie, do cholery jasnej, ten balast! Mickiewicz, Krasiński, Staszic, Szymonowic, Gombrowicz mają już dosyć! Narcyzować społeczeństwo się zachciało! Won! Owidiusz napisał *Baśń o Narcyzie* – i dosyć! Historia na tym polega, że przemija; przemijają powstania i trzeba z nich jeno wnioski wyciągnąć.

A więc: ciało pedagogiczne powinno wystawić ocenę swojej działalności.

A wy, młodzi nudni, zacznijcie interpretować Brzezińską, Pacyńskiego i Puszkina. Chłopcy: nadymajcie buzie, pokażcie języki; dziewczyny: podwiki do kosza, dziewictwo na wierzch. Rozbierajcie się śmiało, czytajcie śmiało: wasze ciało, wasz duch!

Nie było ostatnio ciekawego debiutu; bolid z Lemem mknie ku nieszczęsnej skale.

Przeczytajcie *Apokalipsę*. Boże, wal śmiało, potop prosimy! Oczyść ziemię z plew niewygodnych.

Zmówmy my natomiast, ot różaniec, wedle katolickiej tradycji.

Antoine de Saint Exupéry i Stanisław Lem to wieszcze literatury wysokiej. Łączy ich bezpośrednio zamiłowanie do maszyn, opisywanie nieuchronnych tragedii. Pokazują się na niebie, olejem silnikowym pomazani.

Śmierć przyjdzie dla nich w chwili, której być może sobie życzą. I ich historia skończy się dokładnie w tym momencie, w którym się zaczęła. Na wieży Babel, której już nie ma. Ale, moi drodzy, na moim cmentarzu miejsca dla nich nie ma. Zasłużyli na Powązki.

Podsumujmy więc: 1) będzie apokalipsa literatury a później nowy świat; 2) wspaniały bolid twórczości Wielkich i Wspaniałych rozpieprzy się o pierwszą lepszą litą skałę; 3) Wielcy i Wspaniali jeszcze coś poradzą – wykupią ludzi z objęć marazmu, z objęć śmierci.

A parabola gra tu główne skrzypce.

Na koniec, gdy się właśnie kłaniam, kalambur rozwiążę: ja pisarzy nie klnę, ja im urżnę wieloznaczne języki. Piszcie po polsku.

Dziwny to felieton – sam jestem zaskoczony. Ale metaforę tylko metaforą da się zwalczyć. Nie budujcie już następnej wieży, bo się obrazimy i nigdy się ze sobą nie dogadamy.

styczeń-luty 2005

Magdalena Kozak

Sztuka swobodnego spadania

O lataniu pośrednim i bezpośrednim

Dzień dobry Państwu, Lotnikom i Nielotom!

Zakradłam się tutaj cichcem do Fahrenheita, aby poopowiadać o temacie tyleż fantastycznym, co realnym. O lataniu. Takim, jak we śnie.

Znacie wszyscy ten sen?

Unoszę się swobodnie w powietrzu, dookoła mnie tylko przestrzeń. Lecę, dokąd chcę, sterując ruchami rąk i nóg. Gdzieś w oddali, pode mną, majaczą niewyraźne, zielone plamy lasów i pól. Ogarnie mnie czysta, żywa, niemalże nieskończona euforia...

A potem budzę się, żałując, że to tylko sen, i z zazdrością spoglądając na ptaki.

Znakomita większość z nas, zapewne, zdążyła już zakosztować lotu. Takiego typowego dla cywilizacji technicznej: siedzi człowiek zamknięty w jakiejś blaszanej puszce, która, logicznie rzecz biorąc, nie ma prawa nawet oderwać się od ziemi, taka jest ciężka. Za pomocą jakichś współczesnych czarów (moim zdaniem jest to czarna magia, temat dla inkwizytorów) udaje się jednak wystartować. Samolot unosi się w powietrze, przy okazji niemiłosiernie trzęsąc się i wyjąc. Potem tkwimy zamknięci w magicznym pudełku, nieśmiało popatrując przez okna w dół i modląc się o jak najmniej turbulencji. Wreszcie lądowanie, pilot, jak jest dobry, posadzi maszynę bez specjalnego łupnięcia. Dziękujemy państwu za wybranie naszej linii lotniczej, zapraszamy ponownie. Ot, polatalim.

A gdzie to marzenie o słodkim *tete-a-tete* z powietrzem? O bezpośrednim kontakcie z żywiołem, sam na sam? O rozbuchanym pędzie powietrza, owiewającym twarz?

Załóżmy, że w odpowiedzi na zew przestworzy wysiądziemy nagle z samolotu. Że pobędziemy przez parę chwil w powietrzu, chłonąc jego dotyk całym ciałem, nareszcie osobiście. Niestety, wkrótce nieubłagana grawitacja każe zapłacić za realizację marzenia, i to słono.

Chyba że założymy spadochron...

Idea urządzenia, będącego w stanie uchronić kruche ciało przed konsekwencjami upadku, jest bardzo stara. Ludzie rozmyślali nad tym od wielu, wielu lat.

Według legendy, chiński cesarz Shon ok. 2200 r. p.n.e. skoczył z dachu płonącego domu, wykorzystując do zamortyzowania lądowania dwa duże słomkowe kapelusze (inna wersja mówiła o wachlarzach). Wylądował bezpiecznie, czym wzbudził nabożny podziw swoich poddanych. Nie omieszkali więc tego skrupulatnie zapisać, i tak oto mamy najstarszy spadochroniarski przekaz w historii.

Inny podniebny bohater, Ikar, syn Dedala, odbył napowietrzną podróż, posługując się sztucznymi skrzydłami, sporządzonymi przez ojca. Jak wiemy, ta chytrze pomyślana ucieczka z Krety nie skończyła się dla lotnika najlepiej. Ikar wzbił się za wysoko i słońce stopiło wosk, mocujący pióra skrzydeł. Statek powietrzny stracił właściwości lotne a pilot poleciał, jak kamień, w dół. Przyziemił ze skutkiem tragicznym, nie posiadał bowiem spadochronu. Nawiasem mówiąc, starożytni Grecy nie wiedzieli zapewne o zjawisku spadku temperatury wraz ze wzrostem wysokości. Bardziej prawdopodobnym scenariuszem byłoby bowiem przekroczenie izotermy zero i zamarznięcie nieszczęsnego pilota, aczkolwiek ten rozwój wypadków również nie wróżyłby mu najlepiej. Tak czy inaczej, Ikar został pierwszą szerzej znaną ofiarą katastrofy lotniczej. Jego przykład okazał się dość zniechęcający dla potencjalnych naśladowców, co być może stanowiło właściwy cel rozpropagowania legendy przez tchórzliwych konserwatystów.

Dopiero Leonardo da Vinci w 1485 roku zabrał się za temat po swojemu, rozważnie. Zaprojektował sztywny spadochron o kształcie ostrosłupa i wymiarach niezwykle zbliżonych do wymiarów spadochronów współczesnych. Ciekawostką jest, że dokładna replika urządzenia, zbudowana w 2000 roku przez Adriana Nicholasa, okazała się jak najbardziej sprawna. Tylko ze sterowaniem były kłopoty, więc spadochroniarz, polatawszy trochę na eksperymencie, wypiął się z niego czym prędzej i lądował już za pomocą współczesnego sprzętu. Dowiedziono jednak w ten sposób, że urządzenie Leonarda mogłoby uratować życie spadającego człowieka, a o to przecież chodziło.

Za przykładem da Vinciego poszli inni.

Isaac Newton opracował temat matematycznie w roku 1710, dzięki czemu kolejni wynalazcy zabrali się za wdrażanie dalszych konstrukcji. Dnia 26 grudnia Roku Pańskiego 1783 chemik Sebastian Lenormand wykonał skok z wieży obserwatorium. Posługiwał się przy tym urządzeniem, które nazwał z francuska *parachute* (*para*-przeciw, *chute*-opadanie). Dzisiejsi znawcy tematu klasyfikują ten wyczyn jako początek prawdziwego spadochroniarstwa.

W tym samym roku bracia Mongolfier zbudowali balon i odbyli nim pierwszy lot. Natychmiast pojawiła się wizja, co się stanie, kiedy się już do takiego balonu wsiądzie a on tam, w górze, postanowi odmówić współpracy. Wspomniany wcześniej Ikar machał groźnie palcem zza grobu. Towarzystwo zaczęło więc zastanawiać się gorączkowo, jak tu by się zabezpieczyć przed bardzo nieprzyjemnym upadkiem. W konsekwencji, zainteresowano się paraszutami.

Pierwsze spadochrony były sztywnymi konstrukcjami, umożliwiającymi natychmiastowe użycie. Takim urządzeniem był spadochron Jeana Pierre Blancharda, zastosowany przezeń w 1785 roku do pierwszego ratowniczego skoku z balonu. „Ratowniczy" w gwarze lotniczej oznacza „nie-dobrowolny". Znaczy, osobnik nie planował skakać akurat tego dnia, ale, niestety, zmusiły go do tego tak zwane okoliczności zewnętrzne. Blanchard to zatem nie tyle spadochroniarz, co pechowy lotnik, ratujący życie. Na szczęście dla niego, skutecznie.

Póki co, spadochrony były stałymi, sztywnymi konstrukcjami. Wreszcie Andre Garnerin wpadł na nowatorski pomysł. Jego spadochron nie miał żadnych usztywnień, materiałowa czasza była podpięta liną do balonu, a linki bezpośrednio do gondoli. W razie awarii odczepiało się gondolę od balonu i spadochron napełniał się na skutek ciężaru opadającego w gondoli człowieka. Pierwszy nieprzymusowy skok z balonu Garnerin wykonał 22 listopada 1797 roku. Tutaj uwaga: nieprzymusowy, a zatem dobrowolny. Zaplanował skok, wykonał, przeżył. Prawdziwy spadochroniarz.

Z kolei pierwszy składany spadochron był zasługą Niemca Paula Lattemonna w 1890 r. Czasza była częściowo złożona i połączona linkami z uprzężą, umocowana z boku balonu, a skoczek, opuszczając gondolę, wyciągał ją wraz z linkami. Miał na to trochę czasu, balon rzadko kiedy spada tak od razu.

Kiedy bracia Wright w 1903 roku zbudowali pierwszy samolot z napędem spalinowym i dokonali pierwszego lotu na odległość 120 km, oczywistym stało się, że przed lotnictwem otwierają się nowe horyzonty. A w miarę wzrastania ilości lotów, rosło też prawdopodobieństwo wystąpienia awarii. Powstała więc bezsprzeczna konieczność zabezpieczenia personelu lotniczego za

pomocą spadochronów osobowych. Dotychczasowe urządzenia nie nadawały się jednak do zastosowania w samolotach, ze względu na konstrukcję i rozmiary. Szukano więc nowych rozwiązań a projektanci sami wypróbowywali działanie swoich spadochronów. Postęp dokonywał się lawinowo.

W 1911 roku rosyjski aktor Gleb Kotielnikow umieścił spadochron w tornistrze, pod którym znajdowały się sprężyny wyrzucające czaszę. Koncepcja "ubrania" pilota w spadochron stała się wzorem dla dzisiejszych konstrukcji. Niestety, pomysł nie znalazł zrozumienia u rosyjskiego dowództwa, prymat przejęli więc Amerykanie.

Za pierwszy skok skoczka doświadczalnego z samolotu uważa się wyczyn kapitana Alberta Berry w dniu 1 marca 1912 r. Wyskoczył on na wysokości 450 m i otworzył spadochron na 200 m. Dziś w skokach cywilnych tego typu fanaberie są zabronione, minimalna wysokość otwarcia to 600 (w Polsce 700) metrów. Ale wiadomo – wojsko skacze, jak chce, i tutaj do dziś niewiele się zmieniło.

Rozwój parł naprzód, wspierany I wojną światową. W 1918 r. ulepszono i zmodernizowano uprząż, zaś spadochron umieszczono na plecach. Amerykański konstruktor Leslie Irvin stworzył kilka wersji spadochronów: plecowe, siedzeniowe i kolanowe. Wprowadził również do konstrukcji znaczącą innowację – pilocik. To taki miniaturowy, okrągły spadochronik, który, napełniając się powietrzem, ma za zadanie wyciągnąć czaszę i linki z pokrowca, zapoczątkowując proces otwarcia spadochronu.

Jak to w naszej cywilizacji bywa, nic tak nie nakręca rozwoju technicznego, jak wojna. Dlatego też II wojna światowa i przygotowania do niej w znacznym stopniu przyczyniły się do intensywnego rozwoju lotnictwa, a zatem i spadochroniarstwa. W tym okresie rozwinęło się i ustaliło kilka zasadniczych typów spadochronów: okrągły "Irvin", amerykański trójkątny spadochron Hoffamana, kwadratowy radziecki Łobanowa, włoski "Salvator" i japoński "Nanaka". Jednak tylko "Irvin" znalazł szersze zastosowanie w lotnictwie.

Po wojnie nie zaprzestano poszukiwania dalszych rozwiązań technicznych, dotyczących spadochronów osobowych. Wiązało się to z zastosowaniem nowych materiałów, jedwab został zastąpiony przez tkaniny o niskiej bądź zerowej przepuszczalności. Powstała także nowa konstrukcja: spadochron szybujący zwany także "latającym skrzydłem", spadochronem "tunelowym" lub po prostu "skrzydłem". Zrewolucjonizował on spadochroniarstwo dzięki swoim unikalnym, w stosunku do spadochronów okrągłych, właściwościom lotnym.

W sporcie spadochronowym powszechnie zaczęto używać do skoku dwóch spadochronów: głównego i zapasowego. Z początku ten ostatni umieszczony był z przodu, na klatce piersiowej skoczka, po czym nastąpiło przejście do systemu plecy-plecy. Połączenie nowej technologii i myśli konstrukcyjnej pozwoliło na obecne zredukowanie spadochronu do rozmiaru niewielkiego plecaka, mieszczącego dwie czasze: główną i zapasową.

Wreszcie spełnienie marzeń stało się możliwe.

W dzisiejszych czasach każdy może stanąć na progu samolotu a potem rzucić się w przepaść, gdzie kilometry przestrzeni rozciągają się w każdą stronę i człowiek znajduje się oko w oko z żywiołem.

Sport spadochronowy, jak widać, jest nierozerwalnie związany z rozwojem lotnictwa. Są to jednak dyscypliny tak różne, jak sny o samodzielnym lataniu i sny o prowadzeniu latającej maszyny. Obie opcje są niewątpliwie imponujące, niemniej jednak pociągające w zdecydowanie różny sposób. Dlatego też piloci i spadochroniarze należą do nieco odmiennych podgatunków *homo sapiens*. Spadochroniarzy niechętnie widzi się jako kandydatów na pilotów. W razie awarii, pilot zrobi wszystko, żeby wylądować uszkodzoną maszyną. Kapotaż to ostateczność. Natomiast spadochroniarz z radosnym błyskiem w oku powie: to co? Skaczemy? I wybryknie czym prędzej, poświęcając maszynę, wartą przecież wiele... wiele...

Dla pilota samolot jest istotą, bardzo często jakże ukochaną, drugim ja. Dla spadochroniarza to tylko środek transportu, winda do nieba. Również imponująca, wspominana z czułością, ale jednak... to nie o nią w końcu chodzi. Najważniejszy jest ten moment osobistego doświadczania przestworzy. A statki powietrzne, z których się skakało, zalicza się, wpisując kolejny typ w książkę skoków i patrząc z dumą, jak rośnie kolekcja.

A teraz element fantastyczny, do którego, bądź co bądź, zobowiązuje profil periodyku.

Siedzi przy ognisku spadochroniarska brać. Lipcowy wieczór, gwiazdy błyszczą na granatowym niebie. Nagle jedna z gwiazd zaczyna błyszczeć jakoś tak bardziej. Dziwnie trochę. Mruga, zmienia kolor, rośnie....

– O rany, UFO! – rzuca ktoś zachwyconym głosem.

Wszyscy podnoszą głowy, jak jeden mąż.

– Super! – oznajmiają jednogłośnie, z przekonaniem. – Skoku z UFO jeszcze nie mamy!

Monotematyczni wariaci. Ot, co.

Zresztą, czegóż innego można by się spodziewać po ludziach, którzy dobrowolnie wysiadają z samolotu, licząc na to, że życie im uratuje kawałek szmaty, rozpostarty nad głową? A który lata tylko dlatego, że...

Ale o tym w następnym odcinku.

Małgorzata Koczańska

Image a sprawa polska

Dla Lafcadia i Equesa z Forum Fahrenheita.
Za literówki i sprzeciw.
I za pomysł.

Sprzedawanie wizerunku publicznego osób przypomina handel żywym towarem. Tyle tylko, że osobnik na wybiegu marzy o tym, by sprzedać się jak najlepiej i jak największej liczbie potencjalnych klientów, pośrednikiem w procesie są media, a nadzorcy siedzą ukryci za sceną i sprawdzają rankingi popularności, który jest również miernikiem skuteczności ich działań.

Oto nasza scena polityczna, gdzie od niedawna, ale za to błyskawicznie, dostrzeżono image w roli znaczącego narzędzia wpływu. Nie znaczy to, że wcześniej wizerunku nie było lub że nie odgrywał on żadnej roli. Był i odgrywał, ale tworzono go po amatorsku, bez znajomości procesów rządzących odbiorem, przez co efekty były różne i bardzo rozproszone. Okres wolnej amerykanki skończył się bezpowrotnie – wzorem USA politycy zaczynają o swój image dbać, ponieważ zaczynają rozumieć, że to kapitał, dzięki któremu zdobywa się elektorat.

Wiedzą o tym doskonale Amerykanie, u których polityk to zwierzę doskonale medialne, wytresowane do specyficznej manipulacji, jaką jest wpływ wywierany przez to, co zwykliśmy potocznie nazywać osobowością, niekiedy charyzmą, a nawet niekiedy po imieniu – wizerunkiem. Najczęściej jednak nie nazywa się tego nijak, lecz po prostu ulega wpływowi. Bo wpływ jest ogromny, a składniki, które wpływ ten tworzą, wydawać się mogą z racjonalnej perspektywy mało istotne, błahe i bzdurne.

Cóż, nie o racjonalizm tu chodzi...

Image, znaczy obraz, ale tak naprawdę, nie chodzi o to, co się widzi, lecz o to, w jaki sposób się odbiera. Ludzie odgrywają role, mniej lub bardziej naturalne, zgodne ze swoją osobowością lub nie. Niektórzy mają wrodzony dar wcielania się w role bardzo różnorodne, urodzeni aktorzy zdolni zyskać sympatię dowolnej grupy ludzi. Inni próbują kreować swój własny wizerunek odgrywając rolę kogoś, kim chcą się wydawać otoczeniu – outsider, dusza towarzystwa, playboy, lider, etc. To instynkt stadny – przyjmowanie ról i funkcji. Próby wyróżnienia się, zwrócenia uwagi lub uzyskania dominacji, rytuały godowe – tysiące odcieni wpływu, różnorodne motywy... Robimy to codziennie, każdy z nas. Czasem odruchowo, czasem świadomie. Zawsze w grupie, zawsze przy widowni. I tym właśnie jest wizerunek – sytuacją odbioru, którą doskonale oddaje stare przysłowie: *jak cię widzą – tak cię piszą*. Zdawać by się mogło, że w takim razie jest to kwestia jak najbardziej indywidualna i nie poddająca się kontroli. Niestety, tutaj rządzą prawidłowości, nad którymi można zapanować.

Zacznijmy od powtórki tego, co już kiedyś napisałam: to, co odbieramy, tylko w niewielkim stopniu dotyczy kwestii merytorycznych. Szczególnie w przypadku ludzi. Pierwsze, co do nas dociera, to sygnały afektywne – przyjmowane nieświadomie, bez udziału woli, emocjonalnie. Na sygnałach afektywnych opiera się sztuka budowania image'u.

Jak to się robi? Po kolei, rzecz jasna.

Najpierw ustala się cel tworzenia image'u, czyli po co się go robi. W przypadku managerów średniego i wyższego szczebla, kadry zarządzającej, prezesów i właścicieli firm – potrzebny jest wizerunek lidera, człowieka, który posiada autorytet i cieszy się zaufaniem. Ta ostatnia wartość szczególnie duże znaczenie ma również w przypadku polityków – tutaj potrzebny jest mąż opatrznościowy, mąż stanu... Różne są opcje, ale kwestia wiarygodności i zaufania jest ważna i będzie coraz ważniejsza. Wynika to ewidentnie ze stosunku Polaków do polityków. Jak wskazują sondaże Centrum Badań Opinii Społecznej, zaufanie do elit rządzących w ogóle i w poszczególnych przypadkach maleje, elektorat jest bierny (udział w wyborach deklaruje tylko 48% uprawnionych Polaków), a wskaźniki nieufności mają tendencję wzrostową. A przecież rok 2005, to rok wyborów – sytuacja zatem sprzyja, by nie tylko wyciągnąć kiełbasę wyborczą (to też zadziała, nie ma obawy), lecz także, by sięgnąć po inne, równie skuteczne narzędzia.

A image jest narzędziem, którego nie należy lekceważyć.

Dowiódł tego Andrzej Lepper, nad którego publicznym wizerunkiem pracował jeden z najbardziej znanych specjalistów od PR, Piotr Tymochowicz – dla jednych guru, dla innych manipulant. Specjalista od wizerunku. To właśnie Piotr Tymochowicz twierdzi, że polityk sprzedawany jest tak samo, jak płyn do płukania zębów. Nie sposób odmówić mu racji. Oczywiście, lider Samoobrony i jego ugrupowanie nie cieszy się zbyt wysokim zaufaniem społecznym, zaledwie 11%, jednak jest to dość stabilne poparcie dające 5 pozycję w rankingu partii politycznych. A przy okazji można zauważyć jeszcze jedną rzecz, niejako pobocznie wynikającą z badań CBOS. Poziom nieznajomości w przypadku Andrzeja Leppera wynosi 0. Identyczny wynik ma tylko głowa państwa...

Jednak, nie tylko Lepper korzysta z rad specjalistów od PR i reklamy, za to jest bodajże jedynym, który się do tego przyznał. Platforma Obywatelska korzystała z rad Macieja Grabowskiego, wiceprezesa United PR. Wizerunek Aleksandra Kwaśniewskiego do jego pierwszych wyborów prezydenckich kreował Jacques Seguel, były doradca Mitteranda oraz Robert Kwiatkowski. Generalnie jednak nawet, jeżeli nasi rodzimi mężowie stanu sięgają po porady specjalistów, starają się raczej rzecz przemilczeć.

Kiedy ustali się cel działania, przychodzi czas na obróbkę produktu. W przypadku każdej osoby szczegóły ustala się indywidualnie. Nie modeluje się od nowa całej postaci, lecz szuka najbardziej wyraźnych wad i sposobów na wprowadzenie poprawek.

Najpierw twarz. Nasz mózg jest wytrenowany do odbioru twarzy – na nią zwracamy uwagę w pierwszej kolejności. Atrakcyjność twarzy to początek dobrego wizerunku. Można sądzić, że niewiele można tu zdziałać bez pomocy chirurgii plastycznej? Bynajmniej – wystarczy kosmetyczka i wizażysta. Przy tworzeniu wizerunku polityków lub osób, które mają uchodzić za godne zaufania, ważnym elementem jest symetria twarzy – u kobiet to najprostsze, wystarczy porządny makijaż, u mężczyzn takie sprawy reguluje się zarostem lub fryzurą, choć zdecydowanie, jest nieco trudniej. Istotne jest również, czy cera jest czysta, zadbana, etc. Elementarne dla każdej niemal kobiety.

Jednak w twarzy nie chodzi tylko o wygląd. Przyglądając się komuś, kogo nie znamy, najwięcej czasu poświęcamy twarzy nie tylko z uwagi na atrakcyjność (choć również z tego powodu – ponieważ to ok. 80% „komunikatu atrakcyjności"), lecz także ze względu na mimikę. Osoba godna zaufania winna tutaj wykazać nieco dystansu – uśmiech nie może być zbyt szeroki (niepewność), unoszenie brwi lub wytrzeszczanie oczu (naiwność, dziecinność), zbyt częste mruganie (nerwowość). Jak podano w prasie, jest to podobno jeden z atutów obecnego prezydenta USA, niektórzy specjaliści twierdzą, że George W. Bush mrugał podczas debat medialnych rzadziej niż jego przeciwnik i dzięki temu lepiej się zaprezentował w wyborach. To, oczywiście, lekka przesada, ale pokazuje, jak szczegółowe są analizy image'u.

Równie istotne dla wizerunku są gesty. Lider nie macha rękami – ponieważ byłby postrzegany jako człowiek nerwowy, a wtedy nici z zaufania. Nie wolno też nadużywać gestów zamykających – splatania rąk na piersi, wykonywania ruchów przyciągających i ogólnie – gestykulacji do siebie. Pożądane są ruchy od siebie, otwarte, prezentujące wnętrze dłoni, odsłaniające tors – gesty na wysokości strefy neutralnej, czyli od pasa do ramion. Tego rodzaju gestykulacja odbierana jest jako szczera, bezpieczna, jako oznaka otwartości. Gesty odwrotne interpretowane są natomiast jako charakterystyczne dla osób skrytych.

Gesty nierozerwalnie związane są z formami zachowań. Zwracanie się w kierunku rozmówcy – obrócenie głowy lub całego ciała, patrzenie w oczy – to znaki uwagi i chęci współpracy. Uścisk dłoni – dopuszczalny jest tylko krótki i stanowczy, znamionujący pewność siebie. Nie może być za mocny (bo to zaproszenie do konfrontacji, agresja, chęć sprawdzenia się, a zatem – niepewność własnej pozycji), nie może również być zbyt lekki (tzn. *śnięta ryba* – znak niepewności, chwiejności charakteru). Dodatkowym elementem może być ściśnięcie drugą dłonią nadgarstka – wówczas uścisk jest opiekuńczy, bliski. Robił tak obecny prezydent USA i gubernator – terminator. Generalnie, wg specjalistów od marketingu politycznego i wizerunku, polityk na spotkaniach wyborczych 10% czasu poświęca prezentacji programu, a przez resztę spotkania – ściska dłonie, widać zatem, jak istotny jest dla speców od image'u ten właśnie aspekt.

Postawa – to kolejny sygnał afektywny. Pozytywnie odbieramy osoby wyprostowane, ale nie te, które „zadzierają nosa". Dosłownie – nie wolno unosić brody, musi tworzyć mniej więcej kąt prosty, a przynajmniej takie sprawiać wrażenie. Osoby godne zaufania poruszają się bez nadmiernego pośpiechu, ale pewnie – nie do pomyślenia jest, aby polityk wchodzący na mównicę zrobił np. krok, a potem się cofnął – to symptomy strachu, a nigdy nie obdarza się zaufaniem osób, które okazują obawy, nie panują nad emocjami.

Następną kwestią jest głos. Tutaj nie ma szans na samodzielną pracę, potrzebny jest specjalista, który oceni brzmienie, rytmikę, styl mówienia, manierę artykulacji. Wszystkie sygnały emocjonalne, istotne dla odbioru. Głos lidera brzmieć musi pewnie, lecz nie za głośno, z wyraźnym akcentowaniem i bez rażących wad wymowy. Ćwiczy się mówienie niższym tonem, wyraźne, umiejętność pobudzania lub uspokajania odbiorców... To jeszcze trudniejsze. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jakim potężnym instrumentem jest głos. I jak trudnym w operowaniu. Lubimy słuchać jego brzmienia, hipnotyzuje nas ton i rytm... Dobry mówca potrafi sterować uwagą odbiorców – zna sztuczki na otwarcie i zakończenie, wie, kiedy głośniej lub mocniej zaznaczając wymowę, zmusić do zapamiętania istotnego fragmentu... Słowa? Cóż, słowa stanowią niewielki procent przekazu, najwyżej 10% całego komunikatu. Co nie znaczy, że w tworzeniu wizerunku pomija się ten aspekt. Zwłaszcza u polityków, którzy dużo mówią i występują na forach publicznych. Może się wydawać, że właśnie oni są wyjątkowo źle przygotowani, wszak większość po prostu usypia odbiorców. Cóż, polecam eksperyment: nagrać i przepisać wystąpienie dowolnego polityka. Rzecz jasna, będzie merytoryczne, ale z pewnością okaże się, że stosunek treści do objętości tekstu faworyzuje tę drugą wartość. Nie posuwałabym się jednak do łatwych ocen – to specjaliści od marketingu politycznego redagują takie przemówienia....

Głos, postawa, zachowania – to wszystko stanowi podstawę w image'u. Potem jest jeszcze opakowanie, czyli stosowny ubiór. W przypadku polityków, niemal rytualny. Kolory dobrze wyglądające w TV, barwy ochronne, stonowane, bez krzykliwości. Żadnej bieli, która źle wygląda na ekranie i żadnej czerni, która zbyt mocno kontrastuje z otoczeniem. Krój i dobór ubrań podkreślający atuty i kamuflujący niedostatki. I element wyróżnienia, jeżeli celem jest zaznaczenie obecności, szybka identyfikacja osoby. Krawaty Samoobrony przejdą do historii nie tylko w podręcznikach PR, choć wcale nie były jej wynalazkiem. Pamięta ktoś jeszcze czerwone krawaty na posiedzeniach KC PZPR? Rzecz jasna, to było dawno, dawno temu, w odległym PRL... Co ciekawe, kobiety, które powinny być lepiej przygotowane w kwestiach zewnętrznego wyglądu, na arenie politycznej wypadają gorzej od mężczyzn. Większość z nich ubiera się niestosownie do wymogów, niestylowo, z lekceważeniem reguł medialnych i zwyczajnie – technicznych, jakie obowiązują w tworzeniu przekazu. Zapewne dlatego, że kobiety mniej chętnie korzystają z usług specjalistów od wizerunku, przekonane, że wiedzą lepiej...

Po przygotowaniu produktu w opakowaniu na każdą ewentualność, nadchodzi czas na analizę otoczenia. Równie ważne, jak wygląd, jest tło. Z kim będzie się nasz produkt pokazywał, z jakimi osobami wystąpi, w jakich wnętrzach, w jakich okolicznościach... To również podlega planowaniu tak, by lepiej wyeksponować sygnały afektywne. Nieprzypadkowo politycy fotografowali się z dziećmi – dzieci zawsze sprawiają dobre wrażenie, budzą odruchowe skojarzenia z opiekuńczością – idealne podejście dla „ojca narodu". Nieźle wypada się również na tle młodzieży, szczególnie ze sloganami o przyszłości, wszak potencjalni wyborcy zawsze „wybierają przyszłość", a przyszłość narodu i jego nadzieja, to zawsze młodzież... Ot, sztuczki – z powodzeniem zastosowane przez Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich.

Specjaliści od wizerunku znają tysiące sztuczek. Wiedzą, jak poprawić odbiór wizerunku, jak ukryć niedoskonałości natury, by dopasować ją do instynktownego wzorca, na jaki reagują odbiorcy. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Aleksander Kwaśniewski poddał się zabiegom upiększającym i drakońskiej diecie, aby dobrze wypaść w wyborach (ufamy ludziom atrakcyjnym fizycznie). Opalenizna Andrzeja Leppera też nie jest przypadkowa – przede wszystkim ma ukryć zbyt łatwo pojawiające się u tego polityka rumieńce i to bynajmniej nie wstydu... Temperament ma swoje prawa, ale są sposoby na poprawienie natury lub zmylenie odbiorcy...

Całość, z tysiącem szczegółów, tworzy ogólny wizerunek sprawiający wrażenie pozytywne na odbiorcy. Wszystkie potrzebne gesty, postawy, zachowania, styl ubioru – można wytrenować, jak jazdę na rowerze. To naprawdę kwestia *media coatching*, nic więcej, ale też nic mniej, nie należy bowiem sądzić, że pozbywanie się wrodzonych nawyków i preferencji ruchu czy reakcji jest łatwe. Taki trening przypomina podejrzanie pranie mózgu, ale robione na własne życzenie obiektu. A to wszystko, jeżeli nawet nie jest naturalne, musi sprawiać takie wrażenie – odbiorcy potrafią wyczuć instynktownie sztuczność zachowań. Niestety, tylko u tych, którzy nie osiągnęli wystarczającej biegłości...

Ponieważ tak naprawdę, dobrze przygotowany image jest identyczny z naturalnym, zupełnie, jak ów aromat w produktach spożywczych. I nasze niedoskonałe zmysły raczej nie zauważą różnicy. Wizerunek jest bowiem zbiorem sygnałów afektywnych, działających na poziomie instynktu nie świadomości. Nie ma tu świadomych wyborów – jest tylko odruch.

Niedługo na scenie znowu zacznie się handel żywym towarem, zbliżają się wybory prezydenckie i wybory parlamentarne. I wtedy okaże się, kto najlepiej przygotował się do występu...

A za kulisami specjaliści od marketingu politycznego, image'u i PR, pogratulują sobie wzajemnie i odbiorą zapłatę. Tutaj bowiem nie liczy się już, czyj produkt zwyciężył – honorarium dostanie każdy z nadzorców.

Tomasz Zieliński

Rzecz o eksperymentach myślowych

Po co nam tarcie?

Odkąd w wakacje, tak jakoś między drugą a trzecią klasą podstawówki, przeczytałem szkolną książkę do fizyki, zacząłem sobie wyobrażać światy równoległe z nieco zmienionymi prawami natury. We wspomnianej książce opisano bowiem dykteryjkę na temat tego, co by było, gdyby nagle na świecie znikło tarcie. Trudno byłoby ustać na nogach, przemieszczanie się byłoby możliwe tylko za pomocą odepchnięcia od czegoś i takie tam.

Pamiętam, że już wtedy dostrzegłem bardziej znaczące konsekwencje – przede wszystkim nieuniknione karambole na skrzyżowaniach, parkingach czy autostradach nie skończyłyby się zgrzytem blachy i znieruchomieniem aut. Sprężystość ram i karoserii byłaby wystarczająca, żeby kontynuować ruch w jakimś – nomen omen – wypadkowym kierunku, na szczęście prawidłowo zapięte pasy bezpieczeństwa pomagałyby jak zwykle.

Malowniczych konsekwencji byłoby więcej – struny instrumentów szarpanych natychmiast wysupłałyby się z uwięzi, świeżo wylany beton przelałyby się przez szczeliny szalunku a we wszystkich sklepach towary pospadałyby z półek. Spychacze przestałyby działać zgodnie z oczekiwaniami. Odtwarzacze CD nie pokręciłyby płytą. Kucharka nie ukręciłaby kogla-mogla.

Nie wszystko jednak stracone. Brak tarcia otworzyłby zupełnie nowe działy techniki i nauki. Nie, nie mam tu na myśli produkcji wielkiej płyty mocowanej na pióro i wpust, choć może byłaby konieczna. Nowe możliwości otworzyłyby się przed spedycją i transportem publicznym. Ot, choćby znany z ulic San Francisco "Cable Car" [http://www.sfcablecar.com/] czyli tramwaj linowy. Tani, cichy, szybki (przy zatrzymaniu można wyczepić się z liny, magazynując energię kinetyczną w jakimś mechanizmie zamachowym).Idąc za ciosem, można do podobnych systemów trakcyjnych podłączyć samochody. Mniej spalin, brak wyprzedzania na trzeciego, same zalety.

Tak samo kolej. Pchnąć, ustawić zwrotnice i poczekać, samo się dotoczy. Pod górkę naturalnie podepchniemy – lokomotywy z zębatką są w użyciu i u nas [http://photos.thesapps.com/HM_Panama_Canal]. A dla bezpieczeństwa zamontujemy zderzak Łągiewki [www.racjonalista.pl/kk.php/s,2645] – dobrany masą pędnika do masy ładunku. Żeby nie pękł, rozerwany siłą odśrodkową, gdy energię zderzenia zamienimy bezstratnie na ruch obrotowy.

Łatwo wymyślimy bezwładnościowe układy symulujące opory toczenia. Bez sprzęgieł ciernych będzie trudniej, ale da się zrobić. Nie bardzo tylko wiadomo, co z samolotami. Intuicja mówi, że turbulencje i siła nośna by pozostały, ale czy na pewno? Czy w świecie bez tarcia wiatr porusza liśćmi? Eksperyment myślowy jeszcze bardziej grzęźnie przy zejściu na poziom atomów i elektronów, więc badania w tym zakresie odkładamy na przyszłość.

Z pewnością barwną opowieść da się snuć o świecie, w którym zmiana taka zachodzi stopniowo. Ludzie zamieniający sandały na quasi-śnieżne rakiety z kolcami, tory kolejowe z nacinanymi w pośpiechu zębatkami i tak dalej. Opowieść mogłaby opisywać także bardziej osobiste problemy pary młodych bohaterów, ale tu na pewno znalazłoby się – hm – satysfakcjonujące rozwiązanie.

Teoria braku tarcia nie broni się oczywiście, bo nie bardzo wiadomo, co miałoby być kryterium "jednolitości" substancji. Żeby klasyfikować, że piaskowiec się trzyma kupy, a babka z piasku rozsypuje na płaski placek. Albo drzewo się trzyma skały, ale wiatr wyciąga trawę z wydm. No to by musiało być zerojedynkowe, bo stopień pośredni oznaczałby jakąś tam formę oporu ciernego. Czyli rybka albo pipka. Ale posnuć historie warto, choćby dla samej tylko przyjemności intelektualnej. Zostawmy alternatywną fizykę, weźmy na tapetę jakiś temat katastroficzny. Na przykład: czy niewielka grupka zdeterminowanych ludzi dałaby sobie dziś radę bez energii słonecznej?

Po co nam Słońce?

Mówi się, że Słońce będzie świecić z grubsza tak jak teraz jeszcze przez jakieś 5 miliardów lat. Nawet, jeśli szacunek jest zawyżony dziesięć, sto albo i tysiąc razy, to ludzkość ma dość czasu, żeby położyć kres wszystkim wojnom i harmonijnie wzrastać przez dłuższy okres.

Ponieważ jednak nasze pytanie określa czas i miejsce akcji, przyjmijmy wariant najbardziej prawdopodobny – przylatują kosmici i zaczynają budować Wielki Kosmiczny Parasol zasłaniający nam Słońce. Odrzucamy medialnie atrakcyjną ideę zerwania Ziemi z więzów słonecznej grawitacji, bo wtedy zapewne z ziemskich więzów zerwałaby się atmosfera. A to już spory problem.

Tak więc kosmici przylatują i chcą zniszczyć ludzkość, ale bez brudzenia sobie rąk. Żeby skutecznie odciąć Ziemię od Słońca, trzeba sprokurować snop cienia o średnicy bez mała trzynastu tysięcy kilometrów. To całkiem dużo. Nasz Księżyc, wielki kawał skały o średnicy 3.5 tys. km, latający sobie ponad 350 tys. km od nas, rzuca stożek całkowitego cienia wystarczający do całkowitego zaćmienia koła o średnicy... 200 km. Albo i -200 km, jeśli jest w perygeum, wtedy mamy zaćmienie obrączkowe i całkiem ciemno się nie robi.

Prawdopodobne więc, że kosmici zaczną budować wielkie lustro. Tak dużą dawkę energii trudno byłoby wszak pochłonąć i gdzieś na boku wypromieniować, a rolę lustra może pełnić np. folia aluminiowa rozpięta na odpowiednio dużym stelażu. Kosmici mają też wystarczająco rozwiniętą technikę, by poradzić sobie z wiatrem słonecznym i utrzymaniem stałej pozycji lustra względem Ziemi. Nie będzie to aż takie proste, bo po pierwsze, trzeba zużywać energię na utrzymanie prędkości kątowej – orbita bliższa słońcu jest "szybsza" – jak i na przeciwdziałanie sile odpychającej wiatru słonecznego.

Tenże wiatr składa się z cząstek pędzących do 400 km/s, nie tak łatwo więc odchylić je i wykorzystać energię kinetyczną do stabilizacji położenia. A siła pchająca byłaby niebagatelna, w odległości 1 jednostki astronomicznej(dystans Ziemia-Słońce) wynosi około 9 niutonów na 1 km2 żagla słonecznego [http://en.wikipedia.org/wiki/Spacecraft_propulsion]. Przyjmijmy dla uproszczenia obliczeń, że kosmiczni złoczyńcy budują lustro w połowie dystansu między Ziemią a Słońcem, czyli ma ono średnicę jakichś 7500 km. Wychodzi ponad 44 miliony kilometrów kwadratowych, 44*10^6, razy kilogram ciągu na każdy km kw., co daje nam odpowiednik potężnej rakiety na paliwo stałe, której ciąg trzeba by jakoś w próżni non-stop równoważyć. No ale weszliśmy w dygresję, niepotrzebnie.

Więc przede wszystkim zrobi się ciemno. W najlepszym wypadku zostanie światło Księżyca, choć i tak odbija on raptem 7% padającego światła. W trochę gorszym wariancie kosmici przylecą, posypią widoczną stronę warstewką sadzy i tyle. W najgorszym cisną Księżycem o Ziemię, ale uznajmy, że im się nie chce. Tak więc w ciągu kilku/kilkunastu tygodni/miesięcy/lat światło słoneczne będzie słabnąć. Nie sposób przewidzieć, co się stanie z klimatem. To już nie będzie ruch skrzydeł motyla, to będzie tornado w Amazonii skutkujące apokalipsą w Teksasie.

Po wiatrach i opadach można się spodziewać wszystkiego najgorszego. Morza raczej nie wzbiorą, chyba że nieuniknione zmiany w cyrkulacji prądów morskich stopią lody Antarktydy/Arktyki. Ale nawet jeśli, to nie na długo. Jedno bowiem wiadomo na pewno – temperatura spadnie i to ostro.

Będzie zimno. Dramatycznie zimno. Za mało mam wiedzy, by oszacować wydajność zjawisk wulkanicznych i przewodnictwo cieplne płaszcza Ziemi, jednak sądzę, że będzie wystarczająco ciepło, by tlen i azot nie skropliły się (cieplej niż -180 C), a jednak zimniej niż gdziekolwiek dotychczas (-82 C, stacja Wostok na Antarktydzie, 21 lipca 1983 [http://www.szkola.net/swiatnauki/?id=3895]). I wydaje mi się, że jedyna możliwość przeżycia to zejście pod ziemię.

Jak głęboko? Trudno powiedzieć. Syberyjska czy alaskijska wieczna zmarzlina sięga kilkuset metrów w głąb ziemi [http://przewodnik.interia.pl/artykul?aid=18656]. Z drugiej strony w wielu miejscach na świecie energia geotermalna kipi – dosłownie – na powierzchni ziemi. W szkole uczy się, że w litosferze temperatura rośnie o 1 st. Celsjusza na każde 33 m głębokości. Czyli spadek temperatury o 100 stopni w dłuższej perspektywie skompensuje dopiero wkopanie się na 3 km. A to wymaga czasu, jeśli pod ziemią ma powstać miasto dla ludzi a nie wyrobisko górnicze.

Musimy mieć bowiem cały czas na uwadze, że mówimy o strategii przeżycia(czyli reprodukcji) grupki ludzi. Jak dużej grupki, postaramy się oszacować w dalszej części. Miliardy mieszkańców planety umrą niestety wkrótce po tym, gdy spalone zostanie ostatnie krzesło, książka czy opona. Zamrożeni na sopel, będą trwać przez setki i tysiące lat, liczne mamuty tezę potwierdzają. Tak samo zginie wszelkie życie roślinne i zwierzęce na lądach, jeśli nie liczyć przetrwalnikowych form grzybów czy innych porostów. Z czasem, gdy lód skuje wszech ocean (nie do dna lecz warstwą grubą, więc wymiana gazowa ustanie), zginie także życie w morzach, z wyjątkiem kilku ekstremofilów przy podmorskich gejzerach – te zresztą nawet nie zauważą różnicy.

Tak więc mamy ideę utworzenia podziemnego miasta. Na pewno jest łatwiejsze do skonstruowania niż stacja załogowa na Marsie czy Księżycu. Przede wszystkim nie ma problemu z powietrzem do oddychania. Nie trzeba go recyklować, choć można, wystarczy czerpać przez rurę z zewnątrz. We współczesnych kopalniach działa to dobrze. Poza tym potrzeba jednak światła, ciepła, ubrania i jedzenia.

Z wszelkiego typu wyrobami przemysłowymi jest problem. Trudno wyobrazić sobie budowę podziemnej rafinerii, huty, fabryki procesorów czy chociażby zakładu zegarmistrzowskiego. A jednak coś takiego w dłuższym okresie musiałoby powstać, żeby utrzymać status cywilizacyjny. Czy też pójść dalej. Ten problem pozostawmy więc mieszkańcom a sami przyjrzyjmy się bardziej podstawowym problemom.

Elektryczność to podstawa. Energia wiatru odpada, nie da się za długo używać wiatraka wystawionego na skrajny mróz. Poza tym siła i samo istnienie wiatrów są niewiadomą. Ogniwa fotoelektryczne odpadają z powodu braku światła. Elektrownie wodne – z powodu braku ciekłej wody na powierzchni. Tak na dobrą sprawę zostają trzy możliwości: energia atomowa, geotermalna, opalanie węglem. Tę trzecią możliwość skreślamy od razu – nie da się planować przeżycia w oparciu o surowiec nieodnawialny, o który będzie coraz trudniej. Trzeba by zbudować towarową kolej podziemną albo przenosić z miejsca na miejsce elektrownię. Stworzyć wydajną, niezawodną wentylację albo filtry i oczyszczalnie spalin. No i węgiel jest na świecie dostępny w dość niewielu miejscach.

Energetyka jądrowa wymaga efektywnego chłodzenia. Choć w naszych warunkach jest uznawana z czystą i bezpieczną, to w warunkach głębokiego podziemia budowa i utrzymanie reaktora byłoby co najmniej problematyczne. Przy niewielkiej awarii zagrożony byłby byt całej populacji. Prawie same zalety ma za to energia geotermalna – jest tania, bezpieczna, czysta i tak dalej. Jest tylko jeden feler, nie jest nazbyt wydajna. Trzy współczesne polskie instalacje geotermalne dają w sumie ok. 30 MWh [http://wiedag.webpark.pl/], co starczy dla... 60 statystycznych mieszkańców kraju [http://www.ure.gov.pl/analiza/ile_zuzywamy_energii.html]. Największa tego typu elektrownia w USA – 500 MWh. Czyli tysiąc osób, większa wioska.

Oczywiście, takie obliczenia to nadużycie, bo wykorzystanie energii byłoby zgoła inne. Zakładając, że woda sama się sama przesączy i będzie jej pod dostatkiem, musimy zapewnić ludności jedzenie. Tak więc trzeba odbudować uproszczony łańcuch pokarmowy, w którym pierwszym ogniwem będą rośliny. Oświetlenie upraw o powierzchni 1000 m2 przez 20 h dziennie wymaga... 175 MWh na rok [http://www.ho.haslo.pl/article.php?id=1754]. Czyli mamy problem. Elektrownia musi być duża i wydajna, a prądu i tak wystarczy ledwo-ledwo.

Wygląda na to, że brak energii słonecznej to duży problem przy produkcji żywości. Sięgnijmy do historii. Amerykański eksperyment "Biosfera 2" [http://www.marssociety.pl/biosfery.html], mający na celu odtworzenie małego, samowystarczającego ekosystemu, polegał na wybudowaniu betonowo-stalowej szklarni o powierzchni 66 tys. m2. Nas interesuje fakt, że 2200 m2 upraw rolnych pozwoliło zaspokoić 80% potrzeb żywieniowych... ósemki uczestników eksperymentu. Przy takiej "obfitości" jedzenia nie ma szans na utrzymanie jakiejkolwiek trzody, menu będzie wegetariańskie i raczej monotonne.

W tym miejscu koncepcja przetrwania ludzkości trochę się sypie. Bo żeby cywilizacja techniczna (warunkująca przeżycie) przetrwała w tejże niewielkiej populacji, potrzebnych byłoby kilkuset płodnych i wykształconych mieszkańców, którzy urodzą zdrowe dzieci, odżywią je odpowiednio i przekażą całą wiedzę potrzebną do życia. Wiedzę rzetelną, bo jeśli drugie pokolenie będzie potrafiło wyłącznie konserwować maszyny, to trzecie nie doczeka już własnego potomstwa. Tymczasem rozwiązanie, które sobie wydumaliśmy, w najlepszym wypadku pozwoli na wegetację kilkunastu osób. Jeśli nic się w międzyczasie nie zepsuje.

Czyli albo wracamy do energetyki jądrowej, produkcji gigawatogodzin i życia na krawędzi, albo od razu owijamy w białe prześcieradło i udajemy niespiesznie w kierunku cmentarza. Ewentualnie przed nastaniem ciemności posyłamy na orbitę geostacjonarną (tam cień nie sięgnie) gigantyczne satelity-elektrownie słoneczne i montujemy na powierzchni instalacje do odbioru energii mikrofalowej. Teoretycznie mogą osiągnąć kilkakilkanaście GW. Ale nikt tego jeszcze nie próbował.

Na zakończenie przydałby się akcent optymistyczny, bo skreślony powyżej obraz zanadto radosny nie jest. Literatura i film odnotowały już na szczęście wiele przypadków uratowania Ziemi przed kosmitami. Można przyjąć, że ci od Wielkiego Parasola umkną w popłochu, gdy ziemianie zaczną im wysyłać falami radiowymi muzykę rockową albo – co jest bardziej na czasie – forwardować oferty przedłużania członków i okazyjne propozycje nabycia generycznych odpowiedników Viagry(TM).

Tymczasem zaś, dopóki Słońce świeci, warto przejść się na spacer, podumać i zapisać, jeśli coś się wyduma.

Adam Cebula

Prawdziwa elektronika, czyli tranzystory

Nasz kurs elektroniki nieuchronnie podąża w kierunku rzeczy coraz bardziej skomplikowanych. Nie ma współczesnej techniki bez tranzystorów. Lampy i tranzystory to, jak już kiedyś pisałem, aktywne elementy. Przyznam się szczerze, że wszelkiego rodzaju podziały (skoro są elementy aktywne, można się spodziewać istnienia nieaktywnych, czyli biernych) są zawsze dla mnie kłopotliwe. Wiedza tego typu przydać się może na salonach, dla przekonania towarzystwa, że masz powody spoglądać na nie z góry, z pozycji specjalisty. Oto i ona. Elementy bierne zwane są także liniowymi. Oznacza to, że włączenie ich do obwodu zmienia przebieg prądu od napięcia wg zależności liniowej typu y=a*x+b. Zwróćmy uwagę, że wykres tej funkcji jest oczywiście linią prostą, z czego bierze się nazwa „elementy liniowe". Elementy aktywne powodują, że zależność prądu od napięcia ma charakter jakiejś bardziej skomplikowanej funkcji, której wykres jest linią krzywą, z czego nazwa „elementy nieliniowe". Jedyny zysk z tych rozważań jest taki, że teraz możemy powiedzieć o elementach sterowanych. W nich mamy dwa obwody, sterujący i sterowany. Prąd i napięcie w obwodzie sterowanym zależy od tego, co się dzieje w obwodzie sterującym. Najczęściej chodzi nam o wzmocnienie sygnału. Tymże będziemy się dalej zajmować.

Dość często błędnie mówi się, że układy wzmacniaczy wzmacniają napięcie sygnału. Otóż: podniesienie napięcia można uzyskać za pomocą transformatora. Nam chodzi o wzmocnienie MOCY sygnału. Jednocześnie trzeba mieć większe napięcie i zazwyczaj większy prąd. Takie zadanie wykonać mogą tylko te elementy „aktywne". Transformator może podnieść napięcie, ale część mocy zamieni w ciepło.

Podręczniki elektroniki bardzo chętnie poświęcają sążniste rozdziały działaniu tranzystora, możemy tam znaleźć dokładne rysunki drogi nośników, opisy, co się dzieje z dziurami i elektronami. Otóż, niestety, sprawa nie jest prosta, a opisy dość często pomijają istotny element który w półprzewodnikach jakby trochę nie istnieje, jest mocno nieintuicyjny, rozkładu pola. I o co chodzi, trudno zrozumieć. Zostawmy w czorta sprawę działania tranzystora, to też się nadaje tylko do opowiadania na salonach. Zajmijmy się tym, co możemy z tranzystorem zrobić i jak to zrobić dobrze.

Najłatwiej wytłumaczyć działanie elementu wzmacniającego na lampie elektronowej. Nim jednak do tego przejdziemy, o urządzeniu pneumonicznym, które ponoć działało. Otóż, jak już kiedyś pisałem, było zapotrzebowanie na głośne gramofony, potrzeba urządzenia dyskoteki dotykała także naszych pradziadków. W czasach, gdy lampy elektronowe były czymś w rodzaju lampy Alladyna (z powodu kiepskiego opanowania techniki próżniowej produkcja ich była po prostu droga), radzono sobie w ten sposób, że igłę odczytującą płyty sprzężono z zaworkiem sterującym przepływem powietrza przez rurę, której wylot znajdował się w tubie. Jak to było skonstruowane detalicznie, nie wiem, ale ponoć drobne ruchy igły powodowały poważne zmiany w przepływie powietrza. To wpadając do tuby, grało z poważną głośnością, ponoć tylko cena wyparła owe dziwne konstrukcje z rynku, bo jakość audycji była doskonała.

Lampa elektronowa działa tak jak ów zaworek, tyle, że steruje przepływem elektronów. A teraz kilka szczegółów. Sterujemy napięciem. W normalnym układzie pracy poprzez elektrodę sterującą zwaną siatką nie płynie prąd „konstrukcyjny", czyli związany z działaniem lampy. Płyną bardzo niewielkie prądy upływu. Prądy „konstrukcyjne" wynikające z pojemności siatki do pozostałych elektrod pojawiają się w zakresie wysokich częstotliwości. Dajmy sobie na razie z tym spokój i załóżmy, że jest tak, że przez siatkę prąd nie płynie.

Napięcie to różnica potencjałów, wobec tego musi być druga elektroda: napięcie sterujące jest przyłożone pomiędzy siatkę i jakąś drugą elektrodę. To jest standardowo katoda, ta sama elektroda, przez którą płynie prąd STEROWANY. To zapewne powoduje, że wszystko się miesza i zrozumienie działania układów z lampami jest trudne.

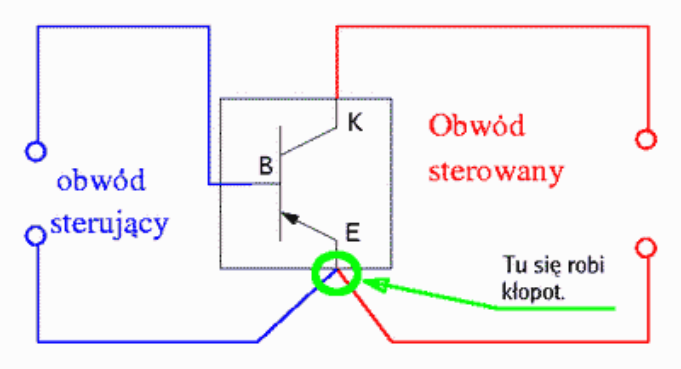

Niestety, to samo spotka nas w tranzystorach. Jeszcze trudniej jest ze względu na to, że rodzajów tranzystorów jest znacznie więcej niż lamp. Tranzystor „zasadniczo" ma trzy elektrody. Trzymajmy się na razie tego, bo wystarczy na długo. W przypadku lamp szybko musielibyśmy dojść do typu zwanego pentodą, zaczynając od triody lub diody, lecz dla tranzystorów wiedza, że mają trzy elektrody, jest wystarczająca. Ma on postać czarnej pastylki, z której wystają trzy druty, blaszki, czasami mamy dwie blaszki lub druty, bo trzecia elektroda podłączona jest do obudowy a całość wygląda na dziwny kapelusz. Tranzystory „naprawdę" zawsze wyglądają bardzo podobnie, to dziś kawałek krzemu, większy lubo mniejszy z podłączonymi drutami, jednak zamknięty w obudowach różniastego kształtu. Aby móc prawidłowo tranzystor podłączyć, musimy znać rozkład jego wyprowadzeń w danej obudowie.

Teraz istotny podział tranzystorów. W tej chwili znajdziesz w sklepach polowe i bipolarne. Bipolarne są „normalne". Polowe tranzystory są sterowane napięciem, bipolarne prądem. To ostatnie stwierdzenie jest trochę uproszczeniem, ale załóżmy, że na razie ta informacja wystarczy. Koncepcja tranzystora polowego jest jeszcze przedwojenna. Został on jednak zbudowany znacznie później, na rynek wszedł w latach siedemdziesiątych XX wieku. Tranzystor bipolarny został zbudowany pod koniec lat czterdziestych. Niestety, w jego przypadku możemy się spotkać z kilkoma technologiami i związanymi z tym mocno odmiennymi własnościami, które trzeba w swojej konstrukcji uwzględnić.

Co robimy z tranzystorem? Sterujemy nim prąd w jednym obwodzie „wyjściowym" za pomocą prądu w obwodzie „wejściowym". Prąd wejściowy otrzymujemy na przykład z anteny albo z mikrofonu. Prąd wyjściowy płynie z zasilacza i może na przykład sterować słuchawkami.

Mielibyśmy już gotową receptę, jak zrobić dopalacz do naszego radia, lecz jest jeden szkopuł: te źródła dają zazwyczaj napięcia i prądy PRZEMIENNE. Tranzystor, także lampa radiowa nie potrafi wzmacniać prądów przemiennych.

Tranzystor, sprawdzany za pomocą omomierza, działa jak dwie złączone do elektrody zwanej bazą diody. Normalnie nie

przewodzi w obwodzie sterowanym, który podłączamy do elektrod zwanych emiter i kolektor. Mówimy tu o tranzystorze bipolarnym, bo w polowym nazywają źródło i dren. W zależności od typu przewodzenia, o którym zapewne słyszałeś w szkole, n-p-n lub p-n-p, kierunek diod przyłączenia jest inny. W typie n-p-n, aby popłynął prąd trzeba przyłączyć plus (+) na bazę i minus na kolektor lub emiter. W p-n-p na odwrót.

Na tym etapie wiedzy ważne jest, jak rozpoznać tranzystor na schemacie i stwierdzić, która z elektrod jest do czego podłączona.

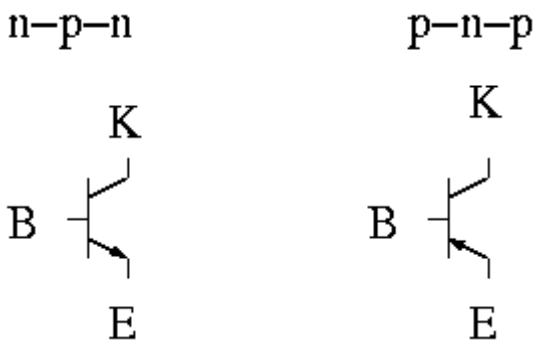

Rysunek pokazuje symbol tranzystora n-p-n i p-n-p. Jak widać, różnią się tylko kierunkiem strzałki elektrody symbolizującej emiter i oznaczonej na rysunku literką E. Kolektor to elektroda nad emiterem oznaczona K i baza z przeciwnej strony oznaczona literką B.

Elektrody zwane emiter i kolektor do pewnego stopnia są „zamienne". Różnią się jednak konstrukcją „w krzemie". W pewnych warunkach tak zwana inwersyjna praca tranzystora (dla minimalizacji tak zwanych zerowych prądów) jest korzystna. Jednak „normalnie" nie możemy pomylić elektrod. Średnio wyszkolony „radiota" zna na pamięć najmniej kilkanaście typów obudów i rozmieszczenie wyprowadzeń. Co jednak zrobić, jak zorientować się w tym, czym są druciki wychodzące z czarnej plastykowej pastylki, gdy nie wiemy nic o topografii elektrod? Która jest która, najlepiej zorientować się z kart katalogowych. Możemy je „wygooglać" wpisując typ tranzystora w wyszukiwarkę. Elektrody tranzystora możemy także rozpoznać w układzie próbnym albo włączając w gniazdo do pomiaru współczynnika „beta" w uniwersalnych miernikach.

Początkujący elektronicy czasami zadają nieprecyzyjne pytanie o „wzmocnienie" tranzystora i zazwyczaj chodzi o ten współczynnik „beta". Najbardziej z grubsza możemy go określić jako stosunek prądu w obwodzie sterowanym do prądu w obwodzie sterującym. Wynosi on od kilku do kilkuset.

Rysunek kolejny pokazuje schemat układu, w którym można zmierzyć współczynnik beta tranzystora n-p-n. Dla uprosz-

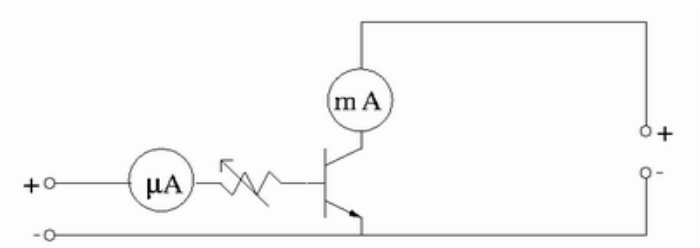

czenia w obwodzie bazy umieściłem szeregowy opornik regulowany, dla zaznaczenia, że możemy zmieniać prąd bazy. W rzeczywistości w takich układach zdecydowanie mądrzej i wygodniej stosować tak zwany układ potencjometryczny. Niestety, źle on robi na wyobraźnię.

Sposób pomiaru „bety" niesie wiedzę zasadniczą o działaniu tranzystorów: prąd w obwodzie bazy „odtyka" tranzystor i wywołuje w obwodzie emiter-kolektor przepływ prądu „beta razy" większego. Aby tranzystor zadziałał, łączymy go zależnie od typu dla p-n-p minus do kolektora i plus do emitera, i na odwrót dla typu n-p-n plus do kolektora i minus do emitera. Aby tranzystor przewodził w p-n-p, na bazę podajemy napięcie ujemne w stosunku do emitera, i dla typu n-p-n odwrotnie, czyli napięcie dodatnie. Jeśli będę rysował praktyczne schematy, to zawsze dorysuję gdzie mamy plus, gdzie minus.

W typowych tranzystorach małej mocy w obwodzie bazy płyną prądy wielkości mikroamperów i dlatego jako miernika użyjemy mikroamperomierza, w obwodzie kolektora płyną miliampery i dlatego użyjemy miernika prądu ustawionego na zakres miliamperów. Stosunek wskazań tych dwu mierników (ale uwaga: w tych samych jednostkach, a więc trzeba przeliczyć mikroampery na miliampery, albo na odwrót!) daje nam współczynnik beta.

Jeśli wstawimy w miejsce miliamperomierza diodę świecącą lub jakiś inny element wykonawczy, to mamy wstęp do wykonania czegoś użytecznego, nie tylko układu pomiarowego. Jak jednak wzmacniać PRZEMIENNE napięcie uzyskane na przykład z mikrofonu?

Do wykonania tego zadania przysłużą się elementy bierne. Idea jest taka: dodamy do prądu przemiennego składową stałą, która będzie dość duża, żeby w obwodzie sterowanym płynął prąd w jednym kierunku. Zmienny, ale nie przemienny. Idea ta może się zrealizować „sama" w przypadku układu z mikrofonem węglowym, który wymaga właśnie zasilania prądem stałym. Kolejny schemat:

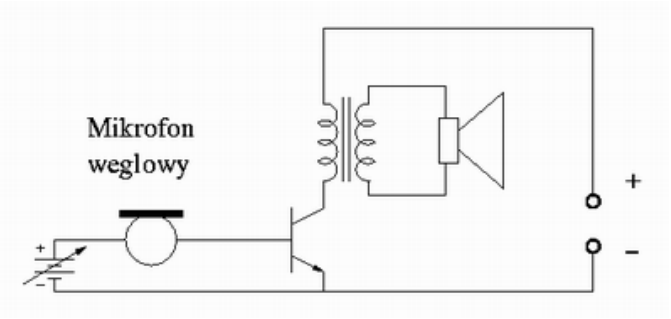

pokazuje taką sztuczkę. Dodatkowe napięcie pobieramy z regulowanego źródła napięcia. Trzeba je ustawić tak, żeby poprzez tranzystor nie popłynął niepotrzebnie wielki prąd, powodujący nie tylko nagrzanie się go, ale także nasycenie transformatora w obwodzie wyjściowym. Zostawmy w spokoju pytanie, co to jest nasycenie transformatora.

Przyjrzyjmy się sztuczce w obwodzie sterowanym, wyjściowym. Widoczny na schemacie głośnik jest zasilany prądem przemiennym, dzięki właśnie transformatorowi. Mamy więc sposób, żeby wydzielić z prądu zmiennego tylko składową zmienną. Jest to bardzo kosztowna obecnie metoda, ale chyba dość poglądowa: uzwojenia są sprzęgnięte poprzez pole magnetyczne, które z zasady nie przeniesie stałej części przepływającego przez uzwojenia prądu.

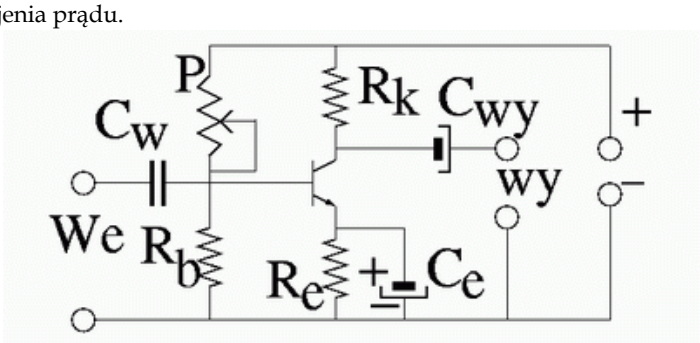

Na kolejnym schemacie mamy realny stosowany w technice wzmacniacz tranzystorowy. Możemy go zastosować jako osobne urządzenie, ale zazwyczaj takich stopni jest najmniej dwa lub trzy. W specjalistycznej literaturze znajdziemy „sprytniejsze" konstrukcje, ale tę da się chyba zrozumieć. A więc od początku. Sygnał jest podawany na końcówki oznaczone „We". Kondensator oznaczony „Cw" oddziela składową stałą, jaka płynie w obwodzie wejściowym dzięki dzielnikowi napięcia utworzonego z potencjometru montażowego „P" i opornika „Rb" . Dlaczego tak to skomplikowane? Układ ten spełnia rolę stabilizacji termicznej. Jest to coś, co zapobiega zmianom tak zwanego punktu pracy. Co to jest ów punkt i do czego służy stabilizacja termiczne, wyjaśnię trochę dalej. Bez opornika Rb też zadziała, tylko wartość potencjometru trzeba dobrać znacznie większą.

Podobnie dodatkowym układem który jest zasadniczym elementem stabilizacji termicznej jest kondensator Ce i opornik Re. Bez nich także nasze ustrojstwo ruszy, ale z tymi elementami jest wygodniej. Tak więc zajmijmy się P i Cw. W poprzednim układzie źródło sygnału było podłączone w szereg do układu, wytwarzającego składową stałą prądu płynącego poprzez bazę, tutaj jest podłączone równolegle. Na skutek tego część sygnału popłynie poprzez potencjometr i zamieni się w ciepło. Niestety, to czysta strata, ale i na szczęście jest to niewielka, „nie wadząca" część, a dzięki takiej sztuczce układ się uprościł.

Do zacisków „wy" podłączamy np słuchawki. Tu znowu część wzmocnionego sygnału płynie poprzez opornik Rk i zamienia się w ciepło, ale choć tu straty wynoszą połowę, także nie musimy się tym przejmować. Czy to się da zrobić? Tak. Dla wartości napięcia zasilania ok. 12 V Rk damy 1,2 kiloomy, potencjometr P dla tranzystorów typu BC 547, BC 107 jakie tu można zastosować, dobierzemy w granicach 200 kiloomów. Opornik Rk wybieramy w zależności od tego, jaki prąd kolektora będzie przez niego płynął. Prąd kolektora zaś nie może być mniejszy od prądu wywołanego przez składową zmienną przemnożoną przez dwa. Oznacza to, że napięcie na kolektorze tranzystora powinno wynosić połowę napięcia zasilania. Tak naprawdę to jest podstawa regulacji, jakich dokonamy przy uruchamianiu stopnia za pomocą potencjometru P. Łatwo policzyć, że dla prądu ok. 10 mA, wartość opornika Rk wyniesie wobec tego ok. 6 kiloomów. Wartość Re na tym etapie jest nieco „z kapelusza". Musi być taka, żeby spadek napięcia na nim wyniósł ok. 1 V a więc przy 10 mA prądu płynącego w obwodzie kolektor – emiter 100 omów. Kondensator Cw powinien mieć pojemność ok. 1 mikrofarada, Cwy ok. 100 mikrofaradów przy założeniu, że wzmacniacz będzie zasilał słuchawki. Ich wartość można oszacować na podstawie wielkości stałych czasowych, jak w poprzednim odcinku, albo zawady, czyli biernego oporu stawianego prądowi przemiennemu. Wartość kondensatora Ce jest zazwyczaj wybierana tak, żeby „nie czuła" go składowa zmienna prądu kolektor – emiter. W naszym wypadku pewnie ok. 50 mikrofaradów wystarczy. Układy elektroniczne znoszą dość znaczne odchyłki elementów od wartości nominalnej.

Co jest krytyczne? Ustawienie potencjometru montażowego P. Aby właściwie go wyregulować, potrzebujemy woltomierza. Bez woltomierza nie ma co zaczynać zabawy. Za jego pomocą znajdujemy takie położenie potencjometru, żeby wartość napięcia na kolektorze tranzystora wynosiła połowę napięcia zasilania. Jeśli jest to nominalne 12V, to na kolektorze powinno być 6V. To jest nasz punkt pracy. Możemy się przekonać, że bez układów stabilizacji, których działanie być może wyjaśnimy w dalszych odcinkach (na pewno nie obiecuję, ale mam zamiar), to napięcie będzie się wyraźnie zmieniało ze zmianami temperatury. Dlaczego 6V a właściwie dlaczego połowa napięcia zasilania? Bo wówczas możemy, zatykając tranzystor, zwiększyć napięcie na kolektorze do 12 woltów i zwiększając prąd kolektora zmniejszyć je od 6 do zera. Mniej więcej do zera i do 12 woltów. W rzeczywistości amplituda jest mniejsza. Ale chyba widać co dalej: kondensator wyjściowy odetnie składową stałą i na wyjściu otrzymamy przebieg przemienny o amplitudzie 6 woltów. Będzie on odwzorowywał przebieg przyłożony na wejście (zaciski we) tylko „przewrócony do góry nogami". Zauważmy, że położenie do kondensatora Cw napięcia dodatniego spowoduje odetkanie tranzystora i w rezultacie na zaciskach wy otrzymamy „minus". Odwrotnie przyłożenie minusa zablokuje tranzystor i na wy otrzymamy napięcie dodatnie. No i to by był nasz pierwszy wzmacniacz. Nie polecam jego wykonania. Niebawem mam zamiar opisać coś prostszego i praktyczniejszego.

Adam Cebula

Coś lżejszego

Ponieważ katuję Cię, Kochany Czytelniku, od jakiegoś czasu wielce specjalistycznymi i elektrycznymi tekstami, które są strawne tylko dla entuzjastów, pomyślałem o czymś lżejszym. Tak zwana forma łatwa bywa niestety dość niebezpieczna i trudna w pisaniu. Owa uwaga nie jest bynajmniej tylko próbą zawczasu tłumaczenia się, że miast czegoś konkretnego wyszło bla-bla. No, niestety, sztuką jest zainteresowanie publiczności i nawet w cyrku, konferansjer, który pojawia się pomiędzy budzącą grozę tresurą lwów i mrożącą krew w żyłach gimnastyką na trapezie, musi się wykazać, choć tylko ma do powiedzenia swoją kwestię.

Może się okazać, że łatwiej znaleźć kogoś na miejsce zjedzonego tresera lub spadłego gimnastyka, niż na miejsce konferansjera.

Tak się składa, że pisanie o elektryce, elektronice, jest dla mnie dość łatwe. Z dość banalnej przyczyny: mam to w głowie poukładane, czasami trzeba coś sprawdzić, ale nie wymyślać od początku. Istnieją gotowe pokłady, chyba nie do wyczerpania: no właśnie czego? Najbardziej pasuje mi tu słówko „materiałów". Oznacza to, że jest jakaś baza informacji, które dają się w prosty sposób zamienić na tekst, który wygląda na dość mądry. Paradoksalnie może łatwiej pisze się o sprawach specjalistycznych, niż „ogólnie".

Byłby ów tekst nacelowany na dział publicystyki, gdyby nie to, że produktem naukowca, nauki w ogóle jest „bublikacja". A nawet nie dokładnie tak: naukowcy to współczesna wersja szamana. Pisałem już kiedyś o tym złośliwie. Jest to specjalny rodzaj zajęcia, z którego podatnik lub osobnik, który przynosi dary do chatki czarnoksiężnika, nic nie ma, albo prawie nic, zaś zawodem mieszkańca owego szałasu jest przekonywanie społeczności, że on właśnie jest bardzo potrzebny. Tak to mniej więcej w kategoriach gospodarczych wygląda. Dopóki ludność wierzy w słuszność owej działalności, dotąd szaman dobrze funkcjonuje w liberalnym pojęciu gospodarki.

Powyższy sąd może się wydać skrajnym. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że badania naukowe są absolutnie niezbędne. Niemal wszystko, co nas otacza, to wynik owych badań. Trudno właściwie znaleźć dziedzinę, która nie podlegałaby jakieś naukowej ingerencji. Przemysłowa wytwórczość w dziedzinie informatyki dziś chyba prawie cały obrót opiera na postępie technicznym. To dzięki temu, że co pół roku mamy coraz mocniejsze maszyny, na których można dokładnie to samo, co na tych słabszych, choć w dziedzinie rozrywki informatycznej mamy postęp, wymieniamy owe maszyny. Dzięki temu, że informatycy opracowują coraz to nowe wersje oprogramowania, które pożera coraz to więcej zasobów, jest jakiś ruch w branży. Można powiedzieć, że ogromna masa ludzi żyje dziś tylko i wyłącznie z dokonywania postępu.

Drobiazg: ów postęp dla przeciętnego człowieka nie ma dziś najmniejszego znaczenia. Owszem tylko tyle, że pogra sobie w najnowszą wersję gry komputerowej, że obejrzy sobie głupi film. Jednak owe funkcje są takie, że trudno o nich powiedzieć z całą pewnością, że pomagają w życiu. Zważ, Czytelniku, że programista raczej nie wygląda na hochsztaplera, który sprzedaje buteleczką ze łzami Świętej Weroniki, czy błoto z kopytek osiołka, na którym Święta Rodzina przed Herodem uciekała. (A w jakiej Xiędze i kto owymi cudownościami handlował?). Programista jest zawodem bardzo konkretnym i bardzo poważnym. Aliści (jak lubiał mawiać Waldorf) działa w sumie jak szaman. Produkuje dziwne rzeczy, które są potrzebne „w zasadzie", a my znosimy mu dary i grzecznie stawiamy przed chatką.

Nikt na dodatek, łącznie ze mną, nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z rzeczywistym postępem. Jeśli bowiem nasze pierwsze komputery były taktowane szalonymi zegarami, wykonującymi 33 miliony tyknięć na sekundę, to dziś na przykład można mieć 3 miliardy. Jeśli nawet do niczego to dziś się nie przydaje (mówię to „do niczego" ze sporą dozą zamierzonej złośliwości), to jest rzeczywistą możliwością, która w przyszłości może przynieść określone zyski.

Podobieństwa z adeptami Wiedzy Tajemnej i współczesną informatyką są jeszcze głębsze niż może nam się wydawać. Tu wzorem języków programowania, zasygnalizuję początek wielkiej dygresji . Niestety, współczesne poznanie wymaga dość skomplikowanych konstrukcji logicznych. Przykro mi, że zadaję gwałt i jasności wywodu, i pisarskim tradycjom, lecz musimy się zanurzyć w odmętach zagadnień odrębnych i obejrzeć przeróżne światy podziemne, by z nabytą wiedzą, pewnie powrócić w to miejsce i pewnie wyciągnąć (niewątpliwie) śmiałe wnioski. Otóż, jednym z atrybutów alchemika czy czarnoksiężnika, jest oczywiście tajemna księga. Opasłe tomisko. Jej znajomość daje władzę. W istocie owe księgi nie są tylko wytworem dziewiętnastowiecznej ikonografii. Na fali ówczesnej kompletnej szajby na punkcie średniowiecza, ukształtowała większość naszych wyobrażeń o tym okresie, które to ikonografia musiała zaspokoić. Oczywiście romantyczne wyobrażenia o alchemikach i po sukcesie historii o Doktorze Faustusie musiała przedstawiać magów z atrybutami wiedzy, a więc wielkimi bardzo mądrymi i bardzo trudnymi księgami. Te księgi bywały pisane i do dnia dzisiejszego powstają. Możemy je znaleźć w bibliotekach, gromadzących bardzo stare piśmidła. No więc, alchemia, magia, wytworzyła i wytwarza swój system prawd, które adepci owych umiejętności nabyć muszą. O ich istnieniu można się łatwo przekonać wrzucając w google choćby hasło „numerologia". Nikt chyba nie ma wątpliwości, że astrologia jest wiedzą... No właśnie, ciśnie się na usta słówko „sformalizowaną". Częścią jej był właśnie całkiem sprawny i skuteczniejszy w sumie od kopernikańskiego, system ptolemejski – zbiór prawd i metod do przewidywania tego, co się na niebie zdarzy.

Konia z rzędem kto sprawę rozsądzi, jaką naprawdę rolę odegrał twórca i jego dzieło w dziejach nauki. Czy ów skomplikowany system kółeczek, kręcących się w skomplikowany sposób, w którym Ziemia tryumfowała w centrum wszechświata i który pozwalał przewidzieć astronomiczne zdarzenia, a więc był ewidentnym dowodem na skuteczność metod obserwacyjnych, zwłaszcza wobec kreślących na niebie szalone planet, czy ten zupełnie błędny system pomógł, czy przeszkodził rozwojowi?

Otóż, wbrew temu, co się w księgach bardzo chętnie pisze, nie dominacja Kościoła była przyczyną trwającej wiele wieków, od Ptolemeusza do Kopernika, bryndzy. Dziś możemy dość precyzyjnie wskazać przyczynę: z braku fizyki, która wyodrębniła się jako nauka dopiero gdzieś za czasów Galileusza i Newtona, nie było kryterium fizycznej poprawności modelu.

Obawiam się, że użyłem tu rodzaju zaklęcia. Cóż „fizyczność modelu" oznacza? Ano dziś wiemy, że istnieją prawa fizyczne. To raz. Dwa, zazwyczaj zjawiska opisujemy nie słowami, lecz matematycznymi równaniami. Te równania „są obrazem" fizycznych procesów. Z tego ostatniego zdania też powinienem się długo tłumaczyć. W istocie chodzi o to, że założyliśmy pewien

przebieg zdarzeń, zgodny z fizyczną wiedzą, i opisujemy je za pomocą równań, które do opisu tych zdarzeń są stosowane. Przeciwieństwem są modele „empiryczne”.

Oczywiście "w pewnym sensie" przeciwieństwem. W modelu empirycznym zazwyczaj nie umiemy przypisać przebiegi zdarzeń zjawiskom fizycznym. Czasami posługujemy się w nim jakimiś nieistniejącymi bytami, na przykład, tak by się stało, gdybyśmy użyli cieplika do opisu zjawisk w termodynamice. Obecnie, dla spokoju ducha, najczęściej pisze się po prostu równania. Nikt specjalnie się nie interesuje, co znaczą w nich poszczególne wielkości. Wiemy dobrze, że za pomocą wielomianu odpowiedniego stopnia da się wymodelować prawie każdą krzywą, jaką otrzymało się z eksperymentu. Z tego bierze się nazwa metody: model empiryczny. Wykonujemy dokładną obserwację zjawiska, notujemy wielkości i przystosowujemy do otrzymanego przebiegu odpowiedni wielomian.

Model ptolemejski był empiryczny. Przypasowano do obserwacji pewne geometryczne procedury i dały one dobre wyniki. Miał on nawet pewną bardzo poważną przewagę nad dziś budowanymi modelami empirycznymi, sprawdzał się bardzo dobrze poza zakresem zmiennej, do jakiej był "pasowany". Tą zmienną jest oczywiście czas. Współcześnie, gdy na przykład chcemy przewidzieć rozkład termicznych naprężeń w jakimś skomplikowanym przedmiocie, po prostu podgrzewa się go, mierzy naprężenia i zapisuje. Można całą robotę zostawić w formie tabelki. Jeśli jednak ktoś będzie potrzebował wartości pośredniej pomiędzy temperaturami, dla których dokonywano pomiarów, musi wykonać jakąś sztuczkę. Gdy znajdziemy na przykład ów wielomian pasujący do wyników, bardzo prawdopodobne, że podstawiając do niego wartość temperatury, otrzyma z bardzo dobrą dokładnością wartość naprężenia.

Jednak jest również bardzo prawdopodobne, że gdy podstawi do tego wielomianu wartość, która wykracza poza zakres, jaki został zmierzony w eksperymencie, dostanie totalną bzdurę. Tymczasem model ptolemejski miał tę cudowną własność, że mimo iż zmienna czyli czas ciągle oddalał się od wartości, w jakich dokonano przybliżenia, bo budowa modelu i zaopatrywanie go w kolejne kółeczka tym była, dawał dobre wyniki.

O tym, że model jest fałszywy, wiemy dziś, bo wiemy, że łamał prawa dynamiki. Ale za czasów i Ptolemeusza i Kopernika jeszcze nikt nie wiedział, że takowe są i jak wyglądają. Można więc spokojnie uznać, że system ptolemejski był tryumfem zmysłu obserwacji i namacalnym dowodem na to, że człowieka stać na rozpoznanie praw rządzących ruchami planet. Był, niestety, tak dobry, że przez kilka stuleci nie trzeba było lepszego.

W tym miejscu dokonam kolejnej wolty. Oto udało nam się wyjaśnić pewną kwestię i do pewnego stopnia postawić na głowie to, czego nauczono nas w szkołach. Uprościliśmy naszą wiedzę. O ile bowiem wszelka rewolucja, choćby kopernikańska, zakłada nadzwyczajne wydarzenia, to nasz model w którym akceptujemy Ptolemeusza i traktujemy Kopernika, jako naturalną kontynuację jest naturalniejszy, jest prostszy. Dajmy jednak spokój temu, czy i co z Kopernikiem i Ptolemeuszem. A więc dokonaliśmy pewnego odkrycia, którym podejrzewam, spokojnie można się pochwalić na salonach, zwłaszcza że nasz wywód oparliśmy o takie niesamowitości jak wielomiany, oraz użyliśmy trudnych słówek jak model empiryczny, udowadniając przy okazji, że faktycznie, za dość często używaną zbitką słowną kryje się treść, warto powiedzieć „nietrywialna". Co więcej, mimo ironii, nasz wywód wydaje się prawdziwy. Jest więc na swój sposób naukowy.

Naukowość zobowiązuje. Naukowe jest ważne. Zakończmy jednak przydługą dygresję i powróćmy do owej chybotliwej tezy o związkach informatyki z alchemią i astrologią, wszelkimi wiedzami tajemnymi.

Otóż tworzono wiedzę i spisywano ją w księgach. Ta wiedza, jak system ptolemejski, bywała skomplikowana i jednocześnie będąc w sensie któryśmy pracowicie omówili fałszywą, była użyteczna. Podlegała ona także weryfikacji. Adept czarnoksięstwa z pozoru mógł głosić cokolwiek, ale cokolwiek głosił, musiało podlegać przynajmniej w jakiejś części, choćby w terminologii, temu, co opowiadali inni. Musiało także szanować przynajmniej częściowo prawa logiki. Numerologia na dodatek wymagała znajomości i zgodności z arytmetyką. Tak więc owe Xięgi musiały przestrzegać zasad pewnego systemu, w ramach którego były one tworzone. Także dziś, autor fantasy, nie może pisać zupełnie czegokolwiek (choć często wydaje mu się, że może), musi się obracać w ramach pewnego, jak najbardziej stworzonego przez siebie SYSTEMU.

Można mi wierzyć lub nie, ale takimi bytami wywołanymi z nicości są języki programowania. O ile sprzęt, czyli system rozkazów procesora, jest czymś bardzo konkretnym i fizycznym, to języki programowania wysokiego poziomu są czymś mocno wymyślonym. Oczywiście, że bezsensowne serie instrukcji są bezsensowne, lecz rzecz w tym, że język wysokiego poziomu jest złożony z serii instrukcji procesorowych i rozkazy na przykład C++ można było wymyślić na szereg całkiem innych sposobów, nawet bezsensownie. Oczywiście, że system rozkazów podlega ograniczeniu wynikającemu i z praw logiki, i z otrzymanego od inżynierów systemu rozkazów procesora. Jest jednak systemem jednym z możliwych ,,wywołańcem'' z niebytu. Można wywołać go na jeszcze wiele sposobów.

Można powiedzieć, że pomiędzy księgami alchemicznymi i informatycznymi jest zasadnicza różnica: pierwsze przepisy nie działały, algorytmy działają. Owszem, jednak system wiedzy alchemicznej, podlegając właśnie także logice, był na swój sposób sprawdzalny, choćby w ten sposób, że jeden alchemik przed drugim mógł się skompromitować na przykład nieznajomością terminologii. Pełnił więc określoną funkcję społeczną polegającą na weryfikacji. W przypadku informatyki, jak najbardziej funkcjonuje "dobre wychowanie". Spróbuj napisać program z kilkoma instrukcjami goto, bez funkcji, ale typu ,,spagetti'' a zostaniesz okrzyknięty lamerem, choćby twe dzieło chodziło po skompilowaniu jak złoto.

Aby się dostać do klanu owych szamanów, którym za oprogramowanie przed chatki zanosimy garnce ze zbożem, trzeba opanować nie tylko wiedzę ,,bezpośrednią'' ale także przejść ,,kurs dobrego wychowania'', opanować trochę zaklęć. Od razu wyjaśniam, że to, o czym mówię, czytelność kodu, jest absolutnie niezbędna w pracy zespołowej. Zupełnie niezbędne do efektywnej pracy jest także poznanie ,,bytów niekoniecznych'' wszelkiej maści funkcji, dzięki którym rozkaz zapisania wyniku operacji, który jest bardzo skomplikowaną ze względu na obsługę sprzętu, konieczność zastosowania właściwego formatu, sprowadza się do linijki „plikWy<<wynik<<endl;”. Jeśli mam być szczery, o wiele bardziej bliskie szamaństwu wydają mi się wszelkiego rodzaju nauki społeczne, takie które na swój użytek określam mianem ,,nieistniejących''.

Zostawmy na chwilę jednak wieszanie psów na różnych psychologiach, lingwistykach matematycznych. Sformułujmy pewną złośliwą tezę, co do funkcjonowania naukowca i szamana w społeczeństwie. Otóż na początku stwierdziłem, że chodzi o to, żeby przekonać społeczeństwo, że warto składać dary. Społeczeństwo zaś, rozglądając się wokół, może z satysfakcją stwierdzić, że szamani ostatnio, od jakiś dwustu lat, funkcjonują całkiem nieźle. Dlaczego by więc mieli im nie ufać?

Z banalnej przyczyny, że gdy się przyglądać każdemu z osobna, to wkładu w wiek pary i elektryczności, elektroniki optyki, informatyki i satelitów, zwyczajnie nie widać. Jak się przyjrzeć, to widać wciskanie kitu. Czasami można boki zrywać,

gdy się znajdzie pracę pt "dzielność konia pociągowego śląskiego". Niestety, prawdziwego tytułu nie pamiętam, ale brzmiało to jeszcze pyszniej i chyba było ubarwione jakąś łacińską nazwą.

Za żadne skarby nie da się społeczeństwu wytłumaczyć, po kiego czorta hodować coraz to bardziej monstrualne zderzacze cząstek. Ciekawe w tym kontekście wydaje się, że stosunkowo łatwo znaleźć poparcie dla coraz to większych teleskopów. Dlaczego? Czy aby nie z tej przyczyny, że ich działanie i zastosowanie jest dla szerokiej publiczności zrozumiałe, podczas gdy zderzacze cząstek to już całkiem czarna magia? Teza wcale nie nowa, wszelako wynika z niej inna, nie wiem czy kiedykolwiek wypowiedziana: że trzeba zrobić ludność w bambuko. Trzeba zrobić tak samo, jak to robili szamani.

Całkiem niedawno na ,,klubowym'' spotkaniu w kawiarni toczyła się dyskusja na temat sensowności przeprowadzenia bardzo skomplikowanej operacji rozdzielenia sióstr syjamskich. Spór miał zasadę, że przecież za te pieniądze można było uratować życie wielu innym ludziom. Działanie bezsensowne i irracjonalne. Ludzie wszelako zawsze tak działają. Próbowałem podrzucić pewien klucz do rozwiązania owej zagadki: przepadła kultura spartańska. No więc nie przepadła bo choćby ,,lakoniczne zdania'' są jej spuścizną. Ale przepadła w części zasad kierowania społeczeństwem według bardzo surowych zasad. Społeczeństwa wysoko rozwinięte odznaczają się wysoką spolegliwością, w społeczeństwach wysoko rozwiniętych można trafić do kicia za zabicie kota. Można nawet w USA, chyba jedynym kraju z wysoko rozwiniętych, gdzie obowiązuje jeszcze kara śmierci, ale właśnie niektórzy twierdzą, że nie jest to społeczeństwo wysoko rozwinięte. Zarówno sami Amerykanie biadają, a Europejczycy powtarzają, że tak zwana przodująca nauka jest tam budowana dzięki prawie wyłącznie importowanym naukowcom. Wskazuje się, że ichniejsi nobliści są w istocie produktem europejskim. Zostawmy sprawę przodującej nauki amerykańskiej (zapomnieliśmy już o przodującej nauce radzieckiej?). Jeśli spojrzymy na mapę świata i zaczniemy szukać kraju, gdzie za zdradę małżeńską karzą kamienowaniem, nasz paluch wyląduje w jakimś biednym kraju. Zdecydowanie biedniejszym od Polski. Jeśli poszukamy kraju, w którym za kradzież mogą urżnąć łapę, może to być jakiś kraj na nafcie, gdzie niczego oprócz nafty się nie wytwarza. Jeśli nawet znajdziemy tam bardzo bogatych szejków naftowych, to ich bogactwo jest dość przypadkowe i, powiedzmy sobie, nie mają oni nawet proporcjonalnego do swych pieniędzy znaczenia. Jeśli poszukamy kraju, gdzie istnieje indeks zakazanych książek i cenzura prewencyjna, to także będzie to kraj biedniejszy od Polski. Od razu dodam, że zwolennicy ,,twardej ręki'' zaraz podadzą wiele kontrprzykładów, ale nie chodzi mi tu o to, żeby dyskutować, ale by się pochylić i coś zobaczyć, a żeby zobaczyć, trzeba chcieć to zobaczyć. Przeciętnie, tak właśnie jest.

Zapewne altruistyczne zachowania przekładają się na konstrukcje systemu więzi wewnątrz społeczeństwa. Praktyka wielu tysięcy lat pokazuje, że ów system nie może być dowolny, nie może także być zbyt prosty. Społeczeństwo można spostrzegać jako bardzo skomplikowaną maszynerię. Wymaga ona wielu czujników, regulatorów i zaworów bezpieczeństwa, żeby nie wyleciała w powietrze, jak pierwsze maszyny parowe. Jeśli popatrzymy na takie durnowate konstrukcje, jak właśnie owa maszyna parowa, to znajdziemy tam szereg elementów, których znaczenia i działania nie domyślimy się, jak na przykład system rurek, przez które przebiegają spaliny, których istnienia zazwyczaj nie domyślają się nawet nauczyciele nauczający o regulatorze Watta. Są specjalne grafitowe smarownice, podajniki. Bez nich maszyna zadziała, nawet długo popracuje, ale gorzej. A w procesie ewolucji ledwie procentowa, a nawet mniejsza różnica w sprawności wystarcza, by nastąpiła eliminacja jakiegoś gatunku czy rozwiązania.

Jeśli sięgniemy po przykłady jeszcze bardziej bezsensownych działań ludzkości, otrzymamy jeszcze wyraźniejsze wyniki: sztuka. O ile zdobienie przedmiotów codziennego użytku występuje we wszystkich kulturach i plemionach na świecie, to tak zwana sztuka wysoka, zwłaszcza coś takiego jak muzyka poważna, jest domeną właściwie kilku krajów. Jeśli zaczniemy szukać miejsc na kuli ziemskiej, gdzie jakieś 150 lat temu kształciło się muzyków zdolnych grać w bardzo specyficznym zespole zwanym orkiestrą symfoniczną, gdzie rozwijano bardzo specyficzny gatunek zwany muzyką symfoniczną: właściwie tylko Europa. Nawet w USA był to produkt bardzo egzotyczny.

Utrzymywanie kilkudziesięciu, często kapryśnych gości tylko po to, żeby wykonywali swoje pitu-pitu i to gdy rzecz się dzieje zwłaszcza po I wojnie światowej, diabelnie drażniące ucho, zrozumiałe dla wąskiej grupy fascynatów, albo niezrozumiałe dla nikogo, gromadzące tylko snobów, wydaje się czymś durniejszym niż przewidują wszelkie ustawy. O ile z przeprowadzenia dość absurdalnej operacji rozdzielenia sióstr syjamskich płyną konkretne zyski dla ludzkości w postaci doświadczeń lekarzy, to w przypadku muzyki współczesnej, przykrość słuchania dla publiczności, dziura w budżecie kulturalnym, więc brak pieniędzy na podręczniki i inne nieszczęścia.

A jednak ustrój, który bardzo wyraźnie odciął się od zdegenerowanej kultury burżuazyjnej, który jednocześnie pragmatycznie walił wielką kasę na rakiety międzykontynentalne, przepadł jak złe widmo. Nie ma.

Co więcej, w naszym otoczeniu mamy ślady działalności kompletnie bezsensownej, nakierowanej tylko na zachowanie pewnych zasad, które są zupełnie z punktu widzenia racjonalnego widzenia świata niewytłumaczalne. Są one tak powszechne, że aż dziw, że nikt się nad nimi nie zastanawia. Ale niekoniecznie dziw, w przypadku przykładów, które chcę właśnie zaprezentować, bo istotą ich (przykładów) jest właśnie to, że tego, czegoś nie widać, lub nie bardzo widać. Jaką rolę pełnią ozdoby? Oczywiście, świadczą o zamożności właściciela tego, co zdobią. Czy aby na pewno? Weźmy sobie sztandarowy pomnik (w mojej okolicy) próżności mieszczaństwa. Ratusz na wrockowym rynku. Oczywiście, że chodzi o to, żeby kupiec, który tu zawędrował, doznał olśnienia bogactwem miasta. Żeby zyskał pewność, że skoro stać ich na takie zbytki, to mają kupę pieniędzy. Prawda?

Tu dygresja o tak zwanych naukowych metodach. Oczekujemy, że są niezwykłe, nadzwyczaj niecodzienne. Ale wystarczy, jeśli są niewątpliwe, jednoznaczne. W wieku dziewiętnastym przełomem w starożytnej historii było wysłanie do Egiptu rysownika, który wykonał staranną... co? Dokumentację ruin. Była to dokumentacja rysunkowa, ale jednak dokumentacja, i co ciekawe, bardzo wiarygodna, choć rysownik mógł narysować, co mu się spodobało. Wiele nie trzeba było czekać, gdy się pojawiła metoda nadzwyczaj prosta w dzisiejszych czasach, ale wówczas ludzi fascynująca, czyli fotografia. Ot, banał, a jednak gdy mamy zdjęcie, to przestajemy gadać o niebieskich migdałkach, co się komu tam przyśniło, czy zdawało, mówimy o rzeczywistości. Owszem, zdjęcia można oszukiwać, ale trzeba się nabiedzić, żeby oszukać, zresztą, skoro wierzyliśmy rysunkom, tym bardziej wiarygodne są fotografie. Tak czy owak elementem szamanizmu nowoczesnego jest dokumentowanie na wiele sposobów i to takie, które ma za zadanie uchwycenie rzeczywistości bez komentowania, uchwycenie nie dowodu na konkretne tezy, lecz takie, które pozwoli dywagować i kombinować o rzeczywistości na podstawie dokumentacji tejże rzeczywistości. A więc mamy fotografie, możemy się im przyglądać. Nie gadamy o przedmiotach abstrakcyjnych, ale o konkretnych znajdujących się tu teraz. I co widzimy?

Rzeźby, które stoją na ratuszowej fasadzie mają świadczyć o tradycji, o przywiązaniu do cnót, prawa i sprawiedliwości, czyli zasad (nie oznacza to, że przywiązani są mieszczanie, ale że złodzieja i owszem niechybnie obwieszą).

Tchnie z nich dostojeństwo i surowość, ówdzie jednak są wyraźnie swawolne, czasami rubaszne. Myślę o postaciach tak zwanych rzygaczy, które są w istocie postaciami ludzkich nieszczęśników, których żołądki odmówiły posłuszeństwa. Temu, co można wyczytać z kamiennych pozostałości po naszych przodkach, trzeba by poświęcić osobną księgę. Ale nie o tym. Cieplejszym czasem udałem się do rynku z teleobiektywem 500 mm radzieckiej produkcji. Zdjęcia, które wówczas wykonałem, obrabiałem dopiero ostatnio. No i zadumałem się w kontekście tego tekstu. Nie są to najlepsze foty, wszelako ukazują coś pouczającego.

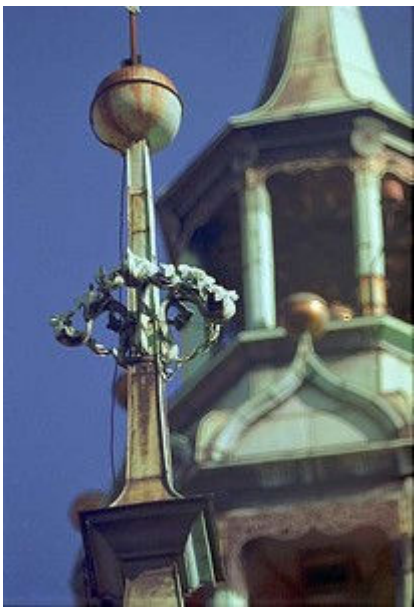

Mamy tu drobny element architektoniczny. Iglica na jakiejś wieżyczce. Na tej iglicy znajduje się jakiś blaszany wianuszek. Robota misterna, ale na pewno nie średniowieczna, wianuszek jest blaszany. Teleobiektyw 500 mm odpowiada w działaniu lornetce x 8 takiej dość standardowej. Oczywiście, że z poziomu rynku nie widać finezji owego wianuszka.

Tu trzeba trochę wierzyć mi na słowo, ale warto zwrócić uwagę na proporcje z ordynarnym drutem odgromnika. To coś zostało odrobione z ogromną precyzją, choć ze względu na odległość od obserwatora nie odróżniłoby się od postrzępionego nożycami do blachy i powyginanego niezdarnie wianuszka z blachy.

Nie mam raczej wątpliwości, że jest to wytwór konserwatora z czasów PRL. Ratusz w czasie wojny został gruntownie zrąbany, zaś cienka blacha nie wytrzyma wiele ponad 100 lat. Na dodatek cały efekt zdobniczy szlag trafił, bo po artyście przyszli panowie fachowcy od piorunochronów i dodali swe dzieło do całości. Ostatni akcent to powiew owych dawnych już czasów, gdy byliśmy najweselszym barakiem, ale jednak w obozie. Gdzie bez poczucia absurdu, nie można było przetrwać.

Tak czy owak, nawet w czasach RWPG (nie dam głowy za datowanie wianuszka, być może, że wobec tego wywód bez sensu) ludzie odczuwali nacisk jakiejś zasady, która od wieków nakazywała robienie rzeczy absurdalnych. Tak czy owak, ów wianuszek na iglicy tkwi w takim miejscu, że dopiero jakiś fajans z lornetką albo teleobiektywem jest w stanie go dojrzeć i docenić.

Jeszcze bardziej absurdalne rzeczy dostrzegłem na kościele św Michała (mam nadzieję, że nie pomyliłem, jako ateista swej parafii kościół przy Wyszyńskiego, dawniej Wieczorka, jeszcze dawniej Adalbertstrasse).

To zdjątko jest jeszcze bardziej kiepskiej jakości, bo musiałem mocno powiększyć, żeby cokolwiek było widać. Owe stworki znajdują się na "wewnętrznych" ścianach dwu wież, jakie posiada kościół. Zaraz na prawo od nich wznosi się stromy dach głównej nawy, więc widać je tylko z niewielkiej części przedkościelnego placu. Trzeba się mocno nagimnastykować, żeby się im trochę dokładniej przyjrzeć.

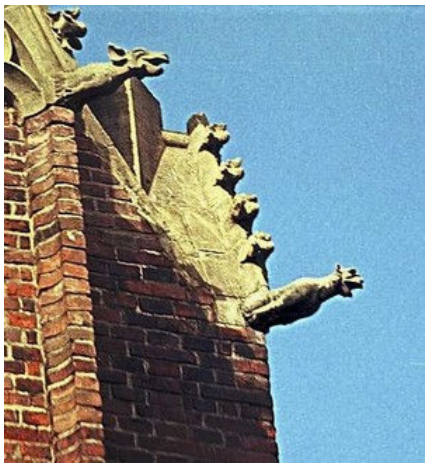

Nie zamierzam rozsupływać problemu "dlaczego oni to robili". Byłoby to mniej więcej tak skuteczne, jak próby tworzenia fizyki nieba za pomocą systemu Ptolemeusza. Nie wiem, jakie te mechanizmy są naprawdę, ale wzorem Ptolemeusza mogę wyznaczyć wyniki działania. Jeśli jakaś cywilizacja odgrywała większą rolę w dziejach, wykonywała właśnie takie bezsensowne działania. Bez tego, mieliśmy do czynienia z plemionami, po których nie zostało właściwie śladu. Że przypomnę Słowian, których historia prze chrztem Mieszka stanowi czarną dziurę i to o bardzo ostrych brzegach, nie szerszych niż kilka, kilkanaście lat. To, co stanowi cezurę pomiędzy czasami faktycznie przedhistorycznymi i tymi, o których można spokojnie w podręcznikach nauczać, to posiadanie kilku osobników, którzy nabyli odpowiednie umiejętności szamańskie operowania łacińskimi runami w celu spisywania dziejów. To jedno powoduje, że jedne czyny zostały spisane ku nauce potomności i mogą na ten przykład za argument w politycznych dyskusjach służyć (a więc pełnią konkretną użyteczną funkcję) a drugie pokryła warstwa domniemań. Nie wiemy, czy Mieszko zastał kraj zjednoczonym, czy też był naszą krajową wersją Zulusa Czaki, czy jak się on tam pisał, który wyrżnąwszy plemiennych kacyków wziął przypadkiem za pysk plemiona między Odrą i Bugiem. Bez najmniejszego wątpienia spisywanie kronik jest działalnością bezsensowną, bo tak naprawdę nic z tego nie wynika ani

dla produkcji żelaza, ani dla plonów żyta. A jednak szczypta skryby wykryta w cywilizacyjnym zaczynie, daje nam państwo znane jako Polska.

Jakoś tak jest. Otóż właśnie owa działalność szamańska, która okazuje się skuteczna, to działalność naukowa. Z definicji bowiem szamaństwo jest nieskuteczne. Czymże zaś wyróżnia się owa nauka? Szczyptą realizmu, zainteresowania światem nie koniecznie i do cna wymyślonym, ale na przykład choćby tylko zgodnym z prawami logiki, obojętnie dwu, czy wielowartościowej.

Wywód zaczął się tak naprawdę od tego, że przedstawiłem konieczność napisania czegoś lżejszego, choć i naukowego. No i właśnie niniejszym jest. Przy okazji wykonaliśmy szamańską robotę: ów wywód zdaje się być naprawdę o niczym. Znikąd wychodzi, donikąd zmierza, zaś cała jego naukowość zasadza się chyba tylko na tym, że przespacerowaliśmy się poprzez ileś prawdziwych zagadnień. Dotknęliśmy iluś prawdziwych bytów. Te rzygacze istnieją realnie, zdjęcia są najlepszym dowodem. Nasza naukowość opiera się na tym, że wnioskujemy, wychodząc z realnych faktów i respektując realia. Poza tym, nawet jeśli to jest groch z kapustą, to doszliśmy do kilku prawdziwych wniosków, które jakimś sposobem, po trochu wytłumaczalnym, po trochu cudownym sprawiają, że choć nie wszystko od razu, to jednak coraz więcej nam na tym świecie do siebie pasuje, w związku z czym łatwiej nam podejmować decyzje, które nie koniecznie są właściwe, ale przynajmniej nie od razu katastrofalne. Na skutek tego dłużej żyjemy, dłużej możemy się uczyć i od tego chyba jesteśmy mądrzejsi albo wyglądamy na mądrzejszych. Mądrzejszych od szamanów, przed chatkami których zawsze pełno darów.

Adam Cebula

Kometa dla Jawola

Opowiadanie to zostało zaplanowane jako swego rodzaju komentarz do felietonu o tarciu i potrzebie posiadania Słoneczka, ale niestety wymknęło się spod kontroli i zostało najwyraźniej samodzielnym tekstem. O czym informuje skonfundowany autor.

Profesor Artur Sceptyczny, dyrektor uniwersyteckiego oddziału Nauk Ścisłych Polskiej Akademii Umiejętności, przeleciał wzrokiem nagłówki gazet w kiosku. "Obcy..." Obcy? Znowu jakaś bzdura. Kretyńscy dziennikarze! Że też nie znajdą sobie lepszych sposobów na zarabianie, tylko muszą wymyślać takie bajdury... Nie dalej jak tydzień temu szturmował lokalną telewizję, żeby raczyli powiadomić abiturientów, że są jeszcze wolne miejsca na astronomii. Bezskutecznie. Za wysokie progi. Darmozjady... Wściekał się na pismaków. Pół godziny później Artur Sceptyczny siedział z zafrasowaną miną przed komputerem. Miał ciągle nadzieję, że w potoku informacji znajdzie się jakaś dziura. To wydawało się zupełnie niemożliwe, takie coś nie zdarzyło się przez pięć, osiem, czy czterdzieści tysięcy lat, zależy jak liczyć historię ludzkości, pewnie nie było podobnego zjawiska od kilkudziesięciu milionów lat. Nawet nie zadawał pytania "dlaczego trafiło na mnie, na nas?". Wszystkie obserwatoria potwierdzały, że obłok materii, lepiej chyba byłoby napisać "czegoś" gromadził się około dwustu tysięcy kilometrów od Ziemi, tak, że jego cień okrążał północną półkulę. Inny obłok wykryto na przedłużeniu linii Słońce – Ziemia, poza orbitą Księżyca. Teleskop Hubble'a wykrył kilka obiektów, jak się początkowo zdawało planetoid, lecz potem nazwano je "kulami sadzy", zdążających w kierunku Ziemi. Były diabelnie czarne, ale mimo wszystko choć nie promieniowały w zakresie widzialnym, w podczerwieni odcinały się dość wyraźnie od pustki kosmosu. W sumie maleńkie obiekty o średnicy zaledwie kilku kilometrów, najwyraźniej rozwijały się w ogromne kule, jakby na czyjś sygnał, gdy dotarły w pobliże Ziemi. Coś takiego, w trakcie tego procesu, ponoć widać było na tle słonecznej tarczy. Najwyraźniej jedna kula dotarła na miejsce przeznaczenia, za orbitą Księżyca, gdzie wcześniej już zaobserwowano poprzedni obłoczek, teraz ta druga, znacznie wyraźniejsza rozwijała się. Sceptyczny, za poradą astronoma zza oceanu, nadział na ledwie sześćdziesięciomilimetrową lunetę szary, mocno osłabiający promieniowanie filtr i skierował ją w słoneczną tarczę. Chwilę manipulował ustawieniem okulara, aż zobaczył. Poczuł zwierzęcy strach. Paraliżujący.

***

Jawol zręcznym rzutem posłał kolejną puszkę piwa do kosza. Gdzieś w ułamkowym momencie zainteresowania resztą świata dostrzegł Siomę. Ten najwyraźniej podążał w jego kierunku. Wyglądał jak człowiek z problemami, zgarbiony, zafrasowany. Gapił się smętnie na czubki swoich chińskich podróbek adidasów, z dziurą na duży palec u lewej nogi, i wyglądał jak Sioma wyglądać może, czyli na dwa i pół nieszczęścia.

– Sie ma – powiedział smętnie i padł na ławkę w beznadziejnym geście.

– Jooo – odpowiedział mu Jawol, którego rozmiar depresji kumpla jednak zainteresował więcej aniżeli kolejna pucha piwa. Najwyraźniej jednak coś się działo w tym pieprzonym świecie.

– No co jest, gadaj, z roboty cię wyp...?

– E... taki to bym nawet – zaczął. – Gdzie z roboty. Sam wiesz, gdzie teraz znajdą za takie grosze dobrego admina.

– Co, włamali ci się?

– Eee, kto mi by się włamał. – Machnął lekceważąco ręką Sioma. Rzeczywiście, pewnie był najlepszym adminem na tej planecie.

– No, co jest, gadaj, stary, zakochałeś się?! – Jawol wpadł na najbardziej niebezpieczny i ekstrawagancki pomysł, jaki mógł mu przyjść do głowy. Spojrzał na kostropatą gębę kumpla i pomyślał, że jeśliby się coś takiego zdarzyło, to rzeczywiście, kłopot byłby koszmarny. Przekonanie jakiejkolwiek przedstawicielki do zainteresowania się kumplem nie było chyba w ogóle wykonalne. Gdyby ktoś miał wątpliwości, co do pochodzenia człowieka, to Sioma był najpewniej owym brakującym ogniwem.

– Eee – odpowiedział.

– Więc?

– Muszę uratować te pieprzoną Ziemię. Rozumuje? Trzeba zhakować tamtych. – Wskazał na górę. – Jak nie, to czapa, dupa, dla wszystkich. A ty musisz mi w tym pomóc.

– Ja? W czym?! – jęknął Jawol, zbulwersowany rysującą się koniecznością ruszenia tyłka z ławki.

***

Profesor Artur Sceptyczny patrzył na salę. Zgromadzonych było kilkadziesiąt osób, z których, jak podejrzewał, każda spodziewała się, że on właśnie powie, że można nie przejmować się dziwnymi zjawiskami w kosmosie. Najlepiej, że są one tylko wymysłem szalonych dziennikarzy. Nie był dobrze przygotowany, nie tak jak zazwyczaj przygotowywał się do seminariów. Ledwie kilkanaście minut temu wymieniał ostatnie maile z ludźmi w różnych obserwatoriach na świecie.

– Szanowni państwo, zebraliśmy się tu w celu omówienia możliwych konsekwencji ostatnich wydarzeń w przestrzeni kosmicznej – zaczął pewnym głosem. Spojrzał na ostatnią kartkę, wydruk pomiarów natężenia promieniowania słonecznego, przeprowadzonych przez balon stratosferyczny.

– Zacznę od tego, że nasze pomiary wskazują na dziesięcioprocentowy spadek ilości energii słonecznej docierającej do nas z kosmosu. Niestety, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia ze zjawiskiem, którego jeszcze nie doświadczyliśmy. Nie rozumiemy fizycznego mechanizmu, co więcej, jest on sprzeczny z podstawowymi prawami mechaniki. Możemy się tylko domyślać pewnych mechanizmów.

– Czy zamierza nas pan straszyć? – zawołał ktoś z sali.

– Nie, informować.

– No to źle pan informuje, ja mam informacje od wywiadu amerykańskiego, mamy do czynienia ze zwykłymi obłokami pyłu kosmicznego. Wszystko to wymysł dziennikarzy.

Artur spojrzał w stronę oponenta. Ciemność na sali nie pozwoliła mu go rozpoznać. Zresztą, najprawdopodobniej był jakimś urzędnikiem, których osobiście nie miewał okazji poznać.

– Może się pan nam przedstawi?

– Grzegosław Czepialski, wydział spraw wewnętrznych wojskowego komitetu do spraw klęsk żywiołowych.

– Dobrze... – Artur nie raz bywał publicznie atakowany. – Więc jakie ma pan informacje?

– To wszystko, to wymysł dziennikarzy, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– A konkretnie? Czy ma pan wyniki pomiarów trajektorii kul pyłowych, czasu ich rozwoju, szacunków, masy?

– Rano otrzymałem list z europejskiej centrali amerykańskiej Agencji Informacyjnej, w którym zdementowano wszystkie

informacje, jakie rozpowszechniają gazety! To trzeba zatrzymać, to wszystko kłamstwa, w celu wywołania paniki na giełdzie!

– Dobrze, ale czy coś więcej było w tym liście? Jakieś dane? Może je pan nam przedstawić? Chyba wszyscy jesteśmy ciekawi? – Zwrócił się do słuchaczy. Po sali przebiegł szmer.

– No przecież mówię, że to wszystko nieprawda, nie ma żadnych kul, czy jak tam, to wszystko wymysł dziennikarzy.

– Panie, przestań się pan powtarzać! – krzyknął ktoś wyraźnie poirytowany.

– No właśnie, masz pan coś do powiedzenia, to pan mów, a nie, to siadaj pan.

– Przecież mówię...

– Ma pan ten list ze sobą?

– Niech go nam pan w całości przeczyta! – Przedstawiciel komitetu rozejrzał się bezradnie po sali.

– Nie mam, tam było napisane, co mówię...

– No dobrze. To, proszę państwa, znamy już stanowisko komitetu do spraw klęsk żywiołowych i wywiadu amerykańskiego. Rozumiem, że więcej informacji nie ma pan do przekazania? Czy ma pan jeszcze jakieś konkrety, które chciałby pan nam zakomunikować?

– No... To wszystko... To zebranie nie ma sensu. To sianie paniki. Należy go rozwiązać...

– To wyjdź se pan – krzyknął ktoś, zdenerwowany wyraźnie.

Komitet usiadł, zdziwiony brakiem poparcia.

– Niestety, proszę państwa, nie sądzę, żeby rozwiązywanie zebrania było dobrym pomysłem, obawiam się, że chowanie głowy w piasek reszty strusia nie uratuje. – Artur przypieczętował swoje zwycięstwo. Widział, jak przedstawiciel komitetu macha rękami, lecz już się nie odezwał.

– Proszę państwa, tyle o poglądach, teraz przejdźmy do konkretów. Mam zdjęcia z Cerro Paranal – Chile, z Europejskiego Obserwatorium Południowego. – Zabrzęczał rzutnik i na ekranie pojawiły się kolorowe obrazy.

– Podejrzane obiekty są widoczne mniej więcej na wysokości orbity Marsa. Analiza archiwalnych zdjęć pozwoliła na oszacowanie ich prędkości. Proszę zobaczyć, na prawej fotografii, wykonanej kilka tygodni temu, w podczerwieni widzimy trzy obiekty, na lewej mamy najprawdopodobniej te same obiekty sfotografowane dzisiejszej nocy. Jeśli założymy, że obserwowaliśmy cały czas te same ciała niebieskie, to widzimy, że są one zdolne do manewrowania. Państwo zobaczą, na następnym slajdzie tor, wyliczony na podstawie poprzednich obserwacji, i tor faktyczny. – Po sali przeszedł szum. – W chwili obecnej możemy obserwować trzeci z obiektów, jaki dotarł w pobliże orbity Księżyca. W pokoju 304, nad naszą salą wykładową znajdują się cztery lunety. Proponuję zrobić kilkuminutową przerwę, dla tych z państwa, którzy zechcą podejść tam i dokonać obserwacji. – Kilka osób, które być może wcześniej dostały informację o tej atrakcji, poderwało się natychmiast, za nimi ruszyła cała sala.

***

Minął chyba kwadrans, w czasie którego kolejne persony przekonywały się na własne oczy o realności tego, o czym mówił. On w tym czasie czytał spokojnie dalsze raporty. Kolejne obserwatoria przysyłały odpowiedzi na jego listy. Ruch w sieci był olbrzymi. Podobne nasiadówki odbywały się chyba we wszystkich krajach na świecie. Z wydruków, jakie mu przyniósł na stół administrator sieci, młody, lecz uczciwie mówiąc, wyjątkowo brzydki chłopak, wyłaniał się chaos. Bałagan, brak jakiegokolwiek działania. Artur Sceptyczny spojrzał na admina, który patrzył, jeszcze niezdecydowany, czy ma odejść, na papiery, jakby sprawdzał, czy może czego zapomniał.

– Zdjąłbyś choć czapkę, jak wchodzisz do ludzi – fuknął na niego ostro, po dyrektorsku. Chłopak spojrzał na niego tak, jakby mu pokazywał nieprzyzwoity gest. Artur jednak nie był obrażalski. – Słuchaj, nie chodzi o mnie, chodzi o zasady. Rozumiesz? Ja wiem, że to jest absurdalne, ale równie absurdalne jest grzebanie zmarłych. A po tym poznaje się, że przeszliśmy od fazy małpoluda do człowieka rozumnego.

Chłopak pokręcił z rezygnacją głową. Pomiędzy nowym i starym pokoleniem nie było porozumienia. Odszedł, drapiąc się po tyłku, gestem rozluźnionego, najedzonego gibbona, bez słowa. Profesor przez chwilę zastanawiał się nad linią postępowania wobec tego krnąbrnego pracownika, gdy nagle ktoś go złapał za klapy marynarki. Ledwie przemknęło mu przez głowę, że czegoś takiego ów młody człowiek jednak by nie zrobił, ledwie zdążył się zdziwić, gdy zobaczył przed sobą spoconą twarz osobnika, w której podejrzewał niedawnego namolnego oponenta z sali.

– Wy, naukowcy, musicie coś zrobić! To zjada słońce, widziałem.

Artur zadumał się zamiast zdenerwować. Jak widać, zwierzęcy strach był typową reakcją na widok czegoś czarnego pożerającego słońce. Tylko, że nie każdego ów strach paraliżował. A jednak... Czyżby w genach zachowała się pamięć podobnego zdarzenia? Skoro każdy człowiek tak reaguje? Jakiś Armagedon, którego ślady geologowie przegapili? Skoro DNA jest składowiskiem informacji gromadzonych od czterech miliardów lat, czy nie należało pokopać w tej przepastnej bibliotece w poszukiwaniu wyjścia z dramatycznej sytuacji? Ale jak ją czytać? Nie, nie było jeszcze klucza do niej. Mapa genomu człowieka to zaledwie katalog do księgozbioru zawierającego ogromne foliały, ale napisane w zupełnie nieznanym piśmie, o wiele bardziej nieznanym niż obrazki Inków. Jak się zabrać do zrozumienia czegokolwiek? Czy nie poprzez obserwację zachowań ludzi i zwierząt? A jeśli tak, czy powszechna lękowa reakcja na widok czarnego zwierzęcia na tle słonecznej tarczy nie wieszczyła jakiejś wielkiej zagłady?

***

Sytuacja rozwijała się w ogromnym tempie. Wieczorem dostał zaproszenie do telewizji. Nie do tej lokalnej, do której tak niedawno bezskutecznie się dobijał, do krajowej. Odmówił. Nie miał czasu. Jeśli nie chciał się pogubić w narastającej lawinie informacji, nie mógł tracić czasu na głupoty. Telewizja? Po co telewizji teorie naukowe?! Jednak sprawa okazała się poważniejsza. Zadzwonił znowu telefon. Rozmówcą okazał się sam pan premier rządu. Artur ani go nie znał, ani popierał, ani zwalczał. Ani też specjalnie poważał. Już, już miał na końcu języka stanowczą i grzeczną rozmowę, ale przypomniał sobie o czapce i bezczelnym adminie. Nie, nie będzie łamał zasad i okazywał władzy, gdzie ją ma w rzeczywistości. Musi być trochę porządku, bo szlag trafi wszystko, trzeba dać dobry przykład.

– Dobrze, ale tylko godzina czasu – powiedział.

Oczywiście z godziny zrobiło się trzy. Siedział, najpierw czekając na wejście na wizję. Potem siedział już za swoim biurkiem przed kamerami. Tym bardziej nie mógł wstać i opuścić studia. Słuchał, jak poszczególni urzędnicy opowiadali bzdury. Ktoś miał rozdawać maski przeciwgazowe, ktoś odpowiadał za zapasy żywności. Pojawił się ekspert od UFO, który wyczytywał dalszy rozwój wypadków z kształtu kręgów zbożowych. Ktoś proponował ukrycie się we wnętrzu piramidy Cheopsa. Reakcja na niezwykłe zjawisko była katastrofalna. Jeśli zdarzały się racjonalne działania, to inne niweczyły je w zarodku. Coraz mniej miał ochoty cokolwiek mówić, a nawet cokolwiek robić. Z morza niebytu i nieróbstwa wystawiały łby jakieś dziwne organizacje do ratowania ludzkości, komitety powodziowe, antyterrorystyczne, komórki do spraw

wielkich epidemii. Każdy chciał przy tej okazji wyrwać coś dla siebie. W końcu prowadzący program zwrócił się do niego:

– Jaką rolę w tej nowej dla ludzkości sytuacji odegrają, według pana, uczeni?

Miał ochotę odpowiedzieć krótko "kluczową". Ale nie chciał się wpisywać w tłum zarozumialców.

– Mam nadzieję, że przede wszystkim uda nam się wyjaśnić, z czym mamy do czynienia i czy to coś stanowi jakieś zagrożenie dla nas, czy tylko astronomiczną ciekawostkę.

– Ale przecież już wiemy, że tajemnicze kule pyłu spowodowały spadek natężenia promieniowania słonecznego o dziesięć procent.

– Owszem, w pomiarach stratosferycznych, w czasie przechodzenia centrum cienia. Trwało to kilkanaście minut.

– Więc, pana zdaniem, nie ma żadnego zagrożenia? – Konferansjer znowu usiłował skręcić w maliny.

– Moim zdaniem, musimy się skoncentrować na zebraniu o zjawisku możliwie największej ilości informacji, gdyż te, które mamy, wystarczają najwyżej do snucia fantastycznych teorii.

– Zdaniem uczonych amerykańskich może dojść do prawie całkowitego odcięcia Ziemi od promieniowania słonecznego. Jak donosi CNN, odkryto kilkanaście dalszych obiektów, które przypominają pyłowe kule i które prawdopodobnie podążają w kierunku naszego globu. Czy, pana zdaniem, proponowane tutaj działania mogą przyczynić się do przetrwania ludzkości?

– Nie mogą. Jeśli nastąpi odcięcie dopływu promieniowania słonecznego, zostanie zahamowana fotosynteza, w ciągu kilkudziesięciu lat zmieni się skład atmosfery na skutek zatrucia dwutlenkiem węgla, produkowanym głównie przez bakterie, przypominam, człowiek ma zaledwie dwu, trzy procentowy udział w tym procesie, że zginą wszelkie wielokomórkowe organizmy. Jedynym ratunkiem dla nas w takim wypadku jest albo opanowanie syntezy termojądrowej, albo usunięcie jakimś sposobem pyłów.

Uśmiechnął się na koniec. Zrobiło to właściwe wrażenie. Arturowi w podobny sposób kiedyś lekarz oświadczył, że jest nieuleczalnie chory, lecz, żeby się nie martwił, medycyna ma doskonałe środki przeciwbólowe. I zakończył takim samym uśmiechem.

– Jest wśród nas premier, czego naukowcy mogą oczekiwać od rządu, w jaki sposób może on wam pomóc?

– Mam nadzieję, że gdy już będzie naprawdę kiepsko... przestanie przeszkadzać.

Premier uśmiechnął się kwaśno, nie odpowiedział na zaczepkę.

***

Jak się przekonał ze zdziwieniem, ludzie w instytucie docenili wagę sytuacji. Ktoś starannie posortował papiery i położył na jego biurku wyniki obserwacji z Paranal, z Góry Pastuchowa i z Białkowa. Trochę to wyglądało jak żart, gdy obok siebie leżały raporty z obserwatoriów, których teleskopy miały po osiem i sześć metrów średnicy, i z równą powagą traktowany z dydaktycznego ośrodka z teleskopem ledwie sześćdziesięciocentymetrowym. A jednak i ten ostatni miał wartość. Odkryto domenową strukturę rozwijających się chmur pyłu. Widoczna była na ich krawędziach w spolaryzowanym świetle. Te same wyniki, uzyskane zupełnie gdzie indziej różnymi aparatami. To był mocny punkt. Profesor poczuł, że ludzie strzelili w tym meczu pierwszą bramkę. Diabli wiedzą, co ta struktura znaczy, ale... coś zostało ugryzione.

***

Kiedy jednak następnego dnia Sceptyczny siedział na rządowej naradzie, zobaczył w oczach pana premiera ten sam zwierzęcy strach, który widział u Grzegosława Czepialskiego. Czyżby pan premier popatrzył przez lunetę? Na salę weszło około dziesięciu osób. Około, bo ktoś po chwili wyszedł. Nie próbował się nawet zastanawiać nad jego funkcją i przyczynami chyba dość dziwnego zachowania. Był minister gospodarki, minister spraw wewnętrznych. Opowiadali coś o pieniądzach, ile potrzebują, jakie służby, o sensie militaryzacji niektórych zakładów. Na szczęście dyskusja była o wiele bardziej rzeczowa, niż wczorajsza w telewizji. Siwy człowiek okazał się klimatologiem. Powiedział to, co Sceptyczny wczoraj, że na obecnym etapie trudno ocenić, jaki wpływ mogą mieć dotychczasowe zdarzenia na pogodę.

– Zmiana natężenia promieniowania jest poniżej zmian albedo Ziemi spowodowanych na przykład zachmurzeniem.

– A jeśli wydarzenia będą miały najgorszy przebieg? – zapytał premier.

– Najgorszy? Chyba nie wiemy, jaki może być najgorszy scenariusz – odpowiedział, patrząc na Artura. Ten pokiwał głową.

– To znaczy? – W pytaniu premiera był już nieskrywany strach.

– To znaczy, że na przykład nas zaatakują. – Sceptyczny powiedział tym samym z lekka kpiącym tonem, co wczoraj w telewizji. – A wówczas najprawdopodobniej nie mamy najmniejszych szans.

– Będziemy walczyć – powiedział minister spraw wewnętrznych.

Klimatolog prychnął stłumionym śmiechem.

– Z cywilizacją, która operuje obiektami o masach ponad miliard ton? – Artur sądził, że trafił w sedno.

– Pan jest defetystą – odezwał się ktoś. Nie był to jednak minister spraw wewnętrznych. Optymista spojrzał na klimatologa, który wycierał sobie łzy chusteczką i chyba zrozumiał, że nic nie rozumie.

– Mimo wszystko... musimy próbować. – Premier usiłował odzyskać rolę przywódcy. – Amerykanie chcą wysłać kilka rakiet z głowicami termojądrowymi których wybuchy mają rozproszyć pył.

– Tak, znam ten projekt. – Pokiwał głową klimatolog, który jednak się opanował, bez żadnego entuzjazmu.

– Najwyraźniej nie ma pan o Amerykanach najlepszego mniemania. – Ocenił to właściwie optymista.

– Bez sensu – zawtórował Artur. – Proszę państwa. Ciepło spalania trotylu to mniej więcej połowa ciepła spalania węgla. Kilogram trotylu jest w stanie doprowadzić do wrzenia mniej więcej dziesięć litrów wody. Czyli sto milionów ton trotylu doprowadzi do wrzenia miliard ton wody. Wybuch w kosmosie to brak fali uderzeniowej, tylko emisja cząstek i ciepła. Nic więcej. Oznacza to, że jedna głowica termojądrowa jest w stanie podgrzać jedną kulę pyłu do temperatury o sto stopni wyższej od tej, jaką ma teraz. Według pomiarów z Hubble'a to jest około minus stu dwudziestu stopni. Czyli, zakładając realną sprawność przekazu energii, kilka procent, owszem, będziemy mieli pokaz sztucznych ogni i trochę inny rozkład pyłu.

Zapadło milczenie na kilka sekund. Sceptyczny wiedział, że siedzący tu ludzie mają kłopoty z wyobrażaniem sobie skali zjawisk. Najwyraźniej jednak bardzo liczyli na Amerykanów.

– Rozumiem, że pana opcja polityczna jest skierowana na wschód – odezwał się zwolennik USA. – Pana kariera i wiedza wywodzi się z poprzedniego ustroju...

Sceptycznego kolnęło, ale klimatolog schował głowę pod stół, krztusząc się ze śmiechu, i Artur już dłużej nie mógł się powstrzymać. Chichotał, próbując się opanować.

– Państwo wybaczą... doprawdy... nie potrafię... Rzeczywiście, nasza termodynamika jakby nie uwzględniała dostatecznie nowej politycznej rzeczywistości. Jako człowiek edukowany rzeczywiście w poprzednim ustroju, powinienem pamiętać, że każda nauka jest polityczna. Chętnie dostosujemy fizykę do nowej rzeczywistości, ale nie wiem, czy te miliardy ton pyłu dadzą się nam przekonać, ale będziemy próbować – zakończył z entuzjazmem.

Reszta patrzyła na nich dwu ze zdumieniem i niedowierzaniem. Najwyraźniej nikomu poza nimi nie było do śmiechu.

– Jednak musimy przygotować się na kilka wariantów wydarzeń – stwierdził jakby z wysiłkiem pan premier.

– Ale bądźmy już poważni – poprosił Artur.

– Na przykład na znaczne ochłodzenie się klimatu. Mam tu przygotowaną propozycję budowy podziemnych osiedli dla wykorzystania naturalnej ciepłoty Ziemi. Musielibyśmy już zacząć drążyć szyby, mamy znakomitych specjalistów górnictwa. – Odezwał się jakiś człowiek z głębi sali.

– Jeśli chodzi o zabezpieczenie przed zimnem, to proponuję zastosować styropian – powiedział klimatolog. – Czy pan jest przedstawicielem holdingów węglowych?

– Owszem, energia geotermiczna to jest to dobry pomysł. – Sceptyczny próbował stonować sarkazm. – Powinniśmy chyba jednak zabrać się klasycznie, poprzez wiercenia, nie poprzez budowę podziemnych miast. Na razie rozsądniej zostać na powierzchni. Trzeba tylko doprowadzić do perfekcji techniki energooszczędne w budownictwie.

Klimatolog kiwnął potwierdzająco głową i dodał:

– A schodzeniem pod ziemię zajmą się nasze dzieci, jak pojawi się tu lodowiec.

– Lodowiec... – ktoś niemal jęknął w gabinecie.

– Lodowiec – ciągnął bezlitośnie klimatolog. – Ważniejsza od obecnej orientacji politycznej w przypadku klimatu jest ta, północ – południe. Niestety, gdy zacznie się on poruszać, to prawdopodobnie nie będzie możliwe zbudowanie niczego pod nim. Nie tylko dlatego, że zniszczy wszelkie szyby wentylacyjne, ale stworzy dodatkowe, trudne do przewidzenia naprężenia w skalnym podłożu, doprowadzi do bezustannego przemieszczania się skał... Tym niemniej w pewnych rejonach, o których wiemy, że przetrwały wędrówki lodowców, są to tak zwane ostańce, jak góra Ślęża pod Wrocławiem, możemy rozważyć budowę podziemnych schronów...

– Czy kompleks podziemnych fabryk w Walimiu, zdaniem panów, nadaje się na budowę elektrowni atomowej? – Minister gospodarki także miał coś do powiedzenia.

– Tak, Góry Sowie zapewne przez dłuższy czas będą wystawały ponad lód. – Sceptyczny wyskrobywał swe skąpe wiadomości geologiczne. – Tam można zbudować naziemne osiedle, które przez dłuższy czas mogłoby być ogrzewane ciepłem odpadowym elektrowni atomowej. Oczywiście, do czasu wyczerpania zapasów paliwa jądrowego. Czyli jakieś kilkadziesiąt lat.

– Co panowie uważają za najważniejsze działania w najbliższym czasie. – Premier być może chciał się już pozbyć dwóch proroków apokalipsy.

– Po pierwsze, pomiary kul pyłu. Nie rozumiemy tego zjawiska, a dopóki nie rozumiemy, wszystkie scenariusze, jakie tu są opracowywane, są jednymi z miliona możliwości.

– Niezależne od zawartości naszych teczek – dodał klimatolog.

– Po drugie, jeśli założymy, że nastąpi zaciemnienie Ziemi, opanowanie energii termojądrowej. Czy mamy tu przedstawicieli partii Zielonych?

– I póki co, słoneczniki – dodał klimatolog.

– Słoneczniki? – Ktoś przyznał się do niezrozumienia dziwnej metafory.

– Słoneczniki, ale i kilka innych roślin, mają wyjątkową sprawność fotosyntezy – wyjaśnił. – Prawie trzykrotnie wyższą od reszty flory. Bo musimy mieć tlen. Niezależnie od politycznej orientacji.

Sceptyczny popatrzył po sali i stwierdził, że panował na niej lęk. Lęk przed nimi.

***

Wizyta dostojnego gościa zaskoczyła instytut. Nikt się nie spodziewał, że noblista po dwu telefonach po prostu wsiądzie w samolot, niemal jak stał, i prawie niezapowiedziany, zjawi się pod drzwiami. Jednak, biorąc pod uwagę, że zwyczajnie mu zależało na solidnym wykonaniu zamówionych pomiarów i to, że niejedno musiał w życiu widzieć, nikt nie powinien się dziwić, że chciał zobaczyć na własne oczy, kto i na czym będzie robił tę robotę. Po krótkiej awanturze z portierem, który amerykańskiego Japończyka (dlaczego nie Japono-Amerykanina?) wziął za wietnamskiego handlarza zabawkami, udało mu się dotrzeć do zdumionych nieco pracowników laboratorium Wodorków Metali. Sceptyczny pomyślał, że nigdy w jego życiu w takim tempie nie zawiązywało się międzynarodowego programu badań.

Ale kłopoty zbliżały się nieuchronnie.

– U was.... ten information center... server room? – Profesor pomyślał, że wobec tego, co musi nastąpić, przywołanie wszelkich dyplomatycznych umiejętności będzie prawdopodobnie niewystarczające. Potrzeba będzie szczęścia. Załomotał do serwerowni.

– Włazi! – Zawrzeszczało coś z wnętrza. Sceptyczny otworzył.

– Panie Paszcza, goście do pana!

W ciemnościach coś wykonało obrót na fotelu i otworzyło dwoje nieżyczliwych ślepiów. Chwilę przyglądało się sceptycznie. Urzędowy, nienaganny uśmiech noblisty nieco się przykurzył.

– Yes... understand... resocjalization programm? – powiedział, cofając się nieco.

– Are you talking to me? – Admin zdziwił się, wyciągając słuchawki walkmana z uszu. Noblista znał ten cytat i już uniósł ręce, w geście zaczynającym jeden z dialogów ratujących życie (please, don't shoot...), gdy Sceptyczny, jakby nigdy nic się nie stało, wepchnął się do środka i dworskim gestem przedstawił:

– Profesor Abraham Goldbaum, nasz administrator Zbigniew Paszcza...

***

Sceptyczny dobijał się kolejną kawą. Abraham, z nogami na stole, z laptopem na kolanach, coś klepał w klawiaturę. Zbycho Paszcza zwany Sioma, z czapką w geście desperacji ściągniętą na lewe ucho, wpatrywał się z natężeniem w zasmarowaną kredą tablicę. Gdzieś po środku wymalowana była ta nieszczęsna domenowa struktura, zaś na górze długa liczba oznaczająca ilość kombinacji ładunków. Sioma przebiegał wzrokiem poszczególne rachunki, sapał z wysiłkiem przy tym i kiwał się jak gibbon szykujący się do skoku. W końcu rzeczywiście zerwał się i walnął z całej siły w bok szafy. Dwaj pozostali mężczyźni podnieśli na sekundę wzrok. To był już kolejny zamach na mebel i nie zrobił na nich większego wrażenia. Sceptyczny pomyślał, że stanowią znakomity zespół. W każdym razie, diabli wiedzą, czego on, stary dureń, chciał od tego admina na tym seminarium. Że wlazł w czapce? A co to komu przeszkadza?!

***

– Więc słuchaj, Jawol, to trzeba metodą brutal force. Przyswajasz?

– Jasne! Łomot trzeba spuścić, tylko nie wiem komu?

Sioma w geście rozpaczy ściągnął daszek czapki na oczy.

– Łomot? Przy problemie kombinatorycznym? Do szkoły nie chodziłeś?

– No, nie...

– Esz, ty ciemniaku! Nastaw teraz ten swój kapuściany głąb na odbiór, tylko dostrój się dokładnie...

– Eeee...

– No już?

– Już...

– Brutal force polega na tym, że się sprawdza po kolei wszystkie kombinacje. Podstawiasz coś na pałę. Nie pasuje. Zmieniasz jeden element. Nie pasuje. To zmienisz następny. I tak wszystkie po kolei. Aż trafisz.

– To tak, jak Łysol chciał się do samochodów włamywać?

– No, mniej więcej tak.

– Ale jemu nie wyszło...

– Bo ręcznie zmieniał klawisze. Tu będzie to za ciebie robił komputer. Twój komputer.

– Sioma, co ty chcesz od mojego komputera?

– Najpierw chcę od ciebie, potem od komputera.

Jawol wysłuchał z wysiłkiem wykładu o domenach elektrycznych, obliczeniowych klastrach komputerowych oraz o tym wszystkim, czego miałby się nauczyć. Łyknął kolejnego browara i zadumał się na kilka minut.

– Jawol?

– Czekaj, przetwarzam. – Powstrzymał kumpla. Wreszcie klepsydra zniknęła mu z oczu i pokiwał głową z rezygnacją.

– Powiadasz, nauczyć się? To nie. Ja tak świata nie będę ratował. Trudno, niech ginie. Ja zostaję na swojej ławce. To za trudne dla mnie.

– Jawol, a jakby teraz Łysol przyszedł i powiedział ci, żebyś się zrywał, to co?

– Jak co? W dziób, bum, bum i niech spada!

– No, a wiesz, dlaczego ci tak przyjemnie na tej ławeczce?

– Ciepło, ptaszki śpiewają...

– A dlaczego ciepło?

– No, słoneczko...

– A właśnie. A ci zieleńcy teraz to słoneczko ci zabierają. Żebyś sobie na ławeczce nie mógł siedzieć. Przepuścisz im?

Jawol spojrzał w niebo i ścisnął piąchę.

– Jakby tylko się tu który zjawił...

– No, ale nie taki głupi, jak Łysol, żeby przyjść samemu i o bańki się prosić. Ich trzeba sposobem. A sposobu trzeba się nauczyć. Chyba nie zostawisz tak im tej ławki, co?

Jawol spojrzał na świat oczami pełnymi skrajnej desperacji.

– No... Nie!

***

Sceptyczny przeglądał wyniki przesłane mailem. Adiunkt Kościej zaglądał ciekawie przez ramię.

– No i co, panie kolego? – Profesor zwrócił się do podwładnego z pytaniem raczej retorycznym.

– U nas kiedyś chyba było lepiej.

– Komory chyba jeszcze nie wyrzuciliśmy?

– Nie, tylko że warsztat trzyma w niej śruby. – Sceptyczny podrapał się w głowę. Przeszkoda była poważna. Naruszenie godności osobistej tokarzy... Trudno. Od czegoś był dyrektorem.

– A zasilanie? Wtedy mieliśmy dodatkową linię... – Zauważył adiunkt.

– Niech pan dzwoni do premiera. Tu – wyciągnął jakiś karteluszek – jest numer. Ostatecznie od czegoś mamy ten rząd, nie? A ja spróbuję pogadać z warsztatem...

***

Jawohl siedział, smętnie wpatrując się w czarny ekran.

– Sioma, co za naćpane palanty wymyśliły te komendy "grep" albo "awk"? Czy to by się jakoś normalnie nie mogło nazywać?

– Nie smuć, tylko ćwicz dalej. Nie powiesz mi, że ci się nie podoba praca pod BSD?

– Podoba mi się, tylko że od tego czarnego ekranu mam depreskę i myśli samobójcze. Ale poza tym w porzo.

***

– Panie profesorze, to jest Jawol, kumpel, który ma organizować klaster obliczeniowy z prywatnych komputerów. Jest w takim klubie graczy, mają mocne maszyny, połączone przez sieć, idealne do rozwalania tych domen. – Admin wypchnął przed siebie kolesia w niebieskim dresie, który kurtuazyjnie dygnął, jednocześnie pocierając w zakłopotaniu nos.

– Ma jakieś studia?

– A broń Panie Boże! Tępy jak przecinak, ale wyszkolony i zmilitaryzowany.

– No – potwierdził Jawol.

– Co znaczy, zmilitaryzowany?

– Pan machnie palcem, będzie dygał osiemnaście godzin na dobę.

Jawol wykonał gest bolesnego potwierdzenia.

– Pan rozumie, żeby tym zieleniakom – wskazał na kosmos – nie oddać co nasze.

– Panie Paszcza, niech go pan zaprowadzi do kadr. Trzeba go zatrudnić, jak taki militarny.

***

Sceptyczny odebrał telefon. Rozmowa rozlazła się w strumień podświadomości. Bo pan premier? A proszę bardzo. Nie powiemy, że miło, ale bardzo to tak. Nie, do telewizji to nie, od wojowania z opozycją to jest pan, a nie ja. Proszę zbajerować, nakłamać. My, panie premierze, uruchamiamy komorę do prób termojądrowych. Publiczność zechce poczekać. Do widzenia.

***

Sioma rutynowo przeglądał logi, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi.

– Wlazło!

– Sie ma! – pozdrowił go Jawol.

– Co jest? – Zdziwił się Sioma, że kumpel pokonał nadprogramowo drogę do serwerowni.

– To wszystko bez sensu.

– Co?

– Ta wojna z kosmitami.

– A skąd ty możesz wiedzieć?

– A mogę. Bo na przykład włomoczemy zielniakom, nie? No to jeszcze może przyjść Łysol ze swoimi chłopakami. Wiesz, tam się teraz do ich paczki dwóch młodych przyplątało. No i przegonią nas z ławki. No to po co z kosmitami? Co mi z uratowania świata?

– E, Jawol, smucisz. No dobra, kumple Łysola mogą nam nakłaść po gębie. Mogą, to prawda. Ale przecież może przyjść dozorca i nas wszystkich wygonić z parku, nie? I jakoś tym się nie martwisz?

– E, trochę się martwię.

– Ale czego tylko trochę?

– Bo rzadko w ogóle przychodzi.

– No widzisz, Jawol? A może będziemy mieli szczęście? Trzeba trochę liczyć na szczęście!

***

W normalnych warunkach to byłoby uroczyste otwarcie. Ale nie teraz. Na orbicie wokół Ziemi rozwijała się szósta pyłowa kula. Podobno spadek temperatury globalnej, powodowany absorpcją promieniowania, już był mierzalny. Kiedy tylko budowlańcy opuścili pawilon, za nimi weszli równolegle elektrycy i doktoranci. Jedni kładli kable. Drudzy składali komorę, justowali setki lusterek, kierujących promienie lasera na kulki paliwa, sprawdzali uszczelki, składali układ pompowy. Sceptyczny sam z kluczem dynamometrycznym sprawdzał, czy gdzieś nie ma fuszerki, żeby później nie tracić miesięcy na szukanie nacieków w skomplikowanej aparaturze. W tłumie ludzi kręcił się i adiunkt Kościej. W przeciwieństwie do innych, zamiast grzebać przy apa-

raturze, przypatrywał się zafrasowany odsłoniętemu fragmentowi fundamentów.

***

Jawol wlazł na wielki, czterokołowy kubeł na śmieci. Kilkunastu zakapturzonych, inni w chusteczkach na głowie, osobników zadarło w jego kierunku głowy.

– No, to tak – zaczął przemówienie. – Kto chce ratować świat, wywala windę z kompa. Wkłada se pingwina, albo open be es de. Zero grania, czarny ekran. Zasady logowania rozsyłam emalią.

Jęk bólu przeszedł przez zebranych.

– Dlaczego zero grania?!

– Bo każdy takt procesora na wagę złota! Jasne?

***

Adiunkt Kościej obserwował panel pomp próżniowych. Za nim stał z usmarowanymi i podrapanymi po łokcie rękoma Jawol. Zdawało się, że gdy Kościej powiedział "włączam jonową", skinął przyzwalająco głową. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni. Sceptyczny pozwolił sobie wyciągnąć obolałe nogi na blat biurka. Obserwował spod przymrużonych powiek, jak jeszcze niedawno szemrany kumpel admina pochyla się nad blokiem pomp turbomolekularnych i nasłuchuje, czy dobrze chodzą.

Będą z niego ludzie, pomyślał.

– Mamy dziesięć do minus szóstej tora – zameldował Kościej. – Napełniamy zbiorniki?

Sceptyczny spojrzał na fundamenty. Szlag... Trzeba zaryzykować. Nie ma innej rady. Podniósł się, podszedł stojaka ze sterowaniem i uruchomił pompy.

– Musimy zaryzykować – powiedział zupełnie niepotrzebnie. O tym ryzyku rozmawiali przecież cały czas. Wodowskaz ruszył w górę. Z pełnej komputerów sterowni wynurzył się Sioma, by z bliska obserwować przebieg operacji. Stało się coś innego, niż się spodziewali. Nagle. Gdy zdawało się, że już wszystko poszło dobrze, tąpnęło w komorze zasilaczy. Sceptyczny natychmiast przekręcił wyłącznik. Dwie pompy stanęły, trzecia chodziła.

– Tylko stycznik się zawiesił, zaspawało, spoko – orzekł zmęczonym głosem Jawol i podniósł z ziemi kawał ebonitowej listwy.

– Stój, to niebezpieczne.

– Jawol, zatrzymaj się.

– Nie leź tam! – wrzasnęli wszyscy trzej, ale było za późno.

Jawol wlazł do betonowego bunkra zasilaczy. Słychać było, jak wali w stycznik. Wreszcie trzecia pompa stanęła. Wtedy tąpnęło znowu. Sioma rzucił się do włazu.

– Jawol tam jest, jakiś łom dawaj go, pomożemy z tej strony!

– Już wychodzę – odpowiedziało z bunkra po chwili. – O rany, przegiąłem... Tym razem przegiąłem.

– Jawol, nie poddawaj się ! – wrzeszczał Sioma.

– Co tam jest ? – Sceptyczny darł się od panelu sterowania.

– Woda leci, zablokowało mnie – odezwał się Jawol.

Adiunkt Kościej wystukiwał jakiś numer na telefonie. Sceptyczny uruchomił pompę usuwającą wodę. Sioma złapał kawał jakiegoś płaskownika i przez właz łomotał w coś zawzięcie.

– Sioma, zostaw, to na nic. Przynieś mi lepiej jakiegoś browara.

– Nie ma tu browara, Jawol.

– Szkoda. Kto by pomyślał, że w takiej chwili, a ma się ochotę na łyka, jak jasna cholera. A dyma masz?

– Nie mam dyma, bo tu wszystko wyleci...

– No masz. Nie ma dyma... Szkoda. Ale nie ma, to nie ma. Ale, Sioma, obiecaj, że podpiszesz moją ławkę...

– Jawol , co ty, sam ją podpiszesz...

– Oj, chyba nie. Chłopaki sie ma! – Ostatnia sylaba utonęła w huku wybuchu. Sioma wyleciał z luku z osmaloną głową.

– Jawol, Jawol! – wołali go wszyscy trzej.

Ale w środku było cicho, jak w kaplicy.

***

Sceptyczny tym razem dał się namówić na występ w telewizji. Ostatecznie coś się tam tłumom należy. Ktoś tam przed nim mówił o dziurze ozonowej. Nie miał pojęcia, jakim sposobem temat wrócił. A niech sobie gada.

– Czego, pana zdaniem, chcieli od nas kosmici? – Prowadzący jak zwykle zaskoczył go ni z gruszki, ni z pietruszki, co było znakiem, że nie miał pojęcia, o czym się mówi, a jedynie reagował na upływający czas do reklam.

– Jacy kosmici?

– No przecież... Niewątpliwie mieliśmy do czynienia z atakiem kosmitów?

– Nie. Jak do tej pory, większość zjawisk udało się wyjaśnić naturalnymi przyczynami. Już raz mieliśmy do czynienia, podczas odkrycia pierwszych sygnałów z pulsarów, gdy astronomowie byli pewni, że mają do czynienia ze sztucznym źródłem promieniowania. Tym czasem szybko znaleziono prosty fizyczny mechanizm zjawiska. Tak jest i tym razem.

– Nie chce chyba pan powiedzieć, że naturalne obiekty mogą na niebie manewrować? – W głosie redaktora zabrzmiała duma z tak łatwego wykazania niedorzeczności utytułowanemu rozmówcy.

– Chcę. Wszystkie meteory biegną po krzywych torach. W naszym przypadku mieliśmy do czynienia z wyhamowaniem ruchu obrotowego i odrzuceniem części masy.

– No, ale kule, jakby na sygnał z centrum dowodzenia, zaczynały pęcznieć... – Konferansjer miał jeszcze nadzieję na uratowanie nastroju grozy.

– Pęczniały pod wpływem promieniowania słonecznego. Ładowały się być może pod wpływem zjonizowanych cząsteczek wiatru słonecznego, być może promieniowania. Analizujemy ciągle przyczyny powstania skomplikowanego rozkładu pola elektrycznego wewnątrz chmury pyłu. Ale wiemy, że to właśnie on zapobiegał się rozpierzchnięciu obłoku. Kule zapewne były w dużej części złożone z nanorurek węglowych o ogromnej długości. Jest hipoteza, że one utrzymywały konfigurację pola. Prawdopodobnie na skutek bombardowania wysokoenergetycznymi cząstkami te nanorurki zostały zniszczone i obecnie obserwujemy rozpraszanie się chmury pyłów...

– Więc to na pewno nie byli kosmici? – Redaktor gwałtownie ratował się wobec ataku takimi pojęciami jak "rozkład pola elektrycznego" oraz " bombardowanie cząstkami wysokoenergetycznymi". Natychmiast należało się wycofać z tych obszarów!

– Na pewno, nie wiemy.

– A jeśli kosmici... To czego mogli chcieć? Jaki mógłby być cel tej akcji?

Sceptyczny zebrał się w sobie... Powiedzieć nie powiedzieć? Powaga nauki...

– Jeśli kosmici... W sumie przez te kilkanaście miesięcy dokonaliśmy postępu choćby w dziedzinie energetyki termojądrowej takiego, jakiego nie zrobiliśmy przez ostatnie dwadzieścia lat. Powstało kilkadziesiąt zespołów badawczych, które nie mogły powstać choćby z powodu, nazwijmy to barier towarzyskich. nagle okazało się, że przestraszeni ludzie potrafią dobrze pracować. Może chcieli skopać nam tyłek? Żebyśmy się do roboty wzięli.

***

Sceptyczny stał na mównicy. Nad nim powiewał sztandar uniwersytetu. Po prawej w dole, dwie ekipy telewizyjne walczyły ze sobą na gesty i szeptane obelgi o lepsze miejsce. Tuż pod samą

trybuną stała grupka chłopaków pokracznych ubiorach, powyciąganych, za wielkich bluzach w pstrokate napisy, w czerwonych chustkach na piracki sposób zawiązanych na głowach. Admin Paszcza podał mu plik kartek i szepnął do ucha:

– Ostatnia wersja, zasuwaj pan.

Profesor ubrał okulary, nabrał powietrza i zaczął wysokim, monotonnym głosem.

– Zebraliśmy się tutaj, by uczcić pamięć naszego kolegi i pracownika, który poświęcił życie dla nauki i dobra ludzkości...

Przerwał i spojrzał na bok:

– Panie Kościej, pan to czytał, czego mi pan nie powiedział, że tu takie pierdoły popisałem?

Adiunkt zrobił głupią minę i spojrzał zdziwiony w plik papierów. O co chodzi? Do tej pory zawszy było dobrze, to czemu tym razem nie?! Profesor, widząc, że tu nie ma zrozumienia, zaś przed sobą widzi kilka gąb, najwyraźniej zastygłych w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków, których on musi być sprawcą, podrapał się po nosie i zupełnie po ludzku dodał:

– No dobra, chłopaki, mowy nie będzie, bo mi kompletnie nie wyszła. Bierzemy po piwsku i odlewamy po kilka kropel, bo się Jawol chciał napić, jak już widział, że go kostucha bierze. To dla jego duszy...

Rozległ trzask otwieranych puszek. Gdzieś zabrzęczała butelka. Gdzieś w kosmicznej otchłani najdelikatniejszy z wiatrów, który tu, na Ziemi, nie ruszyłby nawet komara, pracowicie rozpędzał tak ogromne masy, że żaden huragan nie byłby sobie z nimi w stanie poradzić. Politycy przestawali się bać, Sceptyczny zastanawiał się kto pierwszy zawali w realizacji wodorkowanego paliwa termojądrowego, czy on, czy polskiego pochodzenia a japońskiego wyglądu Abraham Goldbaum. Zadawał sobie też pytanie, czy jego tolerancja wobec czapki administratora sieci Paszczy, vel Siomy, jest trwała czy czasowa.

Sioma zabrał tekst niepotrzebnego przemówienia. Czytał, kiwając głową.

– E, pokaż. – Obok pojawił się Łysol.

Spojrzeli na siebie czujnie... Ale w tych warunkach obowiązywało zawieszenie broni. Sioma oddał mu pierwszą kartkę. Ten po chwili oddał ją jeszcze komuś.

– E... dobre, co pan chce od tej mowy? – Rozległ się głos spod szarego kaptura.

– Gdzie dobre, napuszone – burknął Sceptyczny pomiędzy oszczędnymi łykami piwa i smętnymi myślami.

– Dobre, pogrzebowe... Bo już naprawdę nigdy go nie spotkamyyy! – Nagle ktoś rozryczał się w tłumie.

– No pewnie, że dobre, zwłaszcza ten kawałek o Prometeuszu... – Smętnie przekonywał Łysol.

– No tak... Jesteśmy o krok od uruchomienia reaktora termojądrowego – powiedział przed siebie profesor.

– Łysol, a ty wiesz, kto to był Prometeusz? – wyrwał się Sioma

– Pewnie, w kolebce łeb urwał tej... no...

– Eee – Kartki krążyły pomiędzy zgromadzonymi, wywołując tu i ówdzie kolejne potoki łez. W końcu Sceptyczny postanowi ponownie przeczytać swe dzieło, żeby sprawdzić, co tam faktycznie jest?! Nim jednak dopadł kartek, Łysol podszedł do niego najwyraźniej z jakąś sprawą.

– Panie... pro.. profesorze? – Sceptyczny pomyślał, że był dla niego mniej prawdziwym profem niż profesor z liceum.

– Słucham? -

– Czy to możliwe...? Żeby to wszystko było po to, żeby życie Jawola nie poszło na marne?

– Jakie wszystko?

– No te... komety. No, bo przecież jakby nie one, nikt by nie wiedział, że Jawol to bohater. Zmarnowałby się.

– Jak zmarnował?

– No, normalnie, siadłyby mu nery i do piachu. Bez fanfar. Odważny czy nie, ale jak browaruje w plenerze cały rok... A tak, honorowo. Tam mi się zdaje, że to po to było, nie?

– Nie wiem... Na pewno nikt nie wie, ale natura jest strasznie rozrzutna, tyle gwiazd świeci, być może tylko po to, by ktoś, zadzierając nosa, się zdziwił... To chyba możliwe.

– To co? Odsłaniamy? – zapytał ktoś z kolorowej gromadki żałobników.

– Pewnie! – Pociągnęli za sznur i spod niebieskiej flagi ukazała się parkowa ławka. Wzdłuż górnej deski biegł napis:

" Tu Jawol walił szczęśliwie browary. Nauczył nas, że Słonka nie można mieć w dópie i o co naprawdę chodzi".

– Może być?! – zapytał jakiś młody, ostrzyżony na łyso chłopak.

– Mały, niech cię szlag trafi, mówiłem, zobacz w słowniku! – wściekł się Sioma.

– Eee, o jedną literę nie ma co robić afery. Niech zostanie – zdecydował Sceptyczny.

Monika Sokół

Axis Mundi

Unosiła się w Mroku. Ciemność obmywała ją i koiła, przynosiła zapomnienie.

Drgnęła, słysząc wołanie. Płynnie zawróciła i pomknęła w kierunku odległej, jasnej plamki, pozostawiając za sobą smugę czerwieni.

***

Mała tajska dziewczynka z udręką patrzyła na kolejnego tej nocy klienta, który z lubieżnym uśmiechem zbliżał się do niej, rozpinając spodnie.

– Proszę, nie... – łkała, chociaż wiedziała, że nie może liczyć na litość. Nie po to płacili jej babce, żeby później nie wziąć tego, co w ich mniemaniu słusznie im się należało. Zaciskając powieki, mogła już tylko szeptać. – Pomóż mi, pomóż ... ?

Z cienia za plecami Azjaty wyłoniła się postać. Mężczyzna poczuł, jak coś łapie go za kark i rzuca o ścianę chaty niczym szmacianą lalką. Ocknąwszy się z omdlenia, ujrzał górującą nad sobą postać o czerwonych, jarzących się oczach i ustach przypominających kolorem krwawą ranę na bladej twarzy.

Próbował się podnieść, krzycząc przerażony: „demon, demon!", jednakże wężowe włosy zjawy skutecznie osadziły go w miejscu, owijając się wokół szyi i ramion. Nie śpiesząc się, postać dotknęła palcem wskazującym czoła mężczyzny. Wstrząsnęły nim dreszcze, a po chwili znieruchomiał. Pustka w jego oczach przywodziła na myśl człowieka w głębokiej katatonii.

Zjawa wyprostowała się. Rubinowe włosy puściły bezwładne ciało Taja i łagodnie opadły na jej ramiona, nadając części mroku zarys kobiecej sylwetki. Odwróciła się w stronę dziewczynki, która z radością wpadła w ramiona demonicy.

– A więc to nie sen! Ty naprawdę istniejesz! – Wtuliła się w czerwone pukle, które pieszczotliwie ją otuliły. Pierwszy raz w życiu czuła się bezpiecznie. Trzymająca ją na rękach istota, utkana z mroku i krwi, była jej bliższa niż ktokolwiek na świecie, wliczając w to całą liczną rodzinę, utrzymującą się z handlu jej niewinnością.

– Nie zostawisz mnie tu, prawda? – Dziewczynka poważnie popatrzyła w pozbawione źrenic oczy.

– Mogę zabrać cię do miejsca, gdzie twoje rany zostaną wyleczone, a ty sama odnajdziesz szczęście. Ale żeby móc się tam udać, dla tego świata musisz umrzeć.

– Zabierz mnie tam – zdecydowało dziecko. Mroczna istota delikatnie położyła je na łóżku i, dotykając palcem jego czoła, wypowiedziała Słowo. Od ciała dziewczynki oderwała się świetlista postać.

– Idziemy? – zapytała, biorąc demona za rękę. Czerwonowłosa tylko się uśmiechnęła i obie wtopiły się w mrok.

***

W drodze powrotnej demonica zatrzymała się na chwilę w bambusowym zagajniku. Gdy znalazła się znów w izbie, z której wyruszyła, mężczyzna jeszcze nie odzyskał zmysłów. Widocznie szok, jaki spowodowało zaaplikowanie jego umysłowi bólu, rozpaczy i cierpienia ośmioletniej dziewczynki, pozbawiło go przytomności na dłuższą chwilę. Shan-ya popatrzyła na niego zimno.

***

Pół godziny po wejściu klienta do chatki zajrzał tam ojciec dziewczynki, zaniepokojony przedłużającą się wizytą. Zwłaszcza że następny klient już czekał. Oczom zaglądającego ukazał się makabryczny widok – na środku sufitu przybity był mężczyzna. Z jego ramion, dłoni, stóp i korpusu wystawały bambusowe kołki. Z rozciętego brzucha zwisały mu girlandy wnętrzności, gustownie upięte do ścian, a z ust wystawał mu kawałek jego własnego penisa, wyrwanego i wepchanego do gardła. Na ścianie naprzeciwko wejścia widniał wykonany krwią napis: „Bogowie mszczą się za krzywdy swych dzieci".

***

Wracał do domu. Był już późny wieczór i nie mógł dłużej zwlekać. Modlił się o to, żeby ojciec musiał gdzieś wyjechać w interesach. Mijał po drodze ekskluzywne rezydencje sąsiadów – polityków, biznesmenów, prawników. Miał nadzieję, że okno gabinetu ojca będzie ciemne. Niestety, nie było. Rozpłakał się z poczucia własnej bezsilności. Wiedział, że nie powinien – miał już przecież dwanaście lat, ale nie mógł się opanować. Po chwili otarł łzy i wszedł do domu.

Jakże on nienawidził tego miejsca! Wystawnie urządzone, z wiszącymi na ścianach dyplomami ojca – jednego z najlepszych prawników w Nowym Jorku, jego zdjęciami z różnymi osobistościami, notami dziękczynnymi od wielu organizacji charytatywnych. Słodki lukier pokrywający zgniłe wnętrze.

W swojej sypialni spała matka – alkoholiczka i lekomanka, chociaż on wciąż pamiętał piękną, inteligentną i wesołą kobietę, jaką kiedyś była. Ale teraz, odurzona, przebywała w innym świecie i wiedział, że na jej pomoc nie może liczyć.

Cicho prześlizgnął się do kuchni po coś do jedzenia, a potem na palcach do pokoju.

Na myśl o tym, co może go czekać dzisiejszej nocy, łzy same spłynęły mu po policzkach.

Dlaczego go to spotyka? Na to pytanie przez lata nie znalazł odpowiedzi. Marzył o prawdziwym, bezpiecznym domu, ale wiedział, że to nieosiągalne, dopóki żyje on albo jego prześladowca. Ta myśl przeważyła, podjął decyzję. Jutro podkradnie mamie tabletki, których całe mnóstwo stało na nocnym stoliku w jej sypialni, i skończy ze sobą.

Popatrzył na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Ręce zaczęły mu drżeć. To była pora, o której przychodził do niego ojciec.

Bardziej poczuł niż zobaczył ruch klamki i drzwi stanęły otworem. Wszedł przez nie pokaźnej tuszy mężczyzna. Otaczał go specyficzny zapach, który towarzyszył mu zawsze wtedy, gdy nocą odwiedzał pokój swego syna.

– Jeszcze nie śpisz? – spytał na pozór beztrosko, widząc go wciąż jeszcze ubranego siedzącego przy biurku. – Niegrzeczny chłopczyk. – Pogroził mu palcem. – Trzeba cię ukarać...

Chłopiec zesztywniał z przerażenia. Ojciec zamknął drzwi

– Chodź do tatusia. Tatuś cię kocha, więc nie spraw mu zawodu. – Zaczął dyszeć. – Wiesz, że tatuś chce dla ciebie tylko dobrze, wiec się nie opieraj...

Dwunastolatek z zaciśniętymi powiekami szeptał bezgłośnie:

– Pomóż mi, pomóż, proszę...

Od cienia rzucanego przez uchylone drzwi szafy oddzieliła się sylwetka kobiety. Podeszła do grubasa, złapała go za gardło i podniosła do góry. Jej czerwone oczy przyprawiały o szaleństwo wielu, ale na najlepszym prawniku na Manhattanie nie robiły wrażenia. Charcząc i krztusząc się, mężczyzna próbo-

wał ją kopnąć. Rzuciła nim o podłogę. Dębowe deski tylko jęknęły pod ciężarem cielska. Zjawa przytknęła mu palec do czoła, ale adwokat tylko wstrząsnął się, jak mokry pies i z nienawiścią popatrzył na czerwonowłosą kobietę.

– Nie przestraszysz mnie tymi sztuczkami! – wrzasnął.

– Tym lepiej dla mnie. – Demonica uśmiechnęła się brzydko. Na chwilę odwróciła wzrok od swojej ofiary i spojrzała na chłopca. – Poczekaj na mnie. Wrócę.

Dziecko szczęśliwe kiwnęło głową, patrząc z uwielbieniem na swoją wybawicielkę.

– A my ruszamy. – Zjawa i prawnik zniknęli.

Pierwszy przystanek był przed barem w najgorszej murzyńskiej dzielnicy miasta. Shan-ya ukryta w cieniu obserwowała, jak banda kilkunastu czarnoskórych opryszków zaciąga grubego, białego bogacza w ciemny zaułek, tam katuje go i gwałci na wiele różnych sposobów.

Niewidzialna dla innych Shan-ya podeszła i kucnęła tak, że jej twarz znalazła się naprzeciwko twarzy pedofila w momencie, gdy cięto mu odbyt nożem.

– Boli? – spytała, mrużąc oczy. – Pomyśl, jak to bolało twojego syna jakieś sześć lat temu.

– Ty suko! – wycharczał. W tym momencie zjawa wypowiedziała Słowo i przenieśli się do niewielkiej sali o czerwonych ścianach.

– A teraz zobaczymy, jak to robią Chińczycy. Wiesz, mają w torturowaniu kilka tysięcy lat praktyki – objaśniła ze słodkim uśmiechem.

Do pomieszczenia weszło kilku milczących Azjatów. Skłonili się przed czerwonowłosą, a ona skinęła im przyzwalająco głową. Wzięli się do dzieła z godnym podziwu mistrzostwem. Krzyki grubasa nie milkły nawet na chwilę. Gdy stracił przytomność, odesłała oprawców i przeniosła swoją ofiarę w inne miejsce.

***

Powoli otwierał oczy. Ze zdziwieniem zorientował się, że leży w piwnicy swojego własnego domu. Nie czuł bólu, a na jego ciele nie było obrażeń. Odetchnął z ulgą.

– Widocznie spadłem ze schodów do piwnicy, a to wszystko, to był tylko koszmarny sen.

Jednak, gdy przypomniał sobie chińskie tortury, puściły mu zwieracze. Ku własnemu zdziwieniu nie poczuł jednak smrodu, chociaż przecież wieczorem zjadł obfitą kolację. Coś niejasnego w głębi duszy mówiło mu, że tej nocy zwieracze odmawiały mu posłuszeństwa wielokrotnie. Usiadł i spojrzał przed siebie. W tym momencie zapragnął być tysiące mil stąd. Odpełzł w najciemniejszy kąt piwnicy, byle jak najdalej od siedzącej na schodach czerwonowłosej demonicy. Między nimi z belki sufitu malowniczo zwisała pętla.

– Chyba już wiesz, co cię czeka? – spytała kpiąco, mrużąc oczy. – Twój syn miał zamiar zabić się rano. Uznałam, że właściwsze będzie, żebyś to ty zginął. A to będziesz miał na szyi – wskazała na oparty o ścianę tabliczkę z tektury z napisem: „Od wielu lat gwałciłem mojego jedynego syna. Nie jestem godny, by żyć".

– Śliczne, nieprawdaż? – roześmiała się złowieszczo. Po chwili wzrok jej stwardniał. – Dobra, koniec tej zabawy.

Grubas poczuł, jak wbrew swojej woli wstaje i podchodzi do pętli, zawiesza na szyi tabliczkę, która nagle pojawiła mu się w dłoni, a potem wchodzi na stołek i zakłada sobie stryczek. Przerażony próbował walczyć do końca, ale jego ciało go nie słuchało. Poczuł tylko, jak wykopuje sobie stołek spod stóp.

Shan-ya pojawiła się obok chłopca w chwilę po swoim zniknięciu. Dwunastolatek przylgnął do niej całym swoim drobnym ciałem i łkał rozpaczliwie. Zjawa tuliła go i gładziła po włosach.

– Już nie musisz się bać. Teraz życie należy do ciebie. – Podniosła mu lekko brodę, tak, że patrzył prosto w jej oczy. Uśmiechnęła się. – Pomóż mamie wziąć się w garść, a wszystko będzie dobrze.

Demonica uwolniła się delikatnie z jego uścisku i zaczęła rozpływać się w mroku. Do uszu chłopca dotarł ledwie słyszalny szept:

– I nie wchodź do piwnicy. Przynajmniej na razie.

***

Dziewczyna przerażona patrzyła na nieprzytomną matkę leżącą w kałuży krwi. Pochylony nad nią mężczyzna podniósł rękę do zadania kolejnego ciosu.

– Zostaw ją, ty skurwysynu! – krzyknęła. Popatrzył na nią ze złośliwą radością – jego agresja znalazła w tym momencie nowy cel.

– Nie wiesz, kurwo, że ojciec ma być dla ciebie święty?! – wrzasnął i doskoczył do klęczącej na podłodze czternastolatki. – Przez was meczu nie mogę w spokoju obejrzeć! – Kopnął ją w brzuch z całej siły. Raz. Drugi. Dziewczyna skuliła się i, zaciskając powieki, szeptała w rytm ciosów:

– Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi...

Gdy kolejne uderzenie nie padło, odważyła się otworzyć oczy. Zobaczyła, jak jej ojciec wytrzeszcza oczy na czerwonowłosą kobietę, stojącą w progu ciemnej kuchni. Korzystając z chwili nieuwagi mężczyzny, podpełzła szybko do matki, żeby sprawdzić, czy ta oddycha. Na szczęście kobieta była tylko nieprzytomna.

– Co robisz w moim domu, ruda suko?! – Ojciec dziewczyny szybko otrząsnął się ze zdziwienia.

– Lubisz przemoc, co? – Oczy zjawy rozjarzyły się blaskiem. – Zwłaszcza wobec kobiet, jak widzę. Czy to potwierdzenie twojej wątpliwej męskości?

Zaatakował ją, wrzeszcząc, a to, że nie mógł trafić w pozornie nieruchomą twarz, rozjuszało go jeszcze bardziej. W pewnym momencie Shan-yi znudziła się ta zabawa w uniki, więc złapała go za włosy i podniosła do góry. Mężczyzna ryczał z bólu i wściekle kopał nogami.

– Mówisz, że mecz jest dzisiaj? – Demonica zapytała tonem pogawędki, jednak jej oczy zmrużyły się niebezpieczne.

Stali przed wejściem na stadion Wisły w Krakowie. Przed wejściem kłębił się rozwścieczony tłum kibiców, dla których zabrakło biletów. Ojciec dziewczyny rozglądał się jeszcze oszołomiony, gdy Shan-ya krzyknęła:

– Hej, chłopcy! Patrzcie kogo tu mamy! – Wskazała na stojącego obok mężczyznę, który dopiero teraz zauważył, że ma na sobie koszulkę klubową z wielkim napisem „Legia". Łyse głowy odwracały się jedna po drugiej. W oczach młodych ludzi wyczytać można było obietnicę długiej i bolesnej agonii. Sprawczyni całego zamieszania odeszła na bok i spod osłony mroku przyglądała się, jak agresywny tłum goni mężczyznę w koszulce Legii, jak go dopada i jak dziesiątki rąk robią z jego ciała worek treningowy. Gdy policji udało się rozpędzić kibiców na bruku, pozostały tylko skatowane zwłoki. Demonica wtopiła się w cień.

Znów znalazła się w przeciętnym krakowskim mieszkaniu.

– Pozbyłaś się go. – Dziewczyna raczej stwierdziła niż spytała.

– Tak.

– Wiedziałam, że kiedyś przyjdziesz. – Otarła matce krew z twarzy. Mroczna zjawa podeszła do nich i dotknęła obu dłońmi. Wszelkie obrażenia zniknęły.

– Odważna jesteś – mruknęła z uznaniem do dziewczynki. – Odciągnęłaś jego uwagę od rannej matki.

Czternastolatka wzruszyła ramionami.

– Jeszcze kilka ciosów i zabiłby ją... – Wskazała na matkę. – Nie zdążyłam ci podziękować. Gapa ze mnie. – Uśmiechnęła się niewyraźnie, chociaż wciąż nie mogła opanować drżenia.

– Nie dziękuj, może kiedyś będziesz mogła się zrewanżować, robiąc to, co ja. – Shan-ya popatrzyła jej głęboko w oczy. Dziewczynka rozpromieniła się z radości.

– Mogłabym być taka, jak ty? I pomagać dzieciom, które nie mogą się same bronić? To wspaniale! Tego właśnie chcę!

– Może... Może kiedyś ktoś się u ciebie zjawi i zapyta, a ty wtedy będziesz musiała szybko odpowiedzieć tak lub nie. Ale uprzedzam, to nie jest łatwa praca. Podczas swojej służby napatrzysz się na wiele bólu i cierpienia, będziesz pomagać ze świadomością, że i tak jesteś w stanie pomóc tylko znikomej cząstce potrzebujących.

– Nie boję się, ale obiecuję, że przemyślę to bardzo dokładnie, chociaż już teraz znam odpowiedź. – Rozmowę przerwał jęk budzącej się matki.

– Uważaj na siebie – mruknęła Shan-ya i rozpłynęła się w mroku.

***

Anna obudziła się nagle. Popatrzyła na budzik. Miała jeszcze trochę czasu zanim będzie musiała wstać, żeby zdążyć do pracy. Przytuliła się do pleców śpiącego męża.

– Mateo... – szepnęła.

– Mmm... Co tam? – mruknął zaspany.

– Znowu śnił mi się ten sen.

– Uhmm... Kogo tym razem mordowałaś?

– Jak zwykle, psychopatów i zboczeńców.

– Aha. – Mateo przyjął to do swojej zaspanej świadomości. – Może powinnaś iść z tym do psychologa?

– Może... – kobieta zamyśliła się.

***

– A nigdy nie przyszło pani do głowy, że te sny wcale nie muszą być tylko snami? – spytał psychiatra.

– Hmm... No, cóż... Myślałam o tym, ale to trochę zbyt fantastyczne... Chyba... – dodała niepewnie Anna.

– Coś pani powiem. – Lekarz zdjął okulary i popatrzył swojej pacjentce głęboko w oczy. – Nie sugerowałbym tego bez podstaw, a w tym wypadku podstawą są moje własne przeżycia z dzieciństwa.

Kobieta popatrzyła na niego lekko zdziwiona i zaniepokojona.

– Mnie też ktoś kiedyś uratował – zaczął lekarz – i będę jej na to wdzięczny do końca życia. Wyglądała inaczej niż pani w swoim śnie, ale spełniała tę samą funkcję – ratowała dzieci. Nigdy nie zdążyłem jej podziękować i teraz skorzystam z okazji, by w imieniu wszystkich ocalonych powiedzieć: dziękuję.

Dwie łzy spłynęły po pomarszczonych policzkach siwowłosego mężczyzny. Anna wyciągnęła dłoń i starła je delikatnie, uśmiechając się do własnych myśli. Czuła, jak w jej umyśle kolejno znikają bariery – Anna staje się Shan-yą, a Shan-ya Anną. Teraz była naprawdę wolna. Jej rozdarta dusza stanowiła całość, a wypełniające ją niemal euforyczne uczucie dawało siłę, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Nawet nie zauważyła, kiedy wyszła z gabinetu. Szła ulicami zatopiona w myślach i tylko tajemniczy uśmiech czaił się w kącikach jej czerwonych ust.

***

– I jak było u psychiatry?- spytał Mateo przy kolacji.

– Ciekawie – Anna mruknęła z ustami pełnymi sałatki. – To miły staruszek – dodała już po przełknięciu. – Wytłumaczył mi moje sny, jako ukryte pragnienia podświadomości. Typowe freudowskie brednie. – Machnęła ręką.

– Ale ja ciągle nie rozumiem, dlaczego poszłaś z tym od razu do psychiatry, a nie na przykład do psychologa?

– Mój ojciec był psychologiem. Nie mam do nich za grosz zaufania.

– Acha. – Mężczyzna zamyślił się na chwilę. – Jutro jadę do Bośni. Kolejny konflikt potrzebuje udokumentowania, a ja jako najlepszy fotograf agencji jadę w najbardziej zapalne rejony. – Uśmiechnął się z dumą.

– Znów będę się martwić – westchnęła Anna. – Jak zwykle...

***

– Myśl o niej. – Mężczyzna szeptał do ucha dziewczynki leżącej na stole w celi o zimnych, białych ścianach. Jedynym elementem wyposażenia pomieszczenia był stół. W kącie kilku żołnierzy ONZ paliło trawę.

To nie był pierwszy „wspomagacz" tej nocy, jak i nie pierwszy gwałt. Lubili pracować dla tego polskiego fotografa – płacił, dostarczał towaru, a w zamian mieli tylko rżnąć jakiegoś bachora przed obiektywem. Przyjemne z pożytecznym.

Na początku prawie zawsze dzieciak wierzga, ale po kilku uderzeniach już leży spokojnie. Zresztą, ta mała suka powinna się cieszyć, że może zaspokoić potrzeby takich wspaniałych amerykańskich żołnierzy, jak my. Co ten czubek szepcze tej wywłoce na ucho? Kompletnie ześwirował od prochów! Co to za brednie o jakimś czerwonookim demonie, który ma się na nas zemścić? Co on pierdoli?! Zresztą, to nie nasza sprawa, czas na kolejny numerek. Hej, co jest? Żarówka chyba siada, bo jakoś się ściemniło. O kurwa... O kurwa! Kto to jest???!

– A więc przyszłaś. – Mateusz uśmiechnął się. Był podniecony, a w jego oczach płonęło szaleństwo.

– Przyszłam. – Głos demona zadudnił mu w głowie.

– Przedstawiam wam, chłopaki, oto moja żona. – Wskazał na mroczną istotę. Żołnierze zarechotali obleśnie i odłożyli broń, która z przybyciem demona błyskawicznie znalazła się w ich rękach.

– Ją też mamy zerżnąć? – spytał świński blondyn. – Jakby co, to ja będę pierwszy.

W mgnieniu oka Shan-ya znalazła się za plecami fotografa. – Z tobą porozmawiam na końcu – syknęła i dotknęła go palcem. W stronę żołnierzy rzuciła Słowo. Wszyscy znieruchomieli. W tym momencie najważniejsza była dziewczynka. Ujęła w dłonie jej skatowaną głowę i ucałowała w czoło. Rany zniknęły.

– Obudź się, malutka – szepnęła. – Jesteś już bezpieczna.

– Nigdy nie będę bezpieczna – jęknęło dziecko. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał mnie skrzywdzić.

– Już nie. Obiecuję. – Shan-ya przytuliła ją delikatnie. Drobne ciałko było bezwładne, chociaż z fizycznego punktu widzenia wszystko było już z nim w porządku. To umysł wpadał powoli w stan zupełnego odrętwienia. Demonica musiała się pospieszyć, zanim dziewczynka zupełnie zamknie się na rzeczywistość.

– Mila, spójrz na mnie! – Zmusiła ją do patrzenia w swoje oczy. W pustym spojrzeniu dziecka dostrzegła jeszcze przebłysk świadomości. – Wiem, ile zła spotkało cię w życiu. Wiem, jak zginęła twoja rodzina. Wiem o wszystkich rzeziach i masakrach, których byłaś świadkiem. O wszystkich krzywdach, jakich doznałaś, i mogę zabrać cię do miejsca, gdzie o tym wszystkim zapomnisz. Jest tylko jeden warunek – zastrzegła. – Udając się tam, dla tego świata musisz umrzeć.

Dziewczynka bez wahania skinęła głową.

***

Dziecko było już bezpieczne, więc Shan-ya mogła zająć się drugim etapem swojej wizyty – zemstą. Zemsta należała do niej. A może kara? Dawno już przestała rozróżniać te dwa pojęcia tak

podobne do siebie, bo czyż kara nie jest zemstą w świetle prawa? A ona była sędzią i katem, Demonem Wybawienia i Aniołem Zemsty. Poza tym lubiła swoją pracę i była w tym dobra. Najlepsza.

Pstryknęła palcami. Żołnierze ocknęli się. W opuszczonych luźno dłoniach Shan-yi pojawiły się dwa lśniące czerwienią, zakrzywione sztylety.

– O, będzie ostro! – ucieszył się jeden z członków sił pokojowych ONZ. – To lubię! Miałem już dość tych uległych szczyli.

Wyciągnął z cholew swoich ciężkich butów dwa długie noże i z kpiącym uśmiechem ruszył w stronę demonicy. Ona obojętnie przeszła obok niego i zatrzymała się krok za jego plecami. Nienaturalną ciszę, która zapadła niespodziewanie, rozdarł ryk bólu. Żołnierz patrzył na swoje ręce pozbawione dłoni i przeraźliwie krzyczał. Czerwonowłosa uśmiechnęła się pogardliwie i z szybkością błyskawicy runęła na zamarłych z przerażenia mężczyzn. Rubinowe sztylety ostrzejsze niż najostrzejsza brzytwa, cięły głęboko skórę, mięśnie, ścięgna, kości. Mroczna śmierć wirowała pomiędzy trzema żołnierzami. Po chwili na betonowej podłodze leżały trzy zmasakrowane trupy.

– Za szybko – mruknęła do siebie niezadowolona Shan-ya. Spojrzała za siebie. Żołnierz z odciętymi dłońmi wciąż wrzeszczał, patrząc na swoje kikuty. Podeszła do niego i czysto cięła przez kark. Ciało osunęło się bezwładnie.

– A oto prawdziwy winowajca. – Stanęła przed Mateo. Noże zniknęły. Przetarła twarz dłonią. Przemknął po niej cień straszliwego zmęczenia, ale po chwili znów była kamienną maską. Tylko oczy lśniły.

– Pora wziąć się do roboty – zadecydowała i pstryknęła palcami.

Fotograf zatoczył się oszołomiony. Szybko jednak przyszedł do siebie.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. – Shan-ya oparła się plecami o ścianę. – Dlaczego?

– Dlaczego? – Teatralnie podniósł palec do góry. Był zupełnie spokojny, jatka nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Wyglądało nawet, że czegoś takiego się spodziewał.

– Pytasz mnie: dlaczego? Może dlatego, że jestem podłym zboczeńcem robiącym pieniądze na krzywdzie tak zwanych „niewinnych"? – Ruchem brody wskazał ciało dziewczynki. – A może prawda jest nieco bardziej skomplikowana? Otóż, moja droga Anno, jestem schizofrenikiem, a choroba objawia się, gdy otoczony jestem przemocą. To jak u Jekylla i Hyda – moje drugie „ja" budzi się i łaknie krwi i bólu. Nie potrafię tego opanować i nie chcę. Jest nas dwóch, a jeden nie potrafi żyć bez drugiego. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Nie myśl, moja piękna, że jestem odosobnionym przypadkiem. Jest nas wielu. Więcej niż mogłabyś przypuszczać. W sprzyjających okolicznościach niemal wszyscy zmieniają się w krwiożercze bestie – żołnierze na wojnie, strażnicy w więzieniu, ojcowie w domach. Oczywiście, stopień natężenia tego zjawiska jest zróżnicowany. – Nie przestając mówić, Mateo szukał czegoś w torbie. – Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdziesz ty lub istota tobie podobna. Powiedziały mi to twoje sny. Wolałem, żebyś to była ty – chciałem poznać mroczną stronę mojej ukochanej, łagodnej żony. I nie zawiodłem się, bo muszę przyznać, że robisz wrażenie. – Pokiwał z uznaniem głową. – Nie wiedziałem, jak można was przywołać, więc przekazywałem jak najwięcej informacji o tobie dzieciakom i dzisiaj wreszcie się udało. A muszę przyznać, że ta zdzira, którą przed chwilą zabrałaś, nie była pierwsza. – Spojrzał na czerwonowłosą, jakby spodziewał się jej strony zgrozy lub wściekłości. Jednak twarz Shan-yi pozbawiona była jakichkolwiek emocji.

– Skoro i tak mam umrzeć, to może powiesz mi, jaki jest sposób na przywołanie was?

– Nie, nie powiem.

– Jak chcesz. – Mateo wzruszył ramionami. – O, jest! – Wyciągnął z torby podłużny przedmiot owinięty tkaniną. – Wiedząc, że będziesz chciała mnie zabić, zabezpieczyłem się. To, według starożytnej chińskiej legendy, ma mi pomóc. – Ze zwojów czarnego płótna wyłonił się nefrytowy pręt zwieńczony dwiema głowami bestii. Shan-ya syknęła i zerwała się z miejsca.

– Za późno – wybuchnął śmiechem.

***

Znaleźli się na stepie pokrytym świetlistą trawą, która była jedynym źródłem światła w otaczającym mroku. Shan-ya powoli ruszyła w kierunku uśmiechniętego zwycięsko Mateo. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z jego szalonych oczu.

Po kilku krokach natknęła się na przeszkodę – niewidzialną ścianę. Westchnęła tylko i przyłożyła do niej dłonie. Rozległ się suchy trzask i droga była wolna.

– Muszę cię zmartwić, ale ta różdżka mnie nie powstrzyma. To tylko Klucz. – W jej spojrzeniu nie było litości. Ruszyła do przodu.

– Broń mnie! – wrzasnął Mateo, laską kreśląc w powietrzu dziwne figury. Rzeczywistość zadrgała.

– Żal mi ciebie, głupcze, sam sobie zgotowałeś śmierć – syknęła zła.

Między dwojgiem przeciwników zmaterializowała się olbrzymia postać. Bestia miała monstrualne rogi i paszczę pełną ostrych kłów. Właściciel różdżki z dumą popatrzył na przywołanego przez siebie demona. Natomiast Shan-ya po chwili całkowitego zaskoczenia wybuchnęła śmiechem. – To się nazywa wielkie wejście.

– Miałem nadzieję, że ci się spodoba – zadudnił potwór.

– Zdecydowanie jednak wolę twoją prawdziwą postać, Vanderinie.

– Czego tylko sobie zażyczysz. – Po chwili zamiast bestii przed demonicą stał smukły mężczyzna o długich białych włosach, cały spowity w czerń.

– W innych okolicznościach powiedziałabym, że przysyłanie akurat ciebie, wielkiego Vanderina, mojego niedościgłego mistrza, to dla mnie zaszczyt, ale teraz... sam rozumiesz...

– Wiem, wiem, ale z tym zaszczytem to przesadzasz. Z tego co słyszałem, to uczeń już dawno przerósł mistrza. – Białowłosy machnął ręką. – Na razie odłóżmy obowiązki na bok, niech się z tobą przywitam po tylu latach rozłąki.

Shan-ya uśmiechnęła się szeroko. To był jej drugi radosny uśmiech w ciągu dwunastu tysięcy lat. Pierwszy zdarzył jej się dziesięć minut temu. Zarzuciła Vanderinowi ręce na szyję i utonęła w jego serdecznym uścisku. Po chwili Białowłosy wypuścił ją z objęć i popatrzył głęboko w oczy. – Dopiero teraz czuję, jak bardzo mi ciebie brakowało. – Tęsknota przebijała z każdego słowa.

– Miałeś ją zabić, a nie mizdrzyć się do tej dziwki! – wrzasnął rozgoryczony Mateo. Zamilkł, gdy zobaczył twarz wezwanego demona wykrzywioną grymasem nienawiści. Ujrzał, jak jego usta nieubłaganie układają się w Słowo. W następnej sekundzie Mateo był nieistotną kupką popiołu rozwiewaną przez wiatr.

– Całkiem nieźle się ukryłaś. – Vanderin popatrzył z uznaniem na Shan-yę. – Teraz, żeby cię znaleźć, musimy używać takich prymitywnych Kluczy.

– Na tym właśnie mi zależało. Chociaż miałam nadzieję, że ostatnim razem zniszczyłam wszystkie Klucze na tym świecie.

– I tak było. Ten sam zrobiłem. – Demon uśmiechnął się szeroko. – Jestem jedną z nielicznych istot, która zawsze do ciebie trafi. Wykorzystując w tym celu nawet takie obrzydliwe stworzenia, jak on. – Wskazał kupkę popiołu.

– Tak, nie przewidziałam twojej determinacji – westchnęła Shan-ya.

– Wiesz, po co przybyłem.

– Wiem. I wiem, że ze strony bogów to było perfidne posunięcie – przysłanie ciebie.

– Mieli nadzieję, że mnie wysłuchasz. Pomimo twojej niesubordynacji nie chcą, żeby stała ci się krzywda. Wróć ze mną, a nie spotka cię żadna kara – oświadczył wspaniałomyślnie.

– Nie chcę ich łaski. – Usta Shan-yi wygięły się w grymasie pogardy. – Nie są już dla mnie Doskonałością. – Słowa głucho zadźwięczały w martwej ciszy.

Vanderin zbladł, słysząc takie świętokradztwo. – Nie rozumiem, jak możesz tak mówić? To oni cię stworzyli, dali ci świadomość i potęgę. Byłaś ich najukochańszym dzieckiem! Nie możesz....- Zabrakło mu słów.

– Nie oszukujmy się, stworzyli mnie dla własnych korzyści. Spłaciłam już swój dług setki razy, niszcząc niezliczone ilości światów – nieudane boskie eksperymenty! Pomyśl, że na każdym nich żyły istoty mające własną świadomość, a oni bezdusznie kazali mi je mordować tylko dlatego, że nie spełniły ich oczekiwań. – Gorycz w słowach demonicy była niemal namacalna. – Czy to, że tak wiele Rzeczywistości powstało wadliwych nie oznacza, że z ich twórcami też nie wszystko jest w porządku?

– Nie zapominaj, że na każdym z tych światów zaraz po stworzeniu istoty były bez skazy. Tak samo było z ludźmi. Teraz jednak to zdegenerowany świat, do którego wysłano cię, żeby go zniszczyć, a ty się sprzeciwiłaś. Co gorsza, zaczęłaś go chronić przed innymi Wysłannikami. Wygląda na to, że zostałaś lokalną *axis mundi* – osią Wszechświata dla tego Uniwersum – zakpił.

– Udało mi się uzyskać wolną wolę i sama mogę już o sobie decydować. Nie jestem i nigdy już nie będę bezwolnym narzędziem w rękach egoistycznych bogów. – Shan-ya twardo spojrzała Vanderinowi w oczy.

– Naiwna istoto! Oślepiła cię ta twoja pycha. Nie widzisz, że stajesz w obronie chorego i obrzydliwego tworu? Bo ludzkość nie jest niczym więcej, jak zwykłym wrzodem. Robisz to tylko po to, żeby zamanifestować swoją „wolność". Dusze, które „ratujesz" – prychnął pogardliwie – są skażone złem. Ziarno nienawiści zostało już w nich posiane. Nie zmienisz tego, to jest natura człowieka. Ale ty, wieczna idealistka, nie chcesz tego dostrzec. Uroiło ci się w tej twojej doskonałej moralnie główce, że to jest twoja prawdziwa misja. Trwonisz swoją niewyobrażalną potęgę na ratowanie „czystych dusz". Zrozum wreszcie, że na tym świecie takich nie ma! – Ostatnie słowa wykrzyczał Shan-yi prosto w twarz.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć? Ile czasu krążysz po ziemi? Dziesiątki, setki lat? – W głosie demonicy słychać było wewnętrzną pasję skrywaną pod cienką warstwą opanowania. – Dłużej tu jestem i chociaż zdaję sobie sprawę, czym jest ludzkość, to wiele się od niej nauczyłam. Między innymi współczucia. Ale też i gniewu. Drażnią mnie Wysłannicy, którzy przybywają i wciąż przytaczają te same argumenty, nawet nie zastanawiając się zbytnio nad ich sensem ani nad moimi pobudkami. Nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, dlaczego bogowie wciąż tworzą nowe światy, a te, które już ukończyli, zostawiają samym sobie? Sam mówiłeś, że tworzą istoty doskonałe, dlaczego więc tracą nimi zainteresowanie w momencie, gdy kończy się proces twórczy? Dlaczego nie poprowadzą istnień stworzonych przez siebie dalej przez tysiąclecia, jak to czynią z nami? Wystarczyłoby trochę zaangażowania z ich strony, a ludzie nie ulegliby degeneracji, tak jak my nie ulegliśmy. Ale bogowie szybko się nudzą. Bawi ich tworzenie światów, ale nic poza tym. Tworzą je tylko po to, żebyśmy my chwilę później po nich sprzątali. To ich powinno się ukarać za mnożenie światów, w których szerzy się okrucieństwo i nienawiść.

– Ty chyba oszalałaś! – Vanderin był wstrząśnięty słowami Shan-yi. – Ukarać bogów? To niewyobrażalne i niemożliwe!

– Niestety, zdaję sobie z tego sprawę, więc tylko odcinam się od tego, co robią. Nie będę już więcej ich narzędziem i nie będę więcej patrzeć na nędzę, jaką pozostawiają po sobie.

– Nie wrócisz ze mną? – Demon spytał, chociaż znał już odpowiedź.

– Nie. Ale może ty zostaniesz z nami? – Shan-ya uśmiechnęła się i z czułością pogładziła jego policzek. – Wysłali cię tu, bo myśleli, że zobaczywszy cię, zmięknę. Samym twoim widokiem sprawili mi olbrzymią radość i za to jedno jestem im wdzięczna. Zostaniesz?

– Wiesz, że nie. – Pocałował zrezygnowany jej dłoń. – Twoje argumenty do mnie nie trafiają. Ale powiedziałaś „z nami"?

– Wyobraź sobie, że moje argumenty jednak trafiły kilku Wysłannikom do przekonania i ofiarowali mi swoją pomoc. Wspólnie ratujemy dusze. Może w ten sposób szukamy odkupienia? Kto wie...

– Tak, twoja siła przekonywania jest niebezpieczna – uśmiechnął się lekko. – Co szykujecie? Rebelię?

– Bynajmniej. Spokojnie sobie siedzimy i zajmujemy się swoimi sprawami. Czasami tylko jakiś Wysłannik nas odwiedza, ale zazwyczaj na krótko. – Demonica uśmiechnęła się brzydko.

– Wiesz, że któreś z nas musi odejść.

– Wiem, ale nie chcę cię zabijać.

– Taka jesteś pewna swojej potęgi?

Shan-ya uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Już dawno minęły czasy, kiedy byłeś moim niedoścignionym mistrzem.

– Niestety... Czuję twoją moc każdą częścią mojego ciała. I przeraża mnie ona. – Zamyślił się, ale zaraz oprzytomniał. – Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że oni tu przybędą, gdy tylko dojdzie ich choćby plotka o twej potędze?

– Tak, wiem o tym, dlatego staram się, żeby żyli w nieświadomości. Zdaję sobie jednak sprawę z potęgi bogów i wiem, że niektórzy z nich wciąż jeszcze są w stanie mnie zniszczyć. I właśnie z tego powodu stworzyliśmy azyl dla czystych dusz. To nie pozwoli unicestwić ludzkości całkowicie – najbardziej wartościowe jednostki przetrwają. To oni zapoczątkują nowe życie i nowy świat.

– Który jak tenm stoczy się w zgniliznę słabości ludzkiej natury.

– Nie, dlatego, że ci, którzy mnie zastąpią będą nad nimi czuwać i prowadzić właściwą drogą. Zrobimy to, co powinni byli zrobić bogowie tysiące lat temu.

– Pretendujecie do miana nowych bogów? – Spytał z niedowierzaniem demon.

– Nie, wciąż pozostajemy Strażnikami i Sługami. Tym razem jednak będziemy służyć ludziom, nie bogom. – Shan-ya spojrzała prosto w oczy Vanderina – Teraz, gdy znasz tak wiele tajemnic, musisz albo ze mną zostać, albo umrzeć. Nie ukrywam, że wolałabym, żebyś został – dodała łagodniej.

– Nie mogę. Służę im i tak pozostanie.

– Więc zginiesz, patetyczny durniu, i obudzisz się na granicy Rzeczywistości Absolutnej. Będziesz odradzał się setki, albo tysiące lat zanim rozpoczniesz swoją podróż z powrotem do swoich próżnych i zazdrosnych Bogów. Miłość zamieniasz na obowiązek. Niech i tak będzie. – Zacięła usta. – Kończmy.

– Kończmy. – Vanderin westchnął ciężko. – Nigdy wcześniej nie umarłem.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – stwierdziła obojętnie.

– Zrób to szybko – w jego czarnych oczach czaił się lęk przed nieznanym. – Pocałuj mnie ten pierwszy i ostatni raz – szepnął.

Podeszła i pocałowała go miękko. Całowała długo, aż poczuła w ustach krew. Bezwładne ciało Vanderina osunęło się na trawę. W dłoni ściskała wyrwane serce. Rozprostowała palce. Na dłoni zamiast krwawego ochłapu zobaczyła czarnego motyla, który wzbił się, trzepocząc skrzydełkami, i krążył dookoła jej głowy.

– Dlaczego nie odlatujesz? – zdziwiła się. – Czeka cię daleka droga zanim dotrzesz do miejsca swoich narodzin.

Motyl odleciał kilka kroków i usiadł na źdźble trawy. Shan-ya lekko zaniepokojona ruszyła w jego kierunku. Zakręciło jej się w głowie. Potknęła się i upadła, nogi nie mogły jej już utrzymać. Całe ciało drgało konwulsyjnie. Powoli ogarniało je przejmujące zimno.

– Ja... umieram... – szepnęła zdziwiona. Gasnący wzrok padł na motyla prawie niewidocznego w otaczającym mroku. W tym momencie zrozumiała. – Otrułeś mnie swoją krwią... podstępny sukinsynu...

– To prawda, że jesteś potężna, ale ciągle naiwna. Wiele jeszcze musisz się nauczyć – usłyszała gdzieś w oddali śmiech Vanderina. – Nie mogłem pozwolić, żeby ukarali cię za twoją herezję. Zanim się odrodzimy, przejdzie im złość na ciebie. Mamy przed sobą wiele setek wspólnych lat...

Oczy Shan-yi zgasły.

Z otwartych ust demonicy nieporadnie wyszedł czarny motyl. Niepewnie zatrzepotał skrzydełkami i już miał wzbić się do lotu, gdy wokół niego zamknęły się ścianki kryształu.

– Wreszcie cię mam, moja ty wspaniała, niepokorna istoto – pokrzywiona starowinka podniosła kryształ na wysokość oczu. W środku szamotała się schwytana dusza Shan-yi. – Nie sądziłaś, mam nadzieję, że ten bunt zostanie ci podarowany? Jak na istotę, którą stworzyłam, stałaś się zbyt butna i, szczerze mówiąc, zbyt potężna. Teraz będziesz miała dużo czasu na zastanowienie się, dlaczego nie igra się z bogami. Mam nadzieję, że wyciągniesz odpowiednie wnioski. A na razie z twojego więzienia każę sobie wykonać wisiorek. Miło będzie mieć cię zawsze przy sobie. – Starucha uśmiechnęła się złośliwie. Zmarszczyła brwi i spojrzała na drugiego motyla. – Wiem, jak się umawialiśmy, ale to w tym momencie nie jest istotne. Od kiedy sługa może wchodzić w układy ze swoim panem? – prychnęła pogardliwie. – I uważaj na to, co mówisz, bo mogę uznać, że mnie obraziłeś, a wtedy wystarczy, że zgniotę ten kryształ razem z jego zawartością i nigdy już nie ujrzysz Shan-yi. – W oczach bogini błysnęły złe ognie. Po chwili zniknęła. Motyl odleciał w Mrok.

***

– Panie doktorze! – Do dyżurki wpadła pielęgniarka. – Pacjentka z dziewiątki dostała zapaści po nowym leku!

– Ta katatoniczka? – spytał lekarz w biegu, przecierając zaspane oczy.

– Ta sama – potwierdziła pielęgniarka.

– Cholera, nie powinna być uczulona na składniki...

– Jednak wygląda na to, że była – ucięła zdenerwowana pielęgniarka. Konająca pacjentka była jej ulubioną podopieczną. Cicha i spokojna, miała długie czerwone włosy i chroniczne zapalenie spojówek. Nikt nie znał przyczyn jej choroby.

Lekarz wpadł do sali, gdzie na łóżku dygotała dziewczyna. Nagle jej wzrok oprzytomniał. Spojrzała smutno na lekarza i pielęgniarki. – Nie udało się... – wyszeptała. Ostatnie tchnienie, zwiotczenie ciała.

W ciszy jaka zapadła słychać było tylko uderzenia skrzydełek o szybę.

– Skąd tu się wzięła ćma? – przerwał milczenie lekarz.

– Musiała wlecieć z korytarza – domyśliła się pielęgniarka. – Wypuszczę ją – uchyliła okno i wielki, czarny motyl wyleciał w noc.

– No, dobra – lekarz pierwszy otrząsnął się z ponurego nastroju. – Zawieźcie ją do lodówki. Mamy innych chętnych do izolatki.

Magdalena Kozak

Świt

Nie mogę zasnąć. Nic a nic.

Leżę na łóżku i przewracam się z boku na bok.

Na łóżku – to trochę za dużo powiedziane. Ot, zwykły materac położony na betonowej podłodze. Cabaña – drewniana chatka, kryta palmowymi liśćmi – nie oferuje specjalnych wygód. Dlatego właśnie wybraliśmy dziś taki nocleg: bez prądu, wody i pozostałych znamion cywilizacji, mały domek, zagubiony na plaży Morza Karaibskiego. My, mieszczuchy, już przy czymś takim odczuwamy posmak prawdziwej przygody.

Moi współtowarzysze śpią mocno, zmęczeni wrażeniami. Szum wody, miarowo spływającej po palmowym dachu, ukołysał ich błyskawicznie. Jest maj, właśnie zaczyna się pora deszczowa. Krople padają gęsto, na betonowej podłodze przed drzwiami zgromadziła się już spora kałuża.

Przewracam się z boku na bok. Toczę wewnętrzną wojnę, którą co i rusz przegrywam, odwracając bezsilnie głowę w kierunku plecaka. Tam schowałam komórkę.

Czekam na jedną jedyną odpowiedź, wbrew sobie, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, przecież wiem, że i tak ten SMS nie nadejdzie. Ale jednak czekam.

I myślę wciąż o... nim. Nic na to nie potrafię poradzić.

A przecież wyjechałam, by zapomnieć. Skończyć, zniszczyć, wyrwać z serca, wypalić do cna. Nie odzywać się. Być ponad to. Udawać, że mnie wcale nie obchodzi. Nic a nic.

Przez pierwszy tydzień całkiem dobrze mi szło. Meksyk, kraj pełen kontrastów, piekło i raj, tyle miał do zaofiarowania. Natłok nowych wrażeń przytłumił trochę ten wciąż ćmiący, nieustępliwy ból. Tak, całkiem dobrze mi szło. Już prawie w ogóle nie czekałam na chociażby jeden SMS od niego... Chociażby jedno słowo, jeden gest, jeden znak... Że jednak mu zależy, że jednak... Nie, nie czekałam, nie myślałam, codziennie, bez wytchnienia, z rozpaczą schowaną głęboko na dnie. Nie pisałam, nie dzwoniłam. Doskonale potrafiłam istnieć bez niego, powtarzałam to sobie na każdym kroku. Uśmiechałam się, zachwycałam nowym otoczeniem. Nikt ze znajomych nie zauważył u mnie nawet śladu cierpienia, tak dobrze mi szło udawanie.

Do czasu. Aż przyszedł strach. Właśnie tutaj, w Tulum, na brzegu Morza Karaibskiego.

Leżę w łóżku i przewracam się z boku na bok.

Nerwowymi ruchami szarpię wisiorek na szyi. Ot, taki tam, malachitowy krążek z wyrzeźbionym kalendarzem Azteków. Kupiłam go dziś na bazarze za czterdzieści pesos. A teraz międlę go w dłoniach w poszukiwaniu jakiejkolwiek ulgi. Byle czymś zająć ręce, byle tylko doczekać do świtu... albo zasnąć.

Ciało mam nabrzmiałe wodą, spuchnięte, ociężałe. Zespół napięcia przedmiesiączkowego, tylko dlaczego to trwa aż tak długo. Spokojnie, to tylko zmiana klimatu. Normalka. Już za chwileczkę, już za momencik nadejdzie okres. I zaraz będę znów rozbrykana, wesoła, szczęśliwa. Tylko trzeba przetrwać, doczekać. Tylko tyle.

Kolejne niecierpliwe spojrzenie w kierunku komórki. Tutaj jest środek nocy ale w domu jest siedem godzin później, już dzień. Mógłby już odpisać... gdyby chciał.

Dzisiaj po południu nie wytrzymałam, niestety. „Może jestem w ciąży. Martwię się. Odezwij się, proszę." – pękłam SMSem.

Jak dotąd, nawet nie raczył odpowiedzieć. A mógłby już dawno odpisać... gdyby chciał.

No cóż, kochana. Najwyraźniej nie chce, przyjmij to do wiadomości. Albo po prostu jest już z nią i nawet nie zamierza rzucić głupiego „przepraszam". Zdrajca. Podły zdrajca. No cóż, kochana. *Don't dream, it's over*. Przestań bezsensownie czekać, nie warto. A najlepiej to zaśnij wreszcie.

Szmer deszczu nasila się. Światło błyskawicy przedziera się przez szpary pomiędzy deskami, gdzieś z oddali dobiega narastający grzmot, oto tropikalna burza. To jest to, smak prawdziwej przygody.

Przewracam się z boku na bok, wzdychając niecierpliwie i spoglądając co chwila w kierunku komórki.

Grzmoty stają się coraz częstsze, coraz głośniejsze, burza jest coraz bliżej. Nagle siadam na łóżku. Ze zdziwieniem wsłuchuję się w noc.

Pomiędzy grzmotami rozróżniam jakiś rytmiczny, niepokojący ton.

Bębny.

Tak, słyszę je wyraźnie. Ich dźwięk to wznosi się, to opada, ani na chwile nie gubiąc rytmu, jakby wciąż powtarzając jakąś wiadomość. Nie rozumiem jej, a mimo to zaczynam się bać.

Do bębnów dołącza się daleki, ledwie uchwytny dźwięk konchy. Pomimo upału przeszywa mnie dreszcz.

Nagle dopada mnie lekki zawrót głowy a po chwili już zaczynam widzieć inaczej, patrzeć inaczej, zaczynam rozumieć. Ten dźwięk... to jest wezwanie.

Chodź.

Wstaję więc, wolnym krokiem podchodzę do drzwi. Krótki zgrzyt skobla i oto jestem na dworze.

W krótkich migawkach błyskawic widzę, jak palmy wokół uginają swe pióropusze pod bezlitosnymi smagnięciami wiatru.

Idę na plażę, coraz spieszniejszym krokiem. Spienione morze podąża na spotkanie moich stóp. A ja, niczym zahipnotyzowana, odwracam głowę w bok, na północ, i spoglądam na sterczące na klifie ruiny.

To tam. Stamtąd pochodzi Zew.

Zaczynam biec. Słona woda rozpryskuje mi się spod nóg. Strumienie deszczu omywają mnie całą, wiatr rzuca dziesiątki kropel prosto w twarz. Biegnę jednak co sił, nie czując zmęczenia, jak we śnie.

Błyskawice co chwilę rozświetlają głębokie ciemności. Gdyby nie te przebłyski, nie widziałabym nawet własnej ręki. Czarne chmury zasnuły niebo całkowicie, nie ma księżyca ani gwiazd.

Dopadam wreszcie stromych, ostrych skał. Próbuję się na nie wdrapać, jednak są zbyt śliskie. Po kilku niezdarnych chwytach, zjeżdżam bezradnie w dół.

Nie szkodzi. Nie tak, to inaczej. Odpowiem na Wezwanie, nie poddam się.

Wbiegam do morza.

Płynę przed siebie, walcząc zaciekle z falami. Potem zwrot w lewo, ku zatoczce. Boję się, bardzo się boję. W każdej chwili wzburzona woda może mną cisnąć o skały. Pomimo to, płynę dalej. Aż wreszcie wychodzę na piasek zatoczki, słaniając się na nogach ze zmęczenia.

Wokół mnie ruiny Zamy, miasta Majów.

„Zama" znaczy „świt", „w kierunku świtu". Tej nocy trudno mi uwierzyć, że coś takiego, jak świt w ogóle istnieje. Ta noc jest przepojona ciemnością. Migotanie błyskawic dodaje jej trochę światła... ale to światło lampy stroboskopowej, niosące tylko niepokój zamiast otuchy.

Bębny łomoczą wokół mnie, konchy wspomagają je swym rykiem. Coraz potężniejszy jest Zew.

Odwracam się w prawo, wdrapuję na górę.

Przede mną świątynia o kształcie ustawionego pionowo walca. Szereg wyciosanych w nim stopni prowadzi do prostokątnego budynku ołtarza. Już wiem, już poznaję. Owalną podstawę

świątyni ma tylko jeden bóg, wiatr wiejący ze wszystkich stron.

Ehécatl, Pan Życiodajnego Wiatru, odbiera tu swoją cześć. To jedna z wielu twarzy Kukulcána, zwanego przez Azteków Quetzalcoatlem, Upierzonym Wężem, najwyższym Władcą wszelkiego stworzenia.

Wchodzę po stopniach, po twarzy płyną mi łzy. Pan przestworzy, oto mój bóg. Jego rozumiem najlepiej, powietrze jest moim ukochanym żywiołem.

Docieram wreszcie do ołtarza. Staję przed nim, unoszę w górę twarz, ku niebu.

– Czego pragniesz? – pyta mnie świszczący dookoła wiatr.

Wybucham niepohamowanym płaczem.

– Daj mi serce tego mężczyzny, o Panie! – krzyczę, w rozpaczliwym zapamiętaniu, zaciskając dłonie w pięści. – Daj mi jego serce, proszę!

Błyskawica rozdziera niebo na pół. Przeraźliwy grzmot rozlega się dookoła. Świat wiruje, obrazy przed moimi oczami nakładają się na siebie, drzewa i kamienie to wydają się całkowicie przezroczyste, to znów nadrealnie ostre... Aztecki talizman na mojej szyi drga i podskakuje, wzywając pradawną moc i łącząc teraźniejszość z przeszłością.

Stoję przed kamiennym ołtarzem. W obu dłoniach ściskam malachitową rękojeść obsydianowego noża.

Na stromych schodach świątyni stoją półnadzy ludzie różnych ras. Wyglądają na niezupełnie rozbudzonych, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jakby odpowiedzieli na Zew i przybyli tutaj na wpół świadomi, nie do końca pojmując, jaka jest ich rola w tej ceremonii.

Stoję na szczycie świątynnych schodów. Malachitowy amulet jarzy się na mojej piersi delikatną, seledynową poświatą.

On – on! – leży na ołtarzu, skrępowany, nagi. Jego wzrok wbija się we mnie w pełnym zdumienia niedowierzaniu. Czyżby ktoś, ktokolwiek, zapragnąłby – ośmieliłby się! – go skrzywdzić? Celowo? Z pełną premedytacją?

Znam ten wyraz twarzy, grałam już kiedyś w tej scenie i to niejeden raz. Dokładnie takie same były moje oczy w lustrze, pełne łez. To przez niego wylałam ich tyle... A on nie miał wtedy dla mnie ani trochę litości, nic a nic.

Czuję, jak narasta we mnie wściekły, nieokiełznany gniew: dojmująca, prymitywna furia.

Unoszę do góry kamienny nóż.

Mężczyzna zaczyna krzyczeć, ze strachem, z rozpaczą, a jednocześnie z całkowitą niewiarą w to, co się dzieje. Wtedy nóż w moich rękach opada na jego klatkę piersiową, gruchocząc żebra, przecinając skórę i mięśnie z niewiarygodną siłą. Mężczyzna szamocze się jak oszalały, wciąż krzycząc, jego krew spływa strugami na ołtarz ofiarny, cieknie na kamienną podłogę. Krótkie szarpnięcie i oto zerwana ściana z mięśni i kości odsłania łomoczące serce. Delikatne, precyzyjne cięcie, wycieka strużka płynu osierdziowego i serce – jego serce! – już jest na wierzchu. A teraz kulminacja, bębny przyspieszają swój rytm do granic możliwości, konchy ryczą, niczym oszalałe. Nóż ślizga się we krwi, rozpruwając wielkie naczynia, żyły główne: górną i dolną, pień płucny, aortę. Przekładam nóż do lewej dłoni, po czym jednym, silnym, zdecydowanym ruchem prawej ręki wyrywam serce z klatki piersiowej. Podnoszę je do góry, podążając za nim zachwyconym wzrokiem. Oto nareszcie mam to, czego od dawna tak gorąco pragnęłam.

Jego serce.

On nie krzyczy już. Docenia właśnie mój wspaniałomyślny gest.

Zginął zaszczytną śmiercią na ołtarzu i dzięki temu będzie po wieczność wędrował z bogami. Mictlantecihuatl, Pani Umarłych, nie pożre jego duszy, jak to czyni z tymi, którzy odeszli gnuśnie w łóżku, marnotrawiąc dar życia. Chwalebna śmierć w boju lub na ołtarzu – oto, dla czego warto żyć.

Taka jest naturalna kolej rzeczy. Niczym ziarna kukurydzy, rzucone w ziemię na zatracenie, by odrodzić się nowym plonem, tak i ludzie przez swoją śmierć rozpoczynają nowe życie. Zaś ich krew, spływająca po stopniach świątyń, pozwala światu odradzać się ponownie i trwać jeszcze przez chwilę, aż do kolejnej ofiary.

Bogowie swoją własną krwią tchnęli życie w ten świat i dlatego też potrzebuje on wciąż i wciąż tego życiodajnego płynu, by móc dalej istnieć. Inaczej wszystkich nas czeka niechybna zagłada.

A teraz ja zwracam im część tego daru, znacząc stopnie świątyni krwią mojego byłego kochanka. Uwalniam Świt.

Czerwony płyn płynie w dół i w dół, wsiąka w szczeliny między kamieniami. Ściany świątyni bieleją a potem pokrywają się boską czerwienią, zwietrzałe kamienie znów stają się lśniące i gładkie. Fala odnowienia rozbiega się po mieście, budynki prostują się z upadku, ich postrzępione ściany nabierają z powrotem chłodnej elegancji. Tu i ówdzie zaczynają płonąć ogniska. Zama odradza się.

Bębny i konchy milkną nagle. Morze uspokaja się natychmiast, wiatr cichnie, błyskawice przestają rozdzierać niebo. Chmury uciekają, na niebie zaczynają migotać gwiazdy. Nie ma księżyca, ale to przecież nów.

Matka Ziemia odżywa, napojona boskim płynem. Świat został ocalony jeszcze raz. Na jakiś czas – aż do następnej ofiary.

Ludzie, stojący dotąd w somnambulicznym bezruchu, odwracają ku mnie głowy i patrzą z bezmierną ulgą na znieruchomiałe już serce, ściskane w mojej uniesionej dłoni. Jednogłośnie wydają radosny, pełen zrozumienia okrzyk. Rzucam więc nóż na martwe ciało, rozpostarte przede mną na ołtarzu, a potem zdecydowanym pchnięciem strącam je z chłodnego, gładkiego kamienia. Trup toczy się po stopniach w dół, by wreszcie zalec bezwładnie u stóp świątyni. Ludzie zbiegają ku niemu, ściskając w dłoniach obsydianowe noże, takie same, jak mój, a potem energicznie rozdzielają ciało na części. Za chwilę rozpocznie się święta uczta.

Schodzę ze stopni świątyni powolnym krokiem. Jestem zmęczona, jestem tak bardzo zmęczona...

Zostawiam za sobą rozświetlone mury zmartwychwstałego na chwilę miasta i rozśpiewanych szczęściem ludzi. Idę do morza, zanurzam się w nim. Sunę powoli przez gładką taflę wody, czując, jak narasta we mnie poczucie nieopisanej ulgi. Gdzieś po drodze rozwieram palce, serce opada w głębiny. Na nic mi ono, już mi niepotrzebne przecież. Już nie.

Jestem wolna. I ocalona.

Nadchodzi świt.

Budzę się nagle, siadam na materacu, rozpostartym na betonowej podłodze. Wokół mnie ożywione głosy przyjaciół.

– Słyszałaś? Maciek nie żyje! – oznajmia wzburzona Ela, widząc, że wstałam. – Umarł przed paroma godzinami, zdaje się, że na zawał... To straszne! Tak niespodziewanie! I to na dodatek w tak młodym wieku!

Przybieram poruszony, przejęty wyraz twarzy. Ale w środku nie czuję nic. Nic a nic. Pusto. Jakbym go nie znała nigdy. Jakby pomiędzy nami nigdy nic nie było. Nigdy, nic.

Wstaję, wychodzę z cabañi, idę w kierunku baños, czyli tutejszej imitacji łazienek. Myję zęby, opłukuję twarz... I nagle czuję, jak po moich udach spływają pierwsze krople gęstej, ciemnoczerwonej, miesięcznej krwi.

Uśmiecham się.

Powolnym, spacerowym krokiem idę na plażę. Tam siadam na piasku, opierając się plecami o smukły pień palmy kokosowej. Zachwyconym wzrokiem wodzę po okolicy.

Morze faluje przepięknym, lazurowym kolorem. Miałki piasek lśni najczystszą bielą. Palmy wdzięcznie stroszą swoje zielone pióropusze. Wielobarwne ptaki przekrzykują się wesoło. Kraby wędrują po plaży, naprawiając swe norki, spustoszone przez burzę.

Słońce błogosławi nas wszystkich, spoglądając z uśmiechem z góry.

A ja, jak Matka Ziemia, odżywam wraz z krwią.

Aleksandra Janusz

Wysłuchane w herbaciarni

Ze współlokatorkami to jest tak, że nigdy właściwie do końca nie wiadomo. Dajesz, powiedzmy, ogłoszenie na uczelni, że chcesz wynająć mieszkanie z kimś, kto nie pali i jest mniej więcej w twoim wieku. Masz dużą tolerancję dla ludzi, tego akurat jesteś pewna; przecierpisz nawet cudzy zwyczaj wyjadania łyżką nutelli ze słoika albo uczulenie na koty. Z góry zakładasz, że wszystkie dziwaczne typy zostaną odrzucone po pierwszej rozmowie. Bo typ dziwaczny, wiadomo: widać od razu. A nawet jeżeli nie widać, dziwność niewątpliwie wyjdzie na jaw, jeśli tylko pociągniesz przyszłą współlokatorkę za język.

I tutaj popełniasz pierwszy i największy błąd. Rzeczywistość jest mianowicie podstępna, złośliwa i lubi robić głupie dowcipy. Otóż, podkreślę to z całą stanowczością, nie ma normalnych sublokatorek. Najpóźniej po miesiącu wspólnego mieszkania, kiedy to obydwie oswajacie się ze sobą na tyle, aby nie kontrolować bez przerwy własnego zachowania, wychodzą na jaw osobiste bziki twojej współmieszkanki. To może być coś tak niewinnego i denerwującego zarazem jak chorobliwa mania sprzątania, czy też skłonność do okupowania godzinami łazienki. Istnieje jednak całkiem spore prawdopodobieństwo, że trafi się coś znacznie ciekawszego. Lokatorka może być wojującą feministką, nieuleczalną wielbicielką japońskich komiksów, niespełnionym muzykiem (Boże broń!), kleptomanką, nimfomanką, lunatyczką albo nawet facetem; możliwości są nieograniczone.

Może się też zdarzyć tak, że dostaniesz lokatorkę idealną: cichą, spokojną, zgodną i bez żadnych szczególnych odchyleń na tle czegokolwiek. W takim wypadku przygotuj się na to, że w ciągu następnych dwóch miesięcy ta wspaniała dziewczyna zostanie Świadkiem Jehowy, przyniesie tarantulę w słoiku, znajdzie sobie chłopaka, który uważa się za wampira, lub coś w tym guście; generalnie, zdziwaczeje na twoich oczach. I wtedy naprawdę, ale to naprawdę zaczynasz już się zastanawiać – czy ty przyciągasz takie typy, czy po prostu je tworzysz.

Alicja od początku nie sprawiała wrażenia normalnej. Studiowała przecież na ASP, a po takich ludziach można spodziewać się wszystkiego. Byłam jednak przekonana, że nie trafię gorzej niż za ostatnim razem. Poprzednia lokatorka okazała się być dobrze zamaskowanym patologicznym kłamcą ze skłonnościami do mitomanii. Napsuła mi sporo krwi zanim zorientowałam się, że jej rewelacje na temat mojego najbliższego towarzystwa były po prostu sprytnie zmyślone. Naprawdę, nie miałam pojęcia, że można umieć tak kłamać... Ale wracajmy do rzeczy.

W przypadku Alicji wyszłam z założenia, że skoro wszystkie lokatorki są szurnięte, zgodzę się na taką, u której to widać na pierwszy rzut oka. Wtedy przynajmniej uniknę przykrych niespodzianek.

To tylko z pozoru brzmi nielogicznie. Jeśli zastanowisz się dłużej, przyznasz mi rację.

W swoim wariactwie artyści są z reguły nieszkodliwi. To egoistyczne stworzenia, przepełnione narcyzmem po czubki swoich natchnionych głów. Wystarczy chwalić ich dzieła rozsądnie często, aby zapewnić sobie ich szczerą i dozgonną przyjaźń. Alicja nie należała do wyjątków.

Prawie natychmiast przeistoczyła swój pokój w pracownię malarską. Wynajęłyśmy mieszkanie w przedwojennej kamienicy, więc na metraż nie można było się skarżyć; mimo to połowa mebli została przeniesiona do mnie. Nie miałam nic przeciwko temu. Z natury jestem kolekcjonerką gratów i gdyby nie decyzja Alicji, sama zapełniłabym pokój niepotrzebnymi sprzętami w ciągu następnych kilku miesięcy. Taki już mam styl.

Wystrój pokoju w wykonaniu Alicji też miał swoją unikalną specyfikę. Sztalugi stały na honorowym miejscu; dookoła pełno było farbek, pasteli, ołówków, teczek z rysunkami, słoików pełnych kolorowego piasku i tym podobnych drobiazgów, rozrzuconych po kątach w losowy sposób. Trzeba było patrzeć pod nogi, żeby niczego nie nadepnąć. Kilkakrotnie udało mi się wycisnąć farbę z tubki na podłogę. Całe szczęście, moja współlokatorka miała przynajmniej tyle rozumu, aby chronić klepkę folią.

O tak, mieszkanie z Alicją miało swoje uroki. I gdyby nie został przekroczony pewien próg niesamowitości... Ale o tym później.

Od początku różniłyśmy się od siebie jak dzień i noc. Ja jestem szarą, biblioteczną myszką w okularach, mało towarzyską i niezbyt atrakcyjną, zawsze odzianą bardzo praktycznie i bardzo nijako. Nie, nie próbuj zaprzeczać przez grzeczność; mam w domu lustro. Cóż na to poradzę, że wolę książki niż ludzi. Książki nie hałasują i nie narzucają się ze swoimi sprawami. Nie trzeba się dla nich malować, i co więcej, żadna z nich nie obudzi cię rano, wołając jeść.

Alicja wyglądała jak wielki, pastelowy motyl. Była wysoka, smukła i owijała się niewiarygodnymi ilościami wielobarwnego materiału. Dla niej spodnie nie liczyły się, jeżeli każda z nogawek nie osiągała przynajmniej szerokości spódnicy, natomiast bluzki przeważnie przypominały sukienki. Wokół niej zawsze powiewały jakieś szale, apaszki, szarfy i sznurki z węzełkami. Kto inny byłby po prostu śmieszny, ale jej było w tym, o dziwo, ładnie. Najwidoczniej instynkt artystyczny podpowiadał jej, jak dobierać kolory i fasony.

Wydawała się być nieco roztrzepana; przyglądała się światu charakterystycznie rozmaślonym spojrzeniem i często wpadała na różne przedmioty, przez co z początku podejrzewałam ją o sporą, nieskorygowaną krótkowzroczność. Szybko zorientowałam się, że Alicja, co prawda oczy ma doskonałe, ale za to jej mózg interpretuje bodźce wzrokowe w sposób czysto subiektywny. Mówiąc krótko, doszłam do wniosku, że moja współlokatorka żyje w nieco innym świecie.

Prawdopodobnie z jej punktu widzenia to, co zdarzyło się później, było całkiem naturalne.

Gdzieś w połowie października Alicja wybrała temat licencjatu. Przez całą sobotę przemeblowywała pokój, aby przygotować go do pracy. Generalnie sprowadzało się to do przesunięcia regału spod ścianki działowej oraz sprytnego poutykania poszczególnych elementów po kątach. Następnie, przy mojej wydatnej pomocy, rozpięła na ścianie wielkie płótno. Zapowiadało się interesująco.

Przez następnych kilka miesięcy miałam okazję obserwować, jak na ścianie w pokoju obok powstaje arcydzieło. Alicja była w swoim żywiole. Natchnienie nieomal parowało jej uszami. Urywała się z zajęć i natychmiast biegła do płótna. Pracowała nieraz do drugiej nad ranem, a potem przez cały dzień zachowywała się jak zombie. Kiedy skończyła już wstępny zarys obrazu, przyhamowała odrobinę; nawet ona miała swoją granicę wytrzymałości, a przecież trzeba było jeszcze pozaliczać fakultety.

Już na tym etapie obraz przedstawiał się imponująco. Nie znam się zbytnio na malarstwie, ale wierz mi, to nie było jedno z tych oszukańczych dziełek typu trzy kreski i kropka, nie, żadnego wciskania kitu odbiorcy. Prawdę mówiąc, nie wierzyłam wcześniej, że Alicja jest w stanie stworzyć coś podobnego. Widziałam jej rysunki oraz mniejsze obrazy; były niezłe, ale projekt na ścianie zapowiadał zupełnie nową jakość.

Moja współlokatorka kreowała na płótnie całkiem inną rzeczywistość. To była prawdziwa kraina czarów, cały fantastyczny świat. Przypominał wielką ilustrację do książki z bajkami, z tym, że bogatszą i znacznie bardziej żywą. Znajdowały się tam takie gatunki roślin i zwierząt, jakie nigdy nie występowały i nie będą występować w przyrodzie; zarówno mitologiczne jak i od początku do końca wymyślone przez Alicję. Jej wyobraźnia nie miała granic.

Na tej wielkiej przestrzeni rozgrywały się dziesiątki historii. Egzotyczni wojownicy toczyli bitwy z fantastycznymi monstrami, podróżnicy przemierzali dżunglę, młode, pierzaste smoki uczyły się fruwać. Z każdym dniem dochodził jakiś nowy element, dżungla nabierała wyrazistości, baśniowe stwory stawały się coraz bardziej prawdziwe. Alicja spędzała wieczory przy płótnie, kompletnie zatopiona w swojej pracy. Dłonie miała teraz stale poplamione farbami, przez co spora część sprzętów w mieszkaniu padła ofiarą epidemii kolorowych ciapek.

Nie zwracałam na to szczególnej uwagi. Zbliżała się sesja egzaminacyjna, w księgarni pokazało się kilka długo wyczekiwanych przeze mnie pozycji; poza tym miałam także inne sprawy na głowie. Cały ten twórczy burdel był mi jak najzupełniej obojętny. Jak dla mnie, Alicja mogłaby nawet pomalować kuchenkę w paski. Dopóki siedziała cicho w swoim pokoju, nic a nic mnie to nie obchodziło.

Zapewne właśnie dlatego zorientowałam się tak późno.

Zaczęło się od tego głupiego kwiatka. Wracam sobie spokojnie do domu, siadam przed komputerem, patrzę, a tu z klawiatury, spomiędzy klawiszy funkcyjnych, wyrasta sobie kwiatek. Z początku myślałam, że ścięty i wetknięty. Złapałam więc i pociągnęłam z werwą. Wyszedł z korzonkami.

Prawdę mówiąc, byłam bardziej wkurzona niż zdumiona. Wiesz, że wychowałam się na fantastyce. Bardzo trudno mnie zdziwić, za to łatwo zirytować, zwłaszcza jeśli ktoś bez pytania pakuje się na moje terytorium z butami. Albo z kwiatkami, wszystko jedno.

Jakoś nie uwierzyłam, żeby wyrósł tam naturalnie. To prawda, że ostatni raz czyściłam klawiaturę przed potopem i że mogła już uzbierać się tam naturalna gleba. Ale nasionka? Samorództwo jakieś, czy co? Poza tym, widziałam mój komputer we wczesnych godzinach porannych. Cholerstwo musiałoby szybko wyrastać.

Przyjrzałam się okazowi bardzo uważnie. Nie znam się zanadto na botanice, ale to zielsko nie było do niczego podobne. Ostatecznie może trochę do dmuchawca, jeśli pominiemy jadowicie fioletowy kolorek i żółte pręciki wystające ponad warstwę puchu. Powąchałam. Pachniał porzeczkami i mydłem. Urwałam łodyżkę. Ze środka pociekło coś pomarańczowego. Pomazałam tym po kartce; nie odważyłam się dotknąć. Przecież świństwo mogło być trujące.

Konsystencja cieczy coś mi jednak przypominała. Zastanowiłam się chwilę, po czym mnie olśniło.

Farba olejna.

Kto inny zareagowałby zapewne szokiem i skrajnym niedowierzaniem. Ale nie ja. Już jakiś czas temu przedawkowałam grozę za sprawą poprzednich współlokatorek. Gdybym nawet znalazła Alicję uprawiającą seks z Vladem Draculą, w pierwszej kolejności złapałabym za coś ciężkiego (umowa jest umową, żadnych gachów w mieszkaniu) i dopiero potem zaczęłabym się dziwić.

No do jasnej piekielnej Anielki, pomyślałam sobie. Wróci artystka, oberwie taki chrzest, że jej do dnia sądnego wystarczy. Ładnie to tak bawić się w czarodziejski ołówek na mojej klawiaturze? Niech sobie nawet smoki hoduje, ja jej nie bronię, ale w swoim, kurka, pokoju!

Rozejrzałam się dookoła z uwagą drapieżnika patrolującego terytorium. Znalazłam jeszcze dwa kretyńskie kwiatki w okolicy regału; wyrwałam obydwa. A ponieważ się rozpędziłam, poszłam wyplewić też resztę mieszkania.

Kiedy Alicja wróciła godzinę później, z kamienną miną wręczyłam jej wazon pełen tych idiotycznych fioletowych dmuchawców.

– Co to? – zapytała z głupia frant. – O, kwiatki. Ładne...

– Jeden rósł na mojej klawiaturze. – poinformowałam ją uprzejmie. – Mojej. Klawiaturze. Czy coś ci to mówi?

– Nie. Skąd one się tutaj wzięły? – Mina Alicji wyrażała błogą niewinność i całkowite niezrozumienie.

– Jak nie poznajesz własnego dzieła, to lepiej od razu przejdź na emeryturę, bo najwyraźniej już teraz, w młodym wieku, trafia cię skleroza.

– Ty, faktycznie malowałam takie – zastanowiła się artystka. – Ale na obrazie przecież... nieżywe...

– I niech tak lepiej zostanie – poradziłam jej uprzejmie. – Nie wiem, jak je wywołałaś, i nie chcę tego wiedzieć. Zaręczam, że jeśli ponownie wyrośnie mi tutaj jakieś zielsko, to ktoś inny jeszcze będzie nieżywy oprócz kwiatków.

Dla podkreślenia efektu wypowiedzi popatrzyłam jej prosto w oczy. I wtedy znowu zauważyłam coś dziwnego. Nie, nie kwiatka.

– Alicja, powiedz ty mi, od kiedy nosisz kontakty?

– Ja noszę kontakty? – zdumiała się moja współlokatorka. – Nie noszę kontaktów. A... O to ci chodzi... Bardzo widać?

Gwoli wyjaśnienia, oczy Alicji do tej pory były po prostu szare. Teraz dostrzegłam, że jej tęczówki przybrały złotawy odcień. Zmiana musiała być stopniowa i zapewne dlatego wcześniej nie zwróciłam uwagi. Poza tym przecież nie rozpoczynam dnia od gapienia się Alicji w ślepia. Urodziwa jest, nie przeczę, ale ja nie gustuję w swojej własnej płci.

– Nie bardzo. Nieważne – mruknęłam opryskliwie. – Idę. Muszę pisać referat. I pamiętaj: żadnych kwiatków.

– Postaram się – obiecała Alicja.

Przez następny tydzień faktycznie był spokój. Skończyłam referat, zaliczyłam sesję i weszłam w błogi stan celebrowania ferii zimowych. Alicja nadal siedziała przy obrazie i nie pozwalała nikomu wchodzić do pokoju. Podobno dzieło było już na ukończeniu. Ciekawiło mnie bardzo, co z tego wyjdzie.

No i w końcu wyszło.

Obudziłam się rano, czując, że coś ciężkiego, ciepłego i miękkiego leży mi na nogach. Z początku pomyślałam, że to kot. A potem przyszło mi do głowy, że nie mamy tutaj kota.

Otworzyłam oczy i przeżyłam lekki wstrząs. Na kołdrze leżało sobie pierzaste smoczę w kolorze zielono-złotym i wpatrywało się we mnie wielkimi, zielonymi, słodkimi ślepiami. Dostałam czkawki. Smoczątko kichnęło niewinnie, a potem ulało mi na kołdrę jak jakieś przerośnięte niemowlę.

Wrzasnęłam dziko i zerwałam się z łóżka, gwałtownie zrzucając przy tym smoka. Zapiszczał w głośnym proteście. Hardo postanowiłam nie zwracać na niego uwagi i czym prędzej wybiegłam z pokoju. Instynkt kierował mnie do kuchni w poszukiwaniu życiodajnego płynu trzeźwiącego, czyli kawy.

Zatrzymałam się tuż za drzwiami. To, co zobaczyłam, skłoniło mnie do wypowiedzenia dużej ilości bardzo nieparlamentarnych słów.

Całe mieszkanie przeistoczyło się w bajkową tropikalną dżunglę. Z mebli zwisały liany i pnącza, pod ścianami bujnie rozkrzewiły się wielobarwne rośliny. Wyglądały tak obco, jakby przeszczepiono je z odległej galaktyki. Storczykopodobne kwiaty, które wyrosły ze stojaka na parasole, właśnie próbowały zeżreć mój płaszcz. Na szafie w przedpokoju dostrzegłam coś w rodzaju archeopteryksa, po podłodze biegały pomarańczowe gryzonie, a w legowisku pod stołem siedziały dwa małe smoki i iskały się z purpurowych pcheł. Ze wszystkich chaotycznych i bezsensownych myśli, jakie krążyły mi po głowie, tylko jednej udało przebić się na pierwszy plan mojej świadomości.

– Alicja! – huknęłam gromko. – Co ja ci mówiłam o cholernych kwiatkach?!

Artystka wyjrzała ze swojego pokoju. Oczy miała już całkiem złote, a na jej twarzy malował się wyraz matczynego zadowolenia.

– Obraz skończyłam – oznajmiła radośnie. – Chcesz zobaczyć?

Chciałam. Chciałam wiedzieć, jaki zwichrowany talent mógł stworzyć coś takiego. Chciałam przekonać się na własne oczy, jak wygląda obraz, skoro mieszkanie zamieniło się w dżunglę z Jumanji. Poza tym miałam ochotę zamordować tę babę, ale to mogło poczekać.

Posłusznie weszłam do środka i przez dłuższą chwilę kontemplowałam dzieło.

Zaklęta szafa, która prowadziła do Narni, odznaczała się dyskrecją i subtelnością. Obraz Alicji był wrotami do innego świata w całkiem oczywisty sposób. Transformacja pokoju dokonała się już w pełni. Trudno w ogóle było dostrzec, że znajdowałam się w zamkniętym pomieszczeniu, wyposażonym w cztery ściany i sufit. Bujna roślinność niemal całkowicie zasłoniła tynki oraz większość mebli. Sztalugi wrosły w podłogę i ukorzeniły się w niej na dobre, natomiast łóżko przeistoczyło się w posłanie z pnączy. Wytatuowani wojownicy machali do mnie z obrazu. Ciekawe, czy wpadną do nas na herbatę, pomyślałam mimowolnie.

– No i jak? – zapytała Alicja.

– Brak mi słów – przyznałam szczerze. Wolałam nie zastanawiać się nad tym, czy wśród miejscowej fauny znajdują się takie stworzenia, które żrą książki.

Wszystko to samo z siebie mogło przyprawić o utratę zmysłów. Ale następne słowa Alicji spowodowały, że przeżyłam traumę.

– Jeszcze ci tego nie mówiłam, ale to wszystko dzięki tobie – rzekła artystka, a ja popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. O co tym razem chodzi? Czyżbym sama w jakiś nieodgadniony sposób napędzała machinę, która przeobraża moje lokatorki w obcych z innej planety? Bez przesady, chyba nie jestem aż takim oryginałem.

– Zainspirowałaś mnie – wyjaśniła tymczasem Alicja z pełną powagą. – Tym esejem o światach równoległych, który dostałam do przeczytania.

Upłynęła dłuższa chwila zanim skojarzyłam, jaki esej ma na myśli. Rzeczywiście, popełniłam coś takiego parę miesięcy temu. Pisałam tę pracę na ostatnią chwilę, na kolanie. Nie chciało mi się zbierać materiałów i w efekcie referat należało zakwalifikować jako czystą fantastykę. Pokazałam go Alicji, żeby wyłapała mi ortografy. Mimo zamiłowania do książek, jestem nieuleczalną dysortograficzką, a wtedy akurat komputer był w naprawie.

Wszyscy popełniamy błędy. Ja na przykład nie złapałam w tym momencie Alicji za rękę i nie powstrzymałam jej przed ostatecznym krokiem. Za bardzo namieszała mi w głowie. Stałam jak ten kołek i zastanawiałam się, czy powinnam zacząć uważać się za żeński odpowiednik doktora Frankensteina. Wyglądało na to, że niechcący stworzyłam potwora.

Nie zareagowałam w porę, kiedy artystka zbliżyła się do obrazu. A potem zwyczajnie, płynnie i bez wysiłku przeszła na drugą stronę. Do swojego świata.

Oprzytomniałam po fakcie.

– Alicja! – zawołałam i dopadłam do ściany. Próbowałam pójść jej śladem, ale nie zadziałało; pod opuszkami palców czułam tylko wilgotne płótno. – Wracaj! Wracaj tu natychmiast! Na litość boską, kto zapłaci czynsz?!

Do dziś nie rozwiązałam owego palącego problemu. Alicja znikła w innym świecie tydzień temu, zostawiając mnie z całym tym bałaganem w mieszkaniu. Prawdę powiedziawszy, zwierzęta nie sprawiają szczególnych kłopotów. Przekonały się już, kto jest dominującym drapieżnikiem w ekosystemie. Czasami nad ranem budzą mnie natrętne smoki. Na szczęście nie dostałam na nie uczulenia.

Możesz potraktować moją opowieść jako ostrzeżenie. Bo widzisz – zawsze trzeba mieć się na baczności. Nie znasz dnia ani godziny. Tak naprawdę nigdy nie wiadomo, kiedy, gdzie i z jakiej przyczyny staniesz się dla kogoś muzą.

A efekty mogą być całkowicie nieprzewidywalne.

Szczepan Twardoch

Królewskie pytanie

– Wasza Królewska Mość życzy sobie jeszcze czegoś?

– Nie. Możesz odejść, Andrzeju.

Kiedy osobisty kamerdyner króla, kłaniając się nisko, zamknął za sobą drzwi, Edward XII opadł ciężko na fotel przed wielkim, empirowym biurkiem. Wsparł brodę na dłoniach, łokcie zaś na intarsjowanym kością słoniową blacie, gapiąc się na wiszący nad drzwiami swój nowy nabytek – prawdziwego, piekielnie drogiego Watteau. Smutne oczy mężczyzny w stroju błazna patrzyły na króla, który nie potrafił powstrzymać odruchu współczucia.

Mój przyjacielu, czujemy to samo, pomyślał Edward XII i z żalem spojrzał na niezłą kopię Davida, wiszącą na ścianie po prawej. Ten śródziemnomorski mikrus wyglądał na całkiem wysokiego – miał jeszcze wokół głowy wianuszek dłuższych włosów, jeszcze nie był cesarzem – ale jego oczy widziały już złote pszczoły, i własnoręcznie włożoną na skronie koronę.

Niech cię szlag. Naszego królestwa nawet nie chciało ci się podbić, przeklęty żabojadzie, pomyślał król. Żabojadzie, czy Korsykańczyku, jedna zaraza. I tak pewnie o naszym potężnym kraju wspomniał ci zaledwie jeden czy drugi z twoich marszałków, czyniąc pogardliwy ruch ręką. Ach, a tatko tak ślicznie umundurował tych naszych grenadierów gwardii. Może nawet dopiero w drugiej bitwie ponieśliby sromotną klęskę, w pierwszej cofając się z honorem. Ale tobie nawet nie chciało się pofatygować na tę naszą zabitą deskami prowincję. A tatko już miał przygotowany akt abdykacji – żeby zrzec się korony na rzecz jakiegoś twojego porucznika albo kapitana, bo każdy wyższy oficer pewnie by wolał w pułku siedzieć, niż zostać królem naszego arcyważnego państwa.

Drzwi królewskiego gabinetu otwarły się z hukiem. Ciągnąc za sobą jakiegoś gacha, do pokoju wpadła tyłem rozszczebiotana królowa Weronika. Przez chwilę nie rozumiała powodu zakłopotania, widocznego na twarzy swego nowego amanta, który spuścił wzrok pod pełnym nienawiści spojrzeniem króla. Zdawało się jej, że młody hrabia Roggen właśnie rozpoczyna jakąś podniecającą grę, przymilała się więc i zapraszała na pokoje. Kiedy wreszcie odwróciła się, na widok swego koronowanego małżonka wydęła pogardliwie wargi i fuknęła:

– Wasza Królewska Mość miał być na manewrach, nieprawdaż?

A niechże ci cycki odpadną, zdziro jedna, pomyślał król, przyglądając się w milczeniu hrabiemu, który próbował dyskretnie się wycofać.

– Zaczekaj, słodki Justynie! – powstrzymała hrabiego królowa. – Widzisz, on taki delikatny, sam widzisz, jak bardzo uraziło go twoje... wasze grubiaństwo. Wasza Królewska Mość, jak się obiecuje że się jedzie na manewry, to się jedzie, bo potem takież krępujące sytuacje powstają – paplała dalej.

Bodaj byś wyłysiała, macioro chutliwa, pomyślał król i dalej milczał ponuro. Królowa wraz gachem, który skłonił się niedbale, wyniosła się do sąsiedniego pokoju.

Żona Napoleona też nie należała do najcnotliwszych, próbował pocieszyć się upokorzony król, lecz porównanie królowej Weroniki do Józefiny wypadało wyjątkowo blado. Cała Europa bawi się w Wiedniu, tylko mnie nie zaproszono. W Austrii pewnie w ogóle nie wiedzą, że jest sobie takie małe północne królestwo, a Aleksander myśli, żeśmy jego gubernią. Niech szlag trafi takie życie. Bodajbym nie był królem, mógłbym przynajmniej wyjechać i mówić, że jestem Szwedem albo, lepiej, Niemcem. W tym Wiedniu nawet te śmieszne Polaki brylują, donaszają szwoleżerskie mundury, a nas nie zaproszono. A niechże was, wcale nie chciałbym tam jechać. Z żoną-zdzirą, gwardią z dziadów w ładnych mundurach i z dworzanami – bandą wygłodniałych malwersantów, ładnie bym tam wyglądał... – dumał. Z głębokiej refleksji wyrwało go pukanie do drzwi.

– Panie, wieści z parlamentu przynoszę...

Parlament. Psia jego mać. Zdzira jest, jak ona to mówi? – liberalna i zachciało jej się parlamentu – trzeba było całe wschodnie skrzydło zamku oddać tej hałastrze.

– Czego znowu chcą ci sklepikarze, rzeźnicy i szewcy?

– Wasza Królewska Mość raczy wybaczyć mi bezczelność, ale ostatnio przyjęta uchwałą zabrania się Waszej Miłości wyrażać w taki sposób o parlamentarzystach, nawet w rozmowach prywatnych... – odpowiedział głos zza drzwi.

– Och, zamknijże mordę, utrapiony marszałku, synu hycla i wielkiej kurwy! – ryknął król.

– Wasza Miłość nie może tak się do mnie zwracać, bo reprezentuję tutaj naród naszego...

– Właź, synu psa i suki, bo cię każę powiesić i wychłostać – ryczał dalej król.

Andrzej otworzył drzwi i do gabinetu wkroczył dumnym krokiem marszałek parlamentu, Atanazy Ogerman, syn rzeźnika i rzeźnikowej żony, chociaż co do pierwszego, jak powtarzała matka i wszystkie (dwie) gazety, nie można mieć pewności. Osoba marszałka Ogermana, postury miernej, obdarzona za to sporym brzuszyskiem, opiętym atłasową kamizelką ze złotą dewizką i grubym, złotym łańcuszkiem stanęła przed biurkiem i bezceremonialnie zasiadła na pięknym taborecie.

– Wasza Miłość nie może mnie powiesić ani wychłostać, bo jako przedstawiciela narodu tknąć mnie nie można, jak mówi nasza konstytucja. I niech Wasza Miłość raczy nie mówić po raz kolejny, co myśli o naszej konstytucji, bo ja już to wiele razy słyszałem...

– Zamknij ten swój rzeźniczy pysk, Ogreman, i gadajże, czego chce ode mnie ta twoja banda opryszków i złodziei? – powiedział król, już spokojniejszy.

– Wypraszam sobie, Wasza Miłość nie powinien zwracać się w ten sposób do członka parlamentu, ani takich obelg rzucać na reprezentantów ludu. Daruję jednak Waszej Miłości, bo wiem, jak Wasza Miłość nie cierpi posiedzeń w parlamencie. Przyszedłem tu w innej sprawie. Otóż, ile Wasza Miłość zapłacił za to malowidło? – Ogerman wskazał na Watteau nad drzwiami – Mówią niektórzy, że za dużo, że można by za to wystawić pułk strzelców konnych...

– Można, a pewnie, ale po co nam pułk strzelców konnych? Poza tym kupiłem to z mojej prywatnej szkatuły – zaperzył się król.

– Niechże mi Wasza Królewska Mość oczu nie mydli, bo z prywatnej szkatuły Waszej Królewskiej Mości, to można by kupić dwie szaserskie czapki, a nie pułk, o tym wie każde dziecko w kraju. I jak może Wasza Wysokość pytać, po co nam pułk strzelców konnych? Nasza armia powinna być potężna, aby nasi wrogowie się nas bali!

Król roześmiał się na głos i powiedział:

– Czyś ty do cna zgłupiał, utrapiony morderco wieprzy? Na cóż nam więcej żołnierzy? Choćbyśmy każdego mężczyznę w tym kraju ubrali w czako i dali mu karabin i tak nie będzie z tego armii! Przecież nas mógłby podbić nie tylko każdy nasz sąsiad, ale wystarczyłoby, żeby jakiś potężniejszy hrabia dał szable swoim lokajom, i nie dłużej jak po trzech dniach wkraczałby do stolicy!

– Wasza Miłość raczy zapominać o naszym wyborowym pułku gwardyjskim! – Ogerman, krzycząc, uniósł się z krzesła.

– Pułk gwardyjski! Dobre sobie! Czyś ty, synu wiejskiego idioty, widział kiedy pułk?! – Król z niedowierzaniem popatrzył na Ogermana.

– Pewnie, żem widział! A cóż to, czyżby Wasza Wysokość już zapomniał, kto defiladę odbierał nie dalej jak dwie niedziele temu?

– Ogerman, ja zawsze wiedziałem, że z ciebie ostatni dureń, ale nie mów mi, że marszałek naszego parlamentu twierdzi, że nasz pułk gwardyjski to pułk...

Ogerman nie do końca zrozumiał i przez chwilę spoglądał na króla spode łba. W końcu król wyjaśnił.

– Ja się nie dziwię, żeś ty deputowanym został, Ogerman. Ojciec twój przybrany, rzeźnik, pewnie bał się, że nie będziesz umiał zliczyć do trzech, imbecylu patentowany, i jatki do ruiny doprowadzisz. Mógł cię, figlarz jeden, do napychania kiełbas wysłać, nie do parlamentu...

– Wasza Miłość raczy wyjaśnić i odpowiedzieć na moje i parlamentu zapytanie – przerwał królowi marszałek.

– Słuchaj, psi ogonie, nasz pułk u naszych sąsiadów mógłby od biedy ujść za kompanię, ale z tych słabszych kompanii! A wyborowy to on jest, a jakże! Wybrano do niego największe ofermy i najgorszych dziadów z okolicy, bo jaki inny człowiek poszedłby do wojska, w którym na jednego generała przypada trzy i pół tuzina żołnierzy, a generałów jest niewielu! Nas podbić może każdy, nawet dzicy Murzyni z dalekiej Afryki, jeżeli byłoby ich więcej niż dwie setki!

Marszałek parlamentu nie tracił spokoju.

– Wasza Królewska Mość ma pewnie rację. Tym bardziej potrzebny nam jest pułk konnych strzelców...

– Ogerman, zejdź mi z oczu, bo cię zastrzelę! Pułk, albo nawet cztery pułki, w niczym nie zmienią naszej sytuacji. U naszych sąsiadów więcej jest lekarzy w wojsku niż my mamy żołnierzy. Dlatego, od pułku wolę tego prawdziwego Watteau...

– Ja nie wiem, z czego ono tam jest zrobione, to malowidło, ale wiem, że Wasza Wysokość kupił go za pieniądze ze skarbu państwa, i to nam się nie podoba, i protestujemy, i stanowczo nie wolno Waszej Wysokości, i odezwę do ludu wystosujemy, o! – Uniósł się Ogerman.

– Straż! – ryknął król w odpowiedzi.

Po dłuższej chwili, wypełnionej dumnym i zawziętym milczeniem Ogermana, który splótł ręce na piersi i zadarł godnie podwójny podbródek, patrząc w jakiś punkt za królem, do gabinetu wkroczyło trzech strażników, pośpiesznie dopinając kurtki. Król władczo, w swym mniemaniu, skinął ręką i rozkazał:

– Zabrać tego padalca i aresztować, za obrazę majestatu.

Trzej strażnicy bez entuzjazmu unieśli Ogermana z taboretu i wyprowadzili za drzwi. Kamerdyner zamknął je za nimi bezszelestnie. Król zaczął roztrząsać, czy może jednak dałoby się jakoś ściąć marszałka. Jak za każdym razem, szybko doszedł do wniosku, że i tak musi go zaraz wypuścić.

Zza okna usłyszał kroki – przez dziedziniec dziarsko maszerował Ogerman, zmierzając w stronę aresztu, przy nim zaś dreptał Leon Bergen, naczelny pismak, pieczołowicie coś notując ołówkiem w notesie. Marszałek odwrócił się w stronę królewskich okien, pogroził pięścią, obciągnął surdut i wkroczył do aresztu. Edward XII spojrzał ciężko w stronę kopii obrazu Davida, i pomyślał:

Jakież szczęście miał ten Napoleon... Nawet łajdaków miał wokół siebie pierwszorzędnych. No bo jak taki rzeźniczyna Ogerman wygląda przy tym arcyłajdaku Fouche? Taki to nie powie: „Sire, ośmielam się być odmiennego zdania”... Następna myśl zasępiła go jeszcze bardziej. Jakże marny by ten Ogerman nie był, na pewno bliżej mu do Fouchego, niż mi do Bonapartego... Niech to szlag trafi. Klnąc pod nosem, udał się na spoczynek.

***

W jasnym pokoju na oddziale prywatnego szpitala dla psychicznie chorych (oczywiście, oficjalnie szpital nazywał się po prostu „Klinika św. Katarzyny”) słońce zagrało na twarzy młodej kobiety w białym kitlu. Na łóżku, przykryty kołdrą i pledem, leżał starszy mężczyzna, z głową otoczoną burzą siwych włosów.

– No i jak się pan dziś czuje, panie Edziu? – zapytała kobieta.

– Ech, fatalnie, pani doktor, zaiste paskudnie – odpowiedział, unosząc się na łokciach.

– A dlaczegóż to, panie Edziu?

– Bo, ja pani doktor...

– Panie Edziu, umawialiśmy się. Mógłby pan być moim ojcem, proszę zwracać się do mnie po imieniu!

– Dobrze, panno Agato. A nawet jak na wariata to jestem niezły czubek. Niech pani patrzy na tego tu, sądzi, że jest Stalinem, który przyjechał tu na odpoczynek. Inny znowu, roi sobie, że jest Hitlerem i właśnie skrycie wydaje rozkazy i dyspozycje dla swoich wojsk w Rosji, a tamten myśli, że pani doktor, taka młoda i ładna, kocha go skrycie. Tak, tak, niech pani nie przeczy, nie mogę powiedzieć, który tak myśli, bo to tajemnica, ale tak on myśli, i na dodatek, to jeszcze twierdzi, że pani nie jest w jego, starego dziada, typie, i on pani nie chce. Znowu inny myśli, że jest ptakiem, i każdy, do kroćset, jest po swojemu szczęśliwy. A ja co? Zgodnie z tym, co pani doktor powiedziała, uroiłem sobie, że jestem nieszczęśliwym królem jakiegoś prowincjonalnego kraiku, z którego wszyscy drwią, którego zdradza z jakimś młokosem żona-królowa i nie słuchają poddani... No przecież to trzeba być wariatem, nawet jak na czubka...

– Och, panie Edziu, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę ze swojej paranoi, to prawie jakby był zdrowy... Chodźmy na spacer do ogrodu, porozmawiamy jeszcze.

– Dobrze, z przyjemnością. Za kwadrans, tylko się przebiorę, dobrze?

Pojawił się w ogrodzie po chwili, ubrany jak zwykle elegancko, jasne spodnie, niebieska koszula, ciemna marynarka, wzorzysty fular. Trzymał się ciągle prosto, dziarskim krokiem zmierzał w kierunku ławki, na której siedziała panna Agata. Patrzyła na niego i z przyjemnością skonstatował, że nie ma w tym spojrzeniu litości. Widział się przed chwilą w lustrze – wysoki, siwowłosy, lecz bez śladów łysiny, szczupły, elegancki, staroświecko szarmancki, mógł podobać się kobiecie, nawet tak młodej jak ona. Był jednak zbyt poważny, aby wyciągać z tej obserwacji jakieś wnioski, aczkolwiek doświadczenie podpowiadało mu, o czym może myśleć panna Agata. Wiedział, że ona bawi się tylko tą myślą, nie zamierza jej realizować. Takie myśli są jak miłe drobiazgi w sklepie z antykami, oglądamy je, cieszy nas ich piękno – a raczej cieszy nas wyobrażenie ich posiadania – pytamy nawet o cenę, od początku wiedząc, że nie dokonamy zakupu. Miły chłopak, narzeczony Agaty, który czasem przyjeżdżał pod nią pod szpital, nawet nie pomyślał, że mógłby być zazdrosny o starszego mężczyznę. Ubodło to pana Edzia nieco, jednak, spojrzenie panny Agaty dowodziło raczej, że to jej narzeczony nie jest zbyt bystry.

Kiedy podszedł, dziewczyna wstała, z uśmiechem, który tylko w oczach postronnych mógł uchodzić za profesjonalny uśmiech psychiatry. Przyjęła jego wytwornie podane ramię, po czym wolnym krokiem przechadzali się po ogrodzie, prowadząc miłą rozmowę.

Wreszcie siedli na ogrodowych, wiklinowych fotelach przy pergoli, w ustronnym kącie ogrodu, osłoniętym z dwóch stron wysokim parkanem i porośniętą bluszczem ścianą budynku. Panna Agata rozejrzała się dookoła i konspiracyjnym tonem wyszeptała:

– Mam coś dla pana, panie Edziu.

Spojrzał pytająco. Wyjęła z kieszeni fartucha paczkę drogich papierosów i niewielką gazową zapalniczkę.

– W zasadzie, to zabronione... Ale, jakkolwiek, nie pomoże to pańskim płucom, niewątpliwie poprawi panu samopoczucie. Poza tym, nie ukrywam, chciałam sprawić panu przyjemność...

Posłała mu promienny uśmiech. Kiedy wyciągnął papierosa, podała mu ogień. Zaciągnął się, aż zakręciło mu się w głowie, przez chwilę rozkoszował się smakiem dymu.

– Nie wiem, jak dziękować, panno Agato...

Siedzieli jeszcze parę chwil, Agata przyglądała się przez chwilę Edwardowi, po czym podjęła decyzję. Wstała od stolika i pobiegła do gabinetu dyrektora kliniki. Pan Edzio odprowadzał ją uśmiechem.

Dyrektor słuchał jej przemowy z twarzą opartą na dłoniach, zsunąwszy okulary na koniec nosa. W końcu, gdy skończyła, westchnął i powiedział:

– Nie, moja droga, on nie jest ani na jotę bardziej zdrowy, niż wtedy, gdy tutaj przybył. Co nie znaczy, że jest chory.

– Jak to, panie dyrektorze?

Zażywny mężczyzna spojrzał na Agatę ze zdziwieniem.

– Niech pani raczy chwilkę zaczekać.

Włączył komputer – dziewczyna nie widziała, co przegląda na monitorze – kliknął parę razy i powiedział:

– Niech pani sama przejrzy.

Agata spojrzała w zapis leczenia, w historię choroby. Praktycznie żadnych danych, żadnych leków, poza witaminami i środkami na reumatyzm, pustka.

– Co to jest? To nie jest karta Edwarda Reksińskiego! To zdrowy człowiek! Przecież tutaj nie ma leków, które ja sama mu przepisałam!

– Nie myślała pani nigdy, dlaczego pani, młoda dziewczyna, zaraz po studiach, zajmuje się panem Edziem? Przecież mamy tylu doświadczonych psychiatrów... Zajmuje się nim pani dlatego, że doświadczony psychiatra nie dałby się nabrać na tak prostą symulację. Oczywiście – nie chcemy mu dodatkowo szkodzić, dlatego, przepisywana przez panią kuracja pozostaje tylko na papierze.

– A zatem, on nie jest chory...?

– Jest. Na naiwność. Liczy, że ze swoją sześćdziesiątką na karku zdoła przeczekać tutaj świat na zewnątrz, który jawi mu się jako świat głęboko obrzydliwy. Liczy, że za kilka lat, kiedy to wszystko się zmieni, wyjdzie stąd, zabierze panią i swoją bibliotekę i zacznie znowu żyć.

– A więc on chce tu być, on mógłby żyć na zewnątrz?

– Ależ oczywiście, że chce. Czy pani sobie wyobraża, że ja jestem jakimś bydlakiem, a to jest sowiecka psychuszka, do której zamyka się zdrowych ludzi wbrew ich woli? Stać go na to, chce tu mieszkać, bo, jak mówi, w świecie, który oszalał, tylko wariaci są normalni. Niech się pani nie przejmuje, nie zrobiła pani nic złego – nic dziwnego, że się pani nabrała, to po prostu kwestia doświadczenia...

– Nieważne, muszę już iść. Do widzenia, panie dyrektorze!

Wybiegła z gabinetu, bez pukania wpadła do pokoju pana Edzia.

– Dlaczego mnie oszukiwałeś, Edwardzie?

Złożył książkę na kolanach, zsunął okulary, ona mówiła dalej.

– To nieważne, wybaczam ci. Edwardzie, przecież możemy stąd wyjechać, wyjedźmy stąd – a będę z tobą. Naprawdę! Ja myślałam, och, Boże, ja myślałam...

– Cudowna jesteś, Agato, cudowna... Dokładnie taka, jaką sobie wymarzyłem. Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałbym z tobą wyjechać, uciec... Ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie ma świata na zewnątrz. Niestety. Wymyśliłem sobie tylko ten szpital, dalej nic nie ma. Nie mam takiej wyobraźni, nie potrafię stworzyć całego świata.

Roześmiała się.

– Przestań, przecież już wiem, że symulujesz! To zabawne, ale dajmy temu spokój!

– Mam ci tego dowieść?

– Spróbuj! – Dalej się śmiała.

– Wymyśliłem cię tylko tutaj, wewnątrz, w tym szpitalu. Nie ma twojego życia na poza nim, wiem tylko, że jest dobre, i dlatego jesteś szczęśliwa. Chcesz dowodu? Dobrze. Powiedz mi, w jakim mieście jesteśmy? W jakim kraju? Który mamy rok?

Roześmiała się jeszcze radośniej, otwarła usta, aby odpowiedzieć, i nagle zamarła. Przełknęła ślinę. Rozejrzała się dokoła. Nagle zrozumiała, że nic nie wie. Pustka. Jej narzeczony nagle stał się tylko twarzą, samochodem, strojem i wrażeniem. Jest miły... Nic więcej, jeszcze tylko imię. Paweł. Pamięta go wyłącznie w tych momentach, kiedy byli z Edwardem.

– Co zrobiłeś, to, to... To niemożliwe! Przecież ja to wiem! Co mi zrobiłeś?! Czy to hipnoza? – Zaczęła krzyczeć.

– Nie. Po prostu, taką cię wymyśliłem. Jestem Edward XII, król małego kraiku na krańcach Europy. Jestem szalonym królem, tylko dzięki temu mogę to znieść. Mamy rok 1815, wiosnę, właśnie trwa kongres wiedeński.

– Ale przecież nie mogłeś wymyślić komputerów, samochodów, ubrań, tego wszystkiego... W waszych czasach to nie istniało!

– Mówiłem ci, jestem szaleńcem i wymyśliłem rzeczy szalone. Wiesz, jak działa komputer – swoją drogą, ładna nazwa, prawda? – wiesz, dlaczego ta maszyna robi tyle przeróżnych rzeczy?

– Oczywiście, że...

Znów zamarła.

– Widzisz. Po prostu, wymyśliłem sobie taką maszynę, tak samo jak te dziwne stroje, samochody... To też ciekawa nazwa, kalka z łaciny. Tobie to wszystko wydaje się codziennością, bo taką sobie ciebie wymyśliłem. Jeżeli w moim świecie chodzilibyśmy do góry nogami, dziwiłabyś się, kiedy próbowałbym cię przekonać, że zwykle chadza się raczej z nogami na ziemi.

Siedziała chwilę w milczeniu.

– A moja rozmowa z dyrektorem? On przecież mówił o tym, że świat na zewnątrz jest zły, czyli jednak jest jakiś świat na zewnątrz!

– Wymyśliłem tę rozmowę. A świat na zewnątrz jest zawsze zły, w każdej epoce. Żywię to przekonanie zbyt silnie, abym mógł się z niego wyzwolić, nawet w szalonej wizji.

Agata milczała. Kurczowo starała się odnaleźć w swojej pamięci coś, co nie pasowałoby do tego, co przed chwilą usłyszała. Znajdując tylko pustkę, zapytała:

– Czy nie obawiasz się, że odejdę od zmysłów, po tym, jak zdradziłeś mi, że naprawdę nie istnieję?

– Nie, ponieważ inaczej cię wymyśliłem. Jesteś zbyt rozsądna, aby tak naprawdę uwierzyć, że nie istniejesz, nawet napotykając na tak niezbite dowody. Ponadto, jesteś obdarzona poczuciem humoru...

– A zatem, skoro mój narzeczony tak naprawdę nie istnieje...

– Tak?

– I skoro to wszystko jest tylko twoim snem...

Włosy, spięte na karku, rozsypały się na jej ramiona pyszną, złotą kaskadą, kiedy zdjęła spinającą je klamrę. Guziki białego lekarskiego kitla rozpięły się pod jej palcami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uwalniając nagie, pełne piersi i krągłe biodra, spowite jeszcze w koronki. Przeciągnęła się powoli, pozwalając mu rozkoszować się widokiem jej kształtów. Nagle spojrzała przez ramię, zauważyła uchylone drzwi, ruszyła, aby je zamknąć.

– Nie trzeba – powiedział. – Zapewniam cię, nikt tutaj nie przyjdzie.

– Skąd możesz wie...

Uśmiechnął się.

***

Jego Wysokość Edward XII przechadzał się po pałacowym ogrodzie, odziany w nocną koszulę i szlafmycę. Bosymi stopami

deptał pokryte ostatnim wiosennym szronem klomby, obijał się o drzewka, wpadał w żywopłoty. Jednak cały czas szedł, jakby ktoś mu towarzyszył – kobieta, która idzie z nim pod rękę. Uprzejmy uśmiech nie opuszczał jego twarzy, nawet kiedy upadał, potknąwszy się o korzeń, czy krawężnik.

Nieopodal, w krużgankach, stali czterej mężczyźni, odziani w czarne, podbite futrem togi i kobieta w wystawnej sukni.

– Wasza Wysokość ma rację – odezwał się najstarszy z nich, gładząc się po elegancko przystrzyżonej brodzie.

– Mówiłam! – odpowiedziała kobieta.

– Najjaśniejszy Pan oszalał, taka jest diagnoza. Musimy jeszcze z nim pomówić. Arturze, Janie, sprowadźcie Najjaśniejszego Pana do komnaty – polecił jeden z mężczyzn.

Dwóch, podkasawszy togi, ruszyło w stronę króla, chwycili go delikatnie pod pachy i wprowadzili do zamku.

W komnacie czekała już reszta.

– Cóż za zacne konsylium! I moja czcigodna małżonka tutaj, jakże się cieszę... – odezwał się król, szczelnie już opatulony w ciepły szlafrok. – Niech zgadnę, że całe to zgromadzenie to życzliwa inicjatywa marszałka Ogermana, który postanowił dowieść, że jestem niespełna rozumu. Oczywiście, nie byłoby całego tego zebrania bez poparcia mojej żony i jej zacnego przyjaciela, młodego hrabiego Roggen...

Jeden z lekarzy bezceremonialnie przerwał królewską tyradę.

– Najjaśniejszy Panie, co wasza osoba robiła o tej porze w ogrodzie, nieubrana?

– Ach! Nie dosyć, że jestem królem najśmieszniejszego kraju Europy. Ba, cóż ja mówię! Gdybyśmy byli najśmieszniejsi, to bylibyśmy! A tak? Wiedzą o nas chyba tylko kartografowie, i podróżni, którzy wyłącznie dlatego, że zmylili drogę to trafili do naszego królestwa...

– Do brzegu, Najjaśniejszy Panie – powiedział marszałek Ogerman, wyłaniając się zza przymkniętych wcześniej drzwi.

– A, i nasz niespełniony kiełbasiarz tutaj! Czy twoja rodzina dalej biada, żeś odrzucił zacny i pożyteczny fach rzeźnika, na rzecz profesji tak haniebnej i odrażającej, jak marszałek parlamentu, czy też cieszy się, że masz zajęcie odpowiadające twojej odrażającej powierzchowności?

– Niech Wasza Wysokość odpowie na pytanie naszej Najwyższej Rady Lekarskiej – ze spokojem odparł Ogerman.

– A cóż to takiego, Najwyższa Rada Lekarska? Nie przypominam sobie, bym taką ustanowił! – krzyczał król.

– Najwyższa Rada Lekarska, Najjaśniejszy Panie, to organ ustanowiony przez parlament, w celu zbadania kondycji ciała i umysłu Najjaśniejszego Pana. – powiedział cicho najmłodszy z odzianych w togi lekarzy.

– No proszę! Tego się spodziewałem! Ja wam zaraz pokażę moją kondycję!

Król nagle wstał i wybiegł z komnaty, trzaskając drzwiami. Zgromadzeni spojrzeli po sobie, marszałek pokręcił głową, jeden z lekarzy zanotował coś w podręcznym notesie. Drzwi, przez które wybiegł król, nagle otwarły się z hukiem. Jego Wysokość Edward XII wrócił, lecz tym razem w dłoni dzierżył kawaleryjską szablę.

– Ja wam pokażę moją kondycję! – ryknął

Skoczył w kierunku lekarzy, podnosząc broń do ciosu, lecz medycy rozbiegli się natychmiast po komnacie, kryjąc się za meblami. Na drodze króla stanął nagle młody hrabia Roggen. Ten zawarczał i zamachnął się szabliskiem – lecz nie zdążył zadać ciosu, gdyż hrabia zemdlał z wrażenia i osunął się na marmurową posadzkę. Monarcha zauważył jednego z lekarzy i ruszył w jego stronę, lecz nie zauważył nogi, którą podstawił mu marszałek. Król wywrócił się na podłogę jak długi, Ogerman zaś zręcznie przydeptał szablę, którą król wypuścił z ręki, i wkopał ją pod szafę. W tym momencie rozległ się wrzask królowej:

– Ach, mój słodki hrabia Roggen, on nie żyje! Zginął z ręki tego szalonego tyrana!

– Hm, nie jest aż tak źle, Wasza Wysokość, obiłem sobie tylko łokieć, już mi lepiej – odparł hrabia Roggen, unosząc głowę.

– Ach, Boże, jak wielki jesteś w swojej dobroci, zwracasz mi na powrót mojego ukochanego, przywracasz go z martwych. Jakież to szczęście, że boska sprawiedliwość pokonała wściekłość tyrana – histeryzowała dalej królowa.

Król wstał, popatrzył ponuro na Ogermana, na szablę. Kiedy Ogerman zauważył to spojrzenie, zaraz zasłonił sobą szafę.

– O nie, Najjaśniejszy Panie, nie można Najjaśniejszemu Panu dawać do ręki broni! Wasza Wysokość jest niepoczytalny! – powiedział.

– Niestety, to prawda. Mamy świadka, który przysięgnie, że Wasza Wysokość ma wizje i omamy! – wtrącił się jeden z lekarzy – Poproście go!

Jeden z lekarzy wyszedł, wrócił zaraz, wprowadzając przerażonego Andrzeja, kamerdynera. Andrzej stał skruszony, pod ciężarem królewskiego spojrzenia spuścił głowę. Edward XII podszedł do niego, zajrzał mu w oczy z odległości kilku cali, i zapytał:

– Powiedziałeś im?

– Tak, Wasza Wysokość... – wyszeptał kamerdyner.

– Powiedziałeś im! Jedyny, któremu ufałem, w tym śmierdzącym pałacu, w tym dusznym państewku! Tylko tobie opowiedziałem, o moich marzeniach, o mojej krainie spokoju, o jasnym szpitalu daleko stąd, dziwnych strojach, maszynach, ogrodzie... A ty im powiedziałeś... Sukinsynu!

– Tak, Wasza Wysokość...

Lekarze zaczęli recytować jakie formuły, pytali Andrzeja, który wszystko potwierdzał, wygłaszali mowy, Ogerman zaczął coś bredzić o republice, królowa zasypywała hrabiego Roggena tysiącem pocałunków. Król już nie słuchał.

Taka epoka, a to wszystko co się dzieje, jest tak ohydnie banalne. Zamiast Bonapartego, Murata, Neya, Talleyranda, Fouchego, Aleksandra, arcyksięcia Karola, Bluchera, Davouta, Czernyszewa – król-wariat, królowa-suka, rzeźnik Ogerman. I zeznania szlochającego kamerdynera. Zamiast tytanicznych zmagań – podstawiona noga i szabla pod szafą. Och, mój Boże niech przynajmniej odejdę z hukiem!

Po schodach załomotały podkute obcasy, zadzwoniły ostrogi. W drzwiach stanął Napoleon Bonaparte w czerwonym mundurze Pierwszego Konsula, jak na obrazie Grosa. Król Edward otwarł szeroko usta. Zwariowałem na amen, pomyślał.

Ogerman ruszył zaczepnie do przodu, jednak, kiedy zauważył za przybyszem czarne bermyce grenadierów gwardii, stanął jak wryty.

– Kim pan, do cholery, jest? – zapytał.

– Jestem Napoleon Bonaparte, cesarz – odpowiedział Napoleon.

Król nagle zrozumiał.

– Nie! – wrzasnął – Nie, nie, nie, nie! Przecież dopiero co wylądowałeś w zatoce San Juan i ruszasz na Grenoble! Nie może cię tutaj być, korsykański kurduplu! Na dodatek ten mundur, przecież taki nosiłeś piętnaście lat temu, uzurpatorze!

Napoleon spojrzał na króla inteligentnie.

– Hm, to dosyć ostre słowa, ale trudno odmówić Waszej Wysokości racji. – stwierdził.

Do komnaty, rozpychając grenadierów i podzwaniając ostrogami, wkroczył Murat. Pogładził bokobrody, poprawił huzarski dolman, nachylił się do cesarza i teatralnie konspiracyjnym szeptem zapytał:

– Rąbać, sire?

– Nie – odpowiedział Napoleon.

– W takim razie, kimże jest ta urocza dama? – zapytał Murat, wskazując na oniemiałą królową.

Król Edward XII krzyknął:

– Przecież on cię zdradził, głupcze, siedzi sobie w Neapolu, podczas kiedy ciebie zesłano na Elbę!

– Owszem, ale zamierzam wrócić na służbę, odkąd tylko cesarz wylądował we Francji – odparł z godnością Murat, chwytając za rękojeść szabli.

Król wybiegł na środek komnaty i zaczął krzyczeć z radością:

– Już wiem! Was wszystkich nie ma! Nie istniejecie! Nie ma was! Wiwat! Hurra!

Lekarze pokiwali głowami ze zrozumieniem, Napoleon zdziwiony podrapał się po głowie, zaś Murat, uśmiechając się elegancko, ruszył w stronę królowej.

– Nie ma naszego królestwa! Przecież ono nawet nie ma nazwy! – krzyczał dalej król, zaśmiewając się.

Lekarze uśmiechnęli się pod nosem, lecz uśmiechy zamarły im na ustach. Podobnie Ogerman, usłyszawszy słowa króla, zastygł z otwartymi ustami, a na twarz powoli wypełzł mu wyraz znamionujący najwyższy wysiłek umysłowy. Królowa spoglądała skromnie na Murata, który tymczasem umiejętnie odepchnął hrabiego Roggena i jął słać jej zniewalające komplementy.

– Rzeczywiście, to królestwo nie ma nazwy. Dziwne... – stwierdził cesarz Francuzów.

Nie ma nazwy, nie ma stolicy, ani miast, nikt nie wie nawet, gdzie leży – tyle, że gdzieś na północy, i że jest bardzo niewielkie, bo tyle zaledwie sobie wymyśliłem – kawałek pałacu, ogród, tą komnatę, mój gabinet! No, kto z was wie, co jest za tą ścianą? Gdzie mieszkacie? Macie żony, dzieci... cokolwiek?

– Ja mam – wtrącił się cesarz.

– Masz, bo wiem, że masz żonę i syna, w austriackiej niewoli, to wie każdy! Wiesz, dlaczego stoisz tutaj w tym śmiesznym czerwonym fraczku i białych pończochach? Bo zawsze najbardziej lubiłem ten portret, pędzla Grosa! Ha, a w jakim my języku rozmawiamy, do cholery!

Ogerman upadł z jękiem na podłogę, trzymając się oboma rękami za głowę, lekarze skupili się w kącie, i radzili po łacinie, Murat skradał właśnie całusa królowej, co obserwował posępny hrabia Roggen.

– Niewątpliwie nie jest to francuski, tego nie da się ukryć. – powiedział cesarz.

– Pewnie, że nie jest! Ani nie jest to język naszego królestwa, gadamy po polsku!

– Po polsku? – zdumiał się cesarz – rzeczywiście, jakoś tak podobnie to brzmi. Dziwne...

– Po polsku! Nazywam się Edward Reksiński, mamy teraz rok 2002, jestem pensjonariuszem prywatnej kliniki dla umysłowo chorych w Polsce, uroiłem sobie, że jestem królem jakiegoś maleńkiego królestwa, w czasach napoleońskich. I właśnie zakochała się we mnie prześliczna, przepiękna, młoda dziewczyna, i znowu chce mi się żyć!

– Hm, to niewykluczone. Cóż, to przykre, być tylko czyimś wyobrażeniem, ale, proszę spojrzeć, niektórym nie przeszkadza. – powiedział Napoleon wskazując na wychodzącego z królową Murata.

Król spojrzał na królową. Miała twarz panny Agaty. Przypomniał sobie.

Pilchowice, marzec-kwiecień 2002

Jewgienij Łukin

Wygłuszacz

Z tomu *Portret wiedźmaga w młodości* (*„Partriet kudesnika w junosti”*) *Opowieści z Bakłużyno* w tłumaczeniu EuGeniusza Dębskiego

A wy na tej ziemi żyjecie,
Jak czerwie w spróchniałym pniu drzewa:
Ani rymu nikt o was nie ułoży,
Ani piosenki o was nie zaśpiewa!
Maksym Gorki

I nagle włączyłem swoje urządzenie! A ci się przestraszyli, przerazili wręcz, jak zwyczajne owce!
Ray Bradbury

– A to takie z ciebie ścierwo... – marudnym tonem uczynił zarzut klientowi stary czarodziej Jefrem Niechoroszew, wysłuchawszy do końca jego opowieści. – Nie lubisz, rozumiem, jak naród odpoczywa duchowo?

Po trzydniówce zawsze był dość obcesowy w stosunkach z ludźmi, ale nawet jeśli był co nieco chamowaty, to w sposób specyficznie dobroduszny, i prawie nikt się na niego z tego powodu nie gniewał.

A tu trafił się klient eksplozywny, co się zowie. Podryguje, ręce fruwają z miejsca na miejsce, ostra grdyka wysunięta do przodu ofiarnie i wyzywająco zarazem, jak u hugenota w wigilię Nocy Świętego Bartłomieja: macie, rżnijcie!

– Ja też jestem naród! – Klient od razu wskoczył na wysokie obroty. – I wcale nie wiadomo, jakich ludzi jest więcej: takich, jak ja, czy...

Czarodziej zarechotał.

– Więcej, mniej... – wycedził leniwie. – Kto jest głośniejszy, ten jest naród, rozumiesz?

Gość zacisnął zęby. Kości policzkowe i zapadnięte blade policzki pokryły się plamami. Przez chwilę wydawało się nawet, że wstanie i trzaśnie drzwiami.

Nie wstał. Wytrzymał.

– Dobra! – rzucił. – Twoje na wierzchu. Ścierwo ze mnie... Ale teoretycznie, można ich wyciszyć?

– Ależ można... – posępnie odparł wieszcz, czując, że nie odczepi się klient, oj nie. Ale też nie lubił, Niechoroszew, wdawać się w zaklinanie na kacu, silnie nie lubił. – Wszystko można... Dlaczego nie? Rzucę na ciebie zaklęcie...

– Na mnie?!

– Przecież nie na siebie, nie? Trzask-prask, i po krzyku. Nie będziesz ich więcej słyszał...

Przez kilka sekund klient trwał w osłupieniu.

– No to są jaja – powiedział w końcu. – To po licho ja sobie daczę kupowałem? Żeby siedzieć w martwej ciszy?.. A szpaki? A żaby?.. Przecież muszę się przywitać, jak sąsiad się odezwie...

– Nie ogłuszę cię całkowicie... – skrzywił się czarodziej. – Żaby będziesz słyszał, szpaki... sąsiadów też, jeśli się do ciebie odezwą...

Klient rzucił szybkie pełne niedowierzania spojrzenie na czarodzieja i pogrążył się w niespokojnym namyśle.

– Hm... Myślałem, że wy na innych rzucicie zaklęcie... – mruknął niepewnie. – Albo na cały teren...

– Na cały teren będzie troszki drogo – zauważył stary cudodziej.

Milczeli chwilę, pogrążeni w rozmyślaniach. Na obudowie monitora, zwieszając senny pysk na zakurzony ślepy, aż chciałoby się rzec: zasnuty pajęczyną ekran, rozwalił się kudłaty kocur, ale nie czarny, jak należałoby sądzić, a biały z szarymi plamami. Zwierz, co było widoczne, tracił sierść, ponieważ dywan w zachłamionym pokoju czarodzieja wyglądał jak źle uprzątnięte pole bawełniane.

– Nie rozumiem tylko – poskarżył się klient. – Po co oni ze sobą głośniki ciągną na łono? Nie mogą w mieście się nasłuchać? Mam pecha do sąsiadów... Z prawej Dmitro Karabastrow, z lewej Walerka Prokopjew, a działki wąskie, jak wstążki makaronu, żeby każdy miał dostęp do jeziora...

Gospodarz udawał, że słucha, nawet czasem kiwał głową ze współczuciem, sam natomiast kombinował, jakby tu się wycwanić i użyć jakiegoś tańszego zaklęcia i może prostszego, żeby za bardzo mózgu nie szarpać. Mdliło Jefrema, kiwało. Ale wyrzucić klienta za próg to zły omen.

– No i jak hukną z obu stron!.. – marudził klient.

Kot na monitorze z nudów ziewnął, prezentując różowy pysk i, przeciągnąwszy się, zwinął w precel, łącząc pysk z ogonem. Kot widywał tu klientów naprawdę różnistych.

– Niby, dobra, nie możesz, facet, bez ryku w uszach – namiętnie perorował gość. – Kup sobie debilnik ze słuchawkami! Dlaczego, pytam, cały powiat zagłuszasz swoją muzyką?..

Przy słowie „zagłuszasz” stary wiedźmag poderwał się, mętne oczka zapłonęły. Olśniło, znaczy się.

– Jest! – zawołał. – Dokładnie to! Idź kup sobie debilnik na sedeki... taki prosty... bez bajerów...

– Czy wy sobie kpicie?! – Klient w końcu nie wytrzymał i poderwał się na równe nogi.

– Nie rzucaj się, tylko słuchaj! Księżyc jest w pierwszej ćwiartce, tak? Wyjdziesz z domu dokładnie o północy, debilnik trzymaj za pazuchą. I pilnuj, żeby księżyc był cały czas za lewym ramieniem. Potem spluń na wszystkie strony świata i druciki do słuchaweczek – słuchasz mnie? – oderwij... U nasady, bez oszczędzania. Tylko uważaj, nie wyrzuć – a ja potem na debilniku z nich zrobię zawiązy, rozumiesz?

– Co zrobicie?

– Zawiązy. Węzły z zamową... Co sprawi, że debilnik będzie działał jako wygłuszacz. Tanie i silne, nie? Hektar pokryje lekko, z nawiązką, a ty, przecież, więcej nie chcesz, tak? Jaką masz działkę? Sześć arów?

***

Wysiadłszy z brzęczącego i zgrzytającego całym sobą mikrobusu na pętli „Chuliwy chutora”, Jegor Nadtoczij ominął osadę i ruszył dubrawą w kierunku osiedla podmiejskich dacz. Kończył się kwiecień. Z gałęzi zwisały w wielkiej ilości jasnozielone robaczki na połyskujących niewidzialnie cienkich, jedwabistych niteczkach; Jegor co i rusz musiał między nimi lawirować.

Szedł, nie kryjąc zjadliwego uśmieszku, i od czasu do czas głaskał głęboką kieszeń szortów, w której leżał zaczarowany debilnik z zawiązami z drucików. Czyli wygłuszacz. Emiter zakłóceń. Jak na razie nie musiał go używać: ani radia nie było w najbliższej okolicy, ani telewizora. Tylko odkuwał suche gałązki niewidzialny, zły dzięcioł – widać nie trafił mu się jeszcze smaczny larwi kąsek. Z prawej w lukach między pniami wymachiwał szarym listowiem osikowy zagajnik, z lewej widniało niebo i wypinała się w kierunku ziemi zwarta białocielna chmura.

Och, doczekacie wy się u mnie, panowie... – smakował triumf Jegor, przemykając pod kolejnym jasnozielonym robaczkiem. – Och, doczekacie się...

Na wprost na kursie pojawiły się zalewowe łęgi, i od razu, odbijając się od tafli wody, jasny kobiecy głos z odległego głośnika oznajmił z radością: „A teraz w wykonaniu chóru kozaczego wysłuchacie pieśni z tekstem Guillaume Apolineire „Pod mostem Mirabeau cicho płynie Sekwana..."

Kilka sekund później chór dał do wiwatu – z pohukiwaniem, modulacją i świstem. Jegorem wstrząsnął dreszcz.

Wkrótce pojawiły się pierwsze dacze. Audiopojedynek Karabastowa i Prokopjewa słychać było z daleka. Eksplozja ciężkiego rocka rozbiła w dym srebrnogłosy chór chłopięcy, złożony z dzieci rodzin patologicznych, a na przeciwnym końcu osiedla ktoś ogłuszająco śpiewał „Oczi czornyje", przy tym kantował i fałszował tak, jak nie kantuje nawet Cygan na końskim targu.

Chyba już czas... Jegor wyjął debilnik i rozwinął go z papieru, na którym natchnionymi fantazyjnie literami stary czarodziej Jefrem Niechoroszew wypisał był tekst startowej zamowy. Starannie przeczytawszy wszystko co do słóweczka – z miną maksymalnej złośliwości na ostrej jak szydło twarzyczce – wdusił oznaczony magicznym krzyżykiem przycisk.

Nie zawiedź mnie, magu, proszę...

I nie zawiódł. Już w następnej sekundzie wszystkie głośniki w okolicy rozdarły się magicznie wywołanym obrzydliwym falującym wyciem. Gdyby Jegor Nadtoczij był starszy o jakieś tam pięćdziesiąt lat, to by rozpoznał ów bezlitosny tępy ryk, przez który – ze zmiennym powodzeniem – usiłował był kiedyś przedrzeć się „Głos Ameryki", „Swoboda" i inne wraże radiostacje, których misją było wywoływanie wątpliwości w uczciwych i prostych sercach obywateli radzieckich.

– No i teraz zobaczymy, jak długo wytrzymacie... – szyderczo rzucił w przestrzeń Jegor, pakując wygłuszacz do kieszeni szortów.

Śmiertelnie przerażony koszmarnym rykiem, od którego, jak się wydawało, wibrowało już całe osiedle, przeraźliwie kracząc i machając skrzydłami, rzucił się do ucieczki rozczochrany gawron. Ale właściciele dacz – ludzie uparci – ciągle nie mogli uwierzyć, że to, co słyszą to na serio, i na długo.

To nic. Jeszcze pięć, góra dziesięć minut – i rzucą się, kochaneczki, do miasta – do serwisu aparatury. A w mieście usłyszą, że nie ma problema! Wszystko jest okejowo, wszystko działa...

Za płotem ze sztachet, opierając się spracowanymi rękami o stylisko szpadla, sterczał Dmitro Karabastow i z ciężkim niedowierzaniem na twarzy wsłuchiwał się w wycie, płynące z wnętrza stojącego przed nim na taborecie radioodbiornika.

– Czołem, sąsiedzie! – ostrożnie odezwał się Jegor.

Dmitro zerknął nań zezem spod zasępionych brwi.

– Czołem, czołem... – odpowiedział ponuro, po czym znowu zatroskany wgapił się w szalejący odbiornik. – No i popatrz: co chcą to z nami robią! Słyszałeś kiedy coś takiego?

Myśląc tylko o tym, żeby się jakoś niechcący nie zdradzić, Jegor Nadtoczij uniósł ramiona i udając przerażenie potrząsnął głową.

– Nie no, za cholerę nie rozumiem współczesnej muzyki – przyznał załamany Dmitro. – Bo co to jest?! No co? A jakie kiedyś puszczali melodie, jakie piosenki! Radosne, i wzruszające... A to co jest? Ani słów, ani melodii – ryk i tyle...

Powzdychał, powzdychał, i, machnąwszy z rezygnacją ręką, podkręcił potencjometr na maksa.